

# Poglądy księdza Hieronima Coignarda







Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

ANATOL FRANCE

# *Poglądy księdza Hieronima Coignarda*

TEŁUM. FRANCISZEK MIRANDOLA

# KSIĄDZ HIERONIM COIGNARD

Oktawowi Mirbeau<sup>1</sup>

Nie mam potrzeby streszczać tutaj życiorysu księdza Hieronima Coignarda, profesora krasomówstwa w kolegium w Beauvais, bibliotekarza pana de Sééz (*Sagiensis episcopi bibliothecarius sollertissimus*<sup>2</sup>, jak go nazywa nagrobne epitafium), późniejszego sekretarza katedry Św. Innocentego, a w końcu konserwatora owego „Astaracjanum”, tej królowej bibliotek, której zatury nigdy dostatecznie odżałowac nie będzie sposobu. Wiadomo, że zginął od sztyletu Żyda-kabalisty, nazwiskiem Mozaides (*judeae manu nefandissima*<sup>3</sup>), pozostawivszy dużo nie pokończonych prac oraz niewygasłe wspomnienie pięknych maksym, wygłaszanych w rozmowach z przyjaciółmi<sup>4</sup>. Szczegóły żywota jego oraz tragicznej śmierci przekazane zostały potomności przez ucznia znakomitego człowieka, Jakuba Ménétrier, nazywanego także Rożenkiem, albowiem był on synem pewnego właściciela gospody przy ulicy Św. Jakuba. Ów Rożenek pałał ku temu, którego zwał zawsze mistrzem swoim, uwielbieniem i miłością gorącą. „Mistrz mój ukochany — zwykły był mawiac — to najwykwintniejszy umysł, jaki pojawił się do tej pory na ziemi!” On to właśnie, Rożenek, z całą skromnością i wiernością bezprzykładną spisał wspomnienia o księdzu Hieronimie Coignard, a postać nieodżałowanego męża zmartwychwstaje w nich niby Sokrates w *Memorabiliach* Ksenofonta.

Ze starannością niesłychaną, ścisłością pedantyczną i umiłowaniem wielkim nakreślił przepyszny portret i ożywił go tak, że stawa<sup>5</sup> przed nami w całej prawdzie, nieskazitelnie wierny. Praca ta przywodzi na myśl portrety Erazma, malowane przez Holbeina, które oglądamy w Luwrze, w muzeum bazylijskim, w Hampton Court i nie możemy się nasycić ich pięknem. Krótko i węzłowato, dał arcydzieło!

Zdziwi was zapewne, że pamiętników owych nie opublikował drukiem. Mógł to uczynić tym łatwiej, że został księgarzem przy ulicy Św. Jakuba, dziedzicząc księgarnię „Pod Obrazem Św. Katarzyny” po panu Blaizot. Być może, iż trawiając żywot pośród ksiąg, uczył niechęć dorzucenia kilku nawet kartek do owego potwornego zwału poczernionej bibuły, butwiejącej w spelunkach antykwarzy. Zrozumiały nam się staję ów wstręt, gdy mijamy rozłożone po skwerach pudła bukinistów, pełne dwususowych<sup>6</sup> książczysk, których karty mieszczące sny o nieśmiertelności pożera i rozkłada słońce i deszcz. Są to przedmioty budzące w człowieku kultury refleksje, co wiodą do poznania nicości wszelkiej pisanimy i przypominają owe trupie czaszki, które Bossuet posyłał samotnikowi-trapiście, by mu sprawić rozrywkę. Przyszaję w zupełności, że sam, włócząc się pomiędzy Pont-Royal a Pont-Neuf, odczuwałem nieraz ową nicość doskonale. Skłaniam się tedy do przypuszczenia, że uczeń księdza Hieronima Coignarda nie wziął się do opublikowania swej pracy z powodu, iż — wykształcony przez tak znakomitego mistrza — miał zdrowy sąd o sławie literackiej i cenil ją wedle wartości istotnej, to znaczy miał ją za nic. Wiedział, że jest chwiejna, krucha, że podlega błędom rozlicznym i zależy od okoliczności marnych i nic nie znaczących naprawdę. Widząc, iż współcześni mu ludzie są ograniczeni, zawistni i płytycy, nie żywił zgoła nadziei, by potomność stała się nagle mądra, sprawiedliwa i głęboka. Mniemał co najwyżej, że pokolenia przyszłe, dalekie sporom chwili bieżącej, w braku sprawiedliwości obdarzą nas przynajmniej zupełną obojętnością. Mamy niemal całkowitą pewność, że połączy nas ona wszystkich, wielkich i małych, w cichym zapomnieniu i ziści spokojną równość milczenia. Ale gdyby nawet nadzieja ta złudną się miała okazać, gdyby pokolenia wieków, co przyjdą, zachowały niejaki wspomnienia imion naszych czy utworów, to łatwo przewidzieć, że znajdą one upodobanie w tychże utworach jedynie przez opaczne ich zrozumienie, wkładanie w nie własnych idei, gdyż to jedynie czyni dzieło geniuszu trwałym poprzez wieki. Długotrwałość arcydzieł uwarunkowana jest tragikomedią intelektualną, zgoła marną, gdzie arlekin podaje rękę pedantowi w tworzeniu błazeńskich

Książka

Sława, Literat

<sup>1</sup> Octave Mirbeau (1848–1917) — fr. pisarz i krytyk sztuki. [przypis edytorski]

<sup>2</sup> *Sagiensis episcopi bibliothecarius sollertissimus* (lac.) — uczony bibliotekarz biskupa Sééz. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> *judeae manu nefandissima* (lac.) — z ręki niegodziwego Żyda. [przypis edytorski]

<sup>4</sup> *przyjaciół* — dziś popr. forma: z przyjaciółmi. [przypis edytorski]

<sup>5</sup> *stawa* — dziś popr. forma: staje. [przypis edytorski]

<sup>6</sup> *dwususowy* — za dwa *sous*, tj. bardzo tanie, mierne; *sous* — daw. drobna moneta fr. [przypis edytorski]

kalamburów na temat tego, co dała dusza artyście. Nie waham się twierdzić, że w naszej dobie nie ujmujemy jednego jedyne go wiersza *Iliady* czy *Boskiej komedii* w tym znaczeniu, jakie posiadały pierwotnie. Życie to przemiana, a żywot pogrobny naszych pisanych myśli nie może również wyłamać się spod tego prawa. Przetrwają, ale jedynie pod warunkiem, że będą się stawać coraz odmienniejsze od tego, czym były rodząc się z dusz naszych. To, co w nas podziwiać będzie potomność, niepodobne nam będzie zgoła i całkiem obce.

Nie jest wykluczone, że Jakub Rożenek, człowieczek prostoty niesłuchanej, nie zdawał sobie wcale sprawy z tych problemów odnośnie do małej książeczki, która wyszła spod jego pióra. Krzywdę byśmy mu uczynili wielką, posądzając go o przesadne mniemanie o sobie.

Znam go, zda mi się, dobrze. Zastanawiałem się nad jego książką. Wszystko, co mówi i czyni, świadczy o wielkiej skromności ducha. Nie było mu co prawda tajne, że talent posiada, wiedział również jednak, że jest to rzecz najtrudniejsza do przebaczenia. Łatwiej dużo darować ludziom wybitnym małoduszność i obłudę serca. Godzimy się chętnie z ich tchórzostwem czy złośliwością, a nawet powodzenie nie przysparza im nieprzyjaciół, o ile tylko jest niezasłużone.

Zazdrość

Przejętnych natychmiast podnoszą i wchłaniają przejętni z najbliższego otoczenia, bowiem uznanie owo na nich samych spływa. Chwała człowieka małego nikogo nie razi, jest to raczej potajemne schlebienie wulgarności. Talent natomiast tai w sobie zuchwalstwo i pokutuje za nie, budząc głuchą nienawiść i skryte oszczerstwo. Można podziwiać tylko zdrowy pogląd Rożenka i uznać go za godnego ucznia mistrza będącego znawcą ludzi, jeśli świadomie zrezygnował z uciążliwego bardzo zaszczytu rozgniewania tłumu głupców i złoźników za pomocą utworu swego. Koniec końcem, rękopis Jakuba Rożenka nie został wydrukowany i znikł na więcej niż sto lat. Udało mi się szczęśliwie odnaleźć go u pewnego handlarza przy bulwarze Montparnasse, który rozkłada poza zakurzonymi szybami swego sklepiku ordery lilii burbońskiej, medale ze Św. Heleny i dekoracje lipcowe, nie wiedząc, że daje w ten sposób ludziom współczesnym pełną melancholii lekcję rezygnacji. Rękopis ten ogłoszony został w roku 1893 przeze mnie pod tytułem *Gospoda pod Królową Gęsią Nóżką*, tom in 18°, i do niego odsyłam czytelnika, ręcząc, że znajdzie w nim więcej nowości niż w niejednej starej księdze. Ale tutaj nie idzie mi wcale o tę rzecz.

Jakub Rożenek nie poprzestał na zaznajomieniu świata z czynami i poglądami swego mistrza w opowieści skomponowanej jak romans. Zebrał on także dużo mów i rozmów księdza Hieronima Coignarda, nie mogących znaleźć miejsca w pamiętniku (tak nazwać by należało właściwie rzecz pt. *Gospoda pod Królową Gęsią Nóżką*), i powstała stąd mała książeczka, która wraz z innymi papierami dostała się w moje ręce.

Publikuję ją obecnie pod tytułem: *Poglądy księdza Hieronima Coignarda*. Ochotne przyjęcie przez publiczność pierwszej pracy Jakuba Rożenka dodało mi odwagi do puszczania w obieg tych dialogów, które odzwierciedlają ową przedziwną, pobłażliwą mądrość i wielkoduszny sceptycyzm byłego bibliotekarza biskupa de Sécz, jakimi przepoiło go zgłębianie ludzkiej natury, z konieczności nacechowane pogardą i życzliwością jednocześnie.

Nie mogę brać odpowiedzialności za poglądy tego filozofa na przeróżne sprawy z zakresu polityki i moralności. Obowiązek mój jako wydawcy ogranicza się wyłącznie do przedstawienia myśli danego autora w jak najkorzystniejszym świetle. Wolnomyślny umysł jego gardził wszelkimi wierzeniami pospółstwa, nie poddawał się bezkrytycznie zapatrywaniom swego czasu, a jedynie w rzeczach dotyczących wiary świętej był zgoła nieugięty. Pod każdym innym względem ważył się na walkę z wiekiem swoim, i to właśnie wzbudza we mnie cześć dla niego. Winniśmy wdzięczni być wielkim umysłem, niweczającym przesady. Łatwiej atoli wielbić niż naśladować, przesady bowiem tworzą się i zmieniają na kształt chmur wieczyście ruchliwych. Z zasady zawsze wydają się dostojne, zanim przybiorą wygląd ohydny, toteż rzadkimi są ludzie nie ulegający urojeniom panującym współcześnie i mający odwagę spojrzeć w oblicze prawdy, przed którą korzy się hołota. Ksiądz Coignard był człowiekiem zajmującym skromne stanowisko i samo to wystarcza moim zdaniem, by go postawić powyż takiego Bossueta i tych wszystkich dostojników,

którzy jaśnieją w pierwszych rzędach teatru świata, w tradycyjnym otoczeniu zwyczajów i wierzeń.

Jeśli z jednej strony cenić należy wolność umysłu księdza Coignarda, nie skażonego pospolitymi błędami, jako też to, że namiętności nasze i obawy nie miały doń przystępu, to z drugiej strony należy podnieść, że ten znakomity człowiek posiadał niezwykle, oryginalne poglądy na przyrodę i społeczeństwo i mógłby był niewątpliwie zachwycić wszystkich wspianą, ogarniającą całokształt rzeczy konstrukcją myślową, gdyby mu jeno<sup>7</sup> nie brakło zręczności czy woli nasypania do luk widniejących pomiędzy różnymi prawdami całej masy świętych sofizmatów, co by całość spoilo w jedną bryłę. W ten to jeno sposób buduje się wielkie systematy filozoficzne, gdzie jedynym lepiszczem jest zawsze sofistyka. Brakło mu zmysłu twórczości systematycznej lub też, powiedzmy, znajomości sztuki symetrycznej architektury i brak ten sprawia, że okazuje się tym, czym jest w rzeczywistości, to znaczy: najmędrszym z moralistów, czymś w rodzaju równoczesnego kontynuatora Epikura i św. Franciszka z Asyżu.

Ci mężowie to, zdaniem moim, dwaj najlepsi przyjaciele cierpiącej ludzkości, jakich spotkała w swej bolesnej, obłądnej wędrówce. Epikur wyzwala dusze ze złudy strachu i uczy je dostosowywać pojęcie szczęścia do swej nędznej natury i małych sił swoich. Zaczyna św. Franciszek, czulszy i bardziej zmysłowy, wiedzie ich ku szczęściu drogą wewnętrznych marzeń i chce, by za jego przykładem dusze tonęły w radosnym upojeniu, zapadały w bezden urocznej samotności. Obaj byli dobrzy, jeden bowiem zniweczył złudy przestarzałe, drugi stworzył złudy nowe, z których zbudzić się nie sposób.

Nie przesadzajmy jednak w niczym. Ksiądz Coignard nie dorównywał zapewne ani czynami, ani myślami najodważniejszemu z mędrców i najpłomienniejszemu ze świętych. Nie umiał, odkrywając prawdy, rzucić się w nie niby w przepaść. W najśmielszych dociekaniach swoich zachowywał metodę człowieka odbywającego miłą przechadzkę. Nie przejmował się zbyt pogardą ogólną, jaką go napawali ludzie. Brak mu było owej bezcennej złudy, która stanowiła siłę Bakona<sup>8</sup> i Dekarta<sup>9</sup>, nie mógł jak oni wierzyć w siebie, utracił wiarę w innych. Nie dowierzał prawdzie, którą nosił w sercu, i rozsiewał skarby swego ducha bez zwykłego namaszczenia. Brakło mu tego wspólnego wszystkim fabrykantom idei zaufania do siebie, tej zarozumiałości, że jest wyższym nad wszystkich geniuszów, którzy dotąd istnieli.

Jest to błąd, jakiego świat nie przebacza nigdy, bowiem sława oddaje się jeno temu, kto się stara o jej względy. Było to wielką słabością i brakiem konsekwencji ze strony ks. Coignarda, że posunąwszy swe filozoficzne zuchwalstwo do granic ostatnich, nie miał odwagi proklamowania się pierwszym z ludzi. Serce atoli<sup>10</sup> jego pozostało pokornym, a dusza czystą i owa niedomoga intelektualna, przeszkadzająca wznieść się ponad wszechświat, przyprawiła go o stratę nienaprawialną zgoła. Ach... wyznam szczerze, że właśnie to czyni go bliższym memu sercu.

Twierdzę bez wahania jako filozof i chrześcijanin: ks. Coignard łączy w sobie w sposób iście przedziwny epikureizm, chroniący nas od cierpienia, i prostotę świętego, ową niewyczerpaną krynicy szczęścia.

Zwrócić winniśmy przede wszystkim uwagę na to, iż nie tylko przyjmuje ideę Boga w tym kształcie, w jakim dała nam ją wiara katolicka, ale stara się poprzeć ją argumentami ściśle rozumowymi i silnie ugruntować. Nie śtapa śladami owych zręcznych i praktycznych deistów z profesji, którzy, stworzywszy na swój użytek Boga moralistę, filantropa i skromnisia, są z nim za pan brat i żyją w zupełnym porozumieniu niby świnia z pastuchem. Bezpośredni i bezceremonialny stosunek z tak wielką osobistością nadaje ich dziełom wielki autorytet, a ich samych w oczach publiczności otacza nimbem czci i uznania. Ks. Coignard nie robił nigdy tak dobrego interesu na Bogu, wielkorządcy świata, umiarkowanym, zrównoważonym, wolnym od wszelakiego fanatyzmu, którego wyśmienicie wprowadzić można w zespół ludzki, na wiec polityczny, do salonu czy akademii. Takiego

Filozof, Bóg

<sup>7</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>Bakon, właśc. *Roger Bacon* (1214–1294) — filozof i alchemik ang., uważany za twórcę metody naukowej. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>Dekart, właśc. *René Descartes* a. *Kartezjusz* (1569–1650) — fr. uczonec i filozof, autor *Rozprawy o metodzie*. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>atoli (daw.) — jednak. [przypis edytorski]

Przedwiecznego nie posiadał ks. Coignard, przeświadczony atoli, że poznać wszechświata nie można inaczej jak intelektem własnym, uznał świat za poznawalny i, nie cofając się nawet przed możliwością wykazania absurdalności takiej koncepcji, odniósł przyczynę jego istnienia do inteligencji zasadniczej, nazwawszy ją Bogiem. Zostawił tej idei całą mglistość nierozłączną z wszelką zasadą i całą nieuchwytność, odsyłając żądnych szczegółów do teologii, która, jak wiemy, sekcjonuje Niepoznawalne z całą starannością operatora.

Owa rezerwa, zarysowująca krańce jego inteligencji, była nader szczęśliwym pomysłem, chociaż z drugiej strony odjęła mu, zdaniem moim, chęć zbudowania jakiegoś uroczego i ponętnego systematu filozoficznego i uchroniła przed wetknięciem głowy w jedną z takich właśnie łapek na myszy, do których spieszy zazwyczaj każdy duch wolny, pragnąc co prędzej zakończyć żywot swój. Czując się doskonale w starej jamie szczurzej, odnalazł w niej niejedno wyjście, a zerkając na prawo i lewo, czynił odkrycia w świecie i obserwował uważnie przyrodę.

Nie podzielam jego wierzeń religijnych i zdaje mi się, że wprowadziły go one nieraz w błąd, podobnie jak tumańczyły całe pokolenia i wieki, ku szczęściu czy nieszczęściu ludzi. Być może jednak, że stare błędy nie są tak straszne, jak nowe, a jeśli już musimy dać się wodzić za nos, to lepiej chyba trzymać się złud, których ostrze stępiało.

Muszę twierdzić, że o ile ksiądz Coignard przyjął za zasadę wierzenia chrześcijańskie i katolickie, to jednak nie krępował się wcale, gdy szło o wyciągnięcie z nich konkluzji nader oryginalnych. Z korzeni ortodoksji wykwitł prąd jego bujnej duszy i rozkwiecił się nadobnymi kielichami epikureizmu i pokory. Wspomniałem już, że starał się zawsze wypłoszyć ze świata owe nocne widziadła, one przerażne maskary, owo, jak je nazwał, diabelstwo gotyckie, czyniące pobożny żywot prostego mieszczucha areną, na której szaleje sabat codziennego trywializmu małpującego religię. Teologowie dni naszych zarzucają mu, że się posuwał w ufności w miłosierdzie Boże zbyt daleko, że dochodził aż do zupełnej bezbożności. Taki zarzut znajdujemy w artykule jednego z wybitnych myślicieli<sup>11</sup>.

Nie wiem doprawdy, czyli ks. Coignard „grzeszył zuchwale w nadziei nieprzebranego miłosierdzia Bożego”, nie ulega jednak wątpliwości, że łaskę traktował w rozmiarach bardzo szerokich i zgodnych z naturą, a świat w oczach jego nie tyle przywodził na pamięć pustą Tebaidy, co rozkoszne ogrody Epikura. Przechadzał się też po nim z ową pełną zaufania naiwnością, będącą zasadniczym rysem jego charakteru i podwaliną nauki.

Żaden umysł nie jednoczył w sobie, zaprawdę, takiego zuchwalstwa i umiłowania pokoju oraz tak nie słodził pogardy nektarem dobroci. Etyka jego to synteza śmiałości filozofów kynejskich i pokornej czystości pierwszych mnichów św. Franciszka w Porcjunkuli. Pogardzał ludźmi z nieopisaną czułością, starając się pouczyć ich, że jedyną wielką rzeczą, jaką posiadają, jest zdolność cierpienia bez granic, a zarazem jedyna rzecz rozsądna i piękna, na jaką się zdobyć mogą, to litość. Uczył braci swych, zdolnych jeno pożądać i cierpieć, jak mają hodować w sobie cnotę pobłażania i rozkoszy. Doszedł w konkluzjach swych do wskazania za źródło wszelkiego zła występku pychy, który jest jedynym zarazem grzechem przeciwko naturze.

Zdaje się, miał rację, ludzi bowiem unieszczęśliwia głównie przesadne mniemanie o sobie samych i swych bliźnich, a gdyby nabrali poglądu skromniejszego i zgodniejszego

<sup>11</sup> *Teologowie dni naszych zarzucają mu [...] zarzut znajdujemy w artykule jednego z wybitnych myślicieli* — Jan Lacoste pisze w „Gazette de France” z dnia 20 maja 1893: Ksiądz Hieronim Coignard to kapłan prudencji, pokory i wiary. Nie twierdząc, by postępowaniem swym czynił zawsze zaszczyt swej tonsurze, a duchowna sukienka jego pokaleczoną została może tu i ówdzie niewielkimi dziurami. Ale nawet wówczas, kiedy ulega pokusie, kiedy diabeł porywa go w szpony, unosząc bez dostatecznego oporu, to nie traci on nigdy wiary i ufa zawsze, że przy łasce Bożej poprawi się i ostatecznie wejdzie do królestwa niebieskiego, przeznaczonego dla sprawiedliwych. W istocie daje nam budujące widowisko śmierci pięknej i godnej chrześcijanina-katolika. Widzimy tedy, że ziarno gorczyczne wiary, zdobiące życie, oraz pokora tkwią w słabostkach ludzkich. Jeśli nawet ks. Coignard nie jest świętym, to kwalifikuje się co najwyżej do czyścica. Ale mimo że się tam pewnie dostał, to jednak niewiele brakowało, by zleciał na dno piekiel, albowiem życie jego, nacechowane szczerą pokorą, nie wykazuje zgoła żadnego aktu skruchy ani żalu za grzechy. Miał zbyt wielką ufność w miłosierdzie Boże i nie czynił żadnych wysiłków, by uczynić duszę swą podatną na działanie łaski. Dlatego to ciągle popadał w dawne grzechy. Na niewiele zdała mu się tedy wiara i był nieomal heretykiem, albowiem święty sobór trydencki w VI i IX kanonie szóstej kongregacji rzuca anatemę na tych, którzy twierdzą, jako „niezdolen człowiek uczynić złego wbrew woli Boga, i mają taką ufność w potęgę wiary, iż za zbytuczynny uznają każdy wysiłek woli własnej, sądząc, iż sama do zbawienia wystarcza”. Dlatego ta łaska Boża, która spływała na ks. Coignarda, jest wprost cudowną i nie zdarza się w normalnych warunkach życia. [przypis autorski]

z tym, co stanowi istotę natury człowieka, staliby się wyrozumialszy dla bliźnich i dla siebie zarazem.

Życzliwość tedy sprawiła, iż z pogardą odnosił się do bliźnich swoich, że tępił ich uczucia, wiedzę, filozofię i instytucje społeczne. Pragnął gorąco i miał odwagę wykazać im, że nie byli w stanie stworzyć ni wymyślić niczego, co godnym byłoby gwałtownej napaści czy żarliwej obrony, a gdyby wiedzieli, jak niezdarne i kruche są ich największe dzieła, na przykład ustawodawstwo i państwowość, toczyliby o nie jeno pozorne walki i turnieje, bawiliby się jeno w atak i obronę, jak czynią dzieci, budujące pałace i niezdobyte twierdze z piasku nad brzegiem morza.

Nie trzeba tedy oburzać się ni dziwić, że starał się obniżyć wszystkie owe idee, które służą do wytwarzania pojęcia sławy i szczytów kosztem pokoju i spoczynku człowieka. Nie imponował jasnowidzącej duszy jego majestat prawa i wyrażał ciągle żal, iż nieszczęśliwi uginają się pod takim brzemieniem zobowiązań, których zasady i znaczenia najczęściej zgoła odnaleźć nie sposób. Wszystkie zasady wydawały mu się jednakowo wątpliwe i chwiejne. Doszedł do tego, że twierdził, jakoby obywatele dlatego jeno skazywali na infamię tak wielką liczbę podobnych sobie, iż w ten sposób, na mocy kontrastu, sycą się tym lepiej czciami własną i szacunkiem. Ten pogląd sprawił, że wołał towarzystwo złe od dobrego, idąc śladami Tego, który przestawał z „publikanami i wszetecznymi”. W takim to środowisku zachowywał czystość serca, dar sympatii i skarby miłosierdzia. Nie będę tu mówił o czynach jego opowiedzianych w dziele pt. *Gospoda pod Królową Gęsią Nóżką*. Nie chcę nawet zaciekać się, żali<sup>12</sup>, jak to powiadano o pani de Mouchy, więcej był wart niżli życie jego. Czyny nasze nie są to nasze dzieła, zależą bowiem więcej od okoliczności niż od nas samych. Różne ręce kierują nami, nie warcimy często samych siebie, a jedyna rzecz, jaką posiadamy naprawdę, to myśl nieuchwytna, ona stanowi jądro naszej istoty. Stąd też płynie owa pycha opinii publicznej.

W każdym razie stwierdzam z przyjemnością, że wszyscy bez wyjątku ludzie kultury uznali księdza Coignarda za człowieka bardzo miłego i interesującego. Trzeba by też być prawdziwym faryzeuszem, by nie przyznać, że było to piękne dzieło Boże. Teraz wracam co prędzej do samej nauki jego, gdyż o nią tutaj wyłącznie idzie.

Brakiem największym znakomitego męża był zupełny zanik instynktu czci. Natura odmówiła mu tej zalety, a nie uczynił nic, by ją nabyć. Bał się widocznie, że wielbiąc jednych, poniży drugich, zaś miłość chrześcijańska, jaką się odznaczał, obejmowała wszystkich po równi, małuczki i wielmożów. Ofiary budziły w nim politowanie, zaś kaci napelniali go taką wzdargą, że nie uznawał ich nawet za godnych nienawiści. Nie życzył im nic złego, żałował jeno, iż stali się złymi.

Nie wierzył, by jakiegokolwiek represalie legalne czy samorzutne mogły usunąć zło, przeciwnie, mniemał, że je zwiększają tylko. Nie lubował się w złośliwych przytykach czy satyrze, jaką się posługuje zemsta osób pojedynczych, ani także w pełnym majestatu okrucieństwie prawa. Uśmiechał się czasem patrząc na pogrom posiepaków policyjnych, lecz był to jeno zrozumiały odruch człowieka z ciała i krwi, objaw dobroduszości jego.

Pogląd jego na zło był nader prosty i zrozumiały. Wywodził go wyłącznie z organicznej budowy człowieka i jego uczuć naturalnych, nie zaćmiewając go zgoła ową masą przesądów, spiętrzonych w tak sztuczną, nielogiczną budowlę.

Wspomniałem już, że nie stworzył własnego systemu, nie mając skłonności do rozwikływania problemów za pomocą sofizmatów. Widocznie wstrzymała go zaraz ta pierwsza trudność w rozważaniach nad sposobami ziszczenia na ziemi szczęścia lub przynajmniej pokoju. Przekonany był, że człowiek jest z natury swojej bydlęciami niezmiernie złym i społeczeństwo jest dlatego wstrętne, ponieważ owo bydlę wkłada cały swój geniusz w tworzenie go. Nie spodziewał się tedy niczego pomyślnego z powrotu do stanu natury. Wątpię, czy byłby zmienił zapatrywanie, choćby żył dość długo, by przeczytać *Emila*. W czasie gdy umierał, J. J. Rousseau nie przewrócił jeszcze świata do góry nogami krasomówstwem najszczerzego uczucia, zjednoczonym z najfatalniejszym rozumowaniem. Był on wówczas<sup>13</sup> ledwo małym urwipolciem i, niestety, widywał na ławkach na polu bezludnych alei Lyonu innych księży, zgoła niepodobnych do księdza Hieronima Co-

<sup>12</sup>żali a. zali (daw.) — czy, czyż, czy rzeczywiście. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>wonczas (daw.) — wtedy, w tym czasie. [przypis edytorski]

ignarda. Jakaż to wielka szkoda, że znakomity mąż, mający tyle znajomych w różnych warstwach społeczeństwa, nie spotkał przypadkiem małego przyjaciela pani de Warens. Choć prawda, byłaby to jeno zabawna scena, coś w rodzaju obrazka o romantycznym nastroju. Jan Jakub nie mógł nabrać zamiłowania do pesymistycznej mądrości naszego filozofa. Nie ma chyba większych sprzeczności niż pomiędzy rozumowaniem Rousseau a ks. Coignarda. To ostatnie przepojone jest dobrotliwą ironią, jest pobłażliwe i łatwe, zbudowane na ułomności ludzkiej, posiada niewzruszalne podstawy. Pierwszemu brak zwątpienia i lekkiego uśmiechu. Oparte o fikcyjną zasadę dobroci prymordialnej<sup>14</sup> naszych współbliźnich, znajduje się ciągle w kłopotliwej sytuacji, nie zdając sobie nawet sprawy, jak jest śmieszna. Takie doktryny głosić mogą jeno ludzie, którzy nie śmiali się nigdy. Czując, że się wplątali w głupstwo, gniewają się, a ten zły humor nie posiada żadnego powabu. Mało tego jeszcze, sprowadzają człowieka do małpy i wpadają we wściekłość szaloną, przekonawszy się, że nawet małpa nie jest cnotliwa. Jest to doktryna okrutna i głupia, a pokazała się taką dowodnie, gdy mężowie stanu uwzięli się zastosować kontrakt socjalny<sup>15</sup> do... najlepszej z republik.

Robespierre czcił pamięć Rousseau i musiałby uznać księdza Coignarda człowiekiem złym. Nie czyniłbym o tym wzmianki, gdyby w istocie Robespierre był potworem, ale dla mędrca nie istnieją potwory. Robespierre był optymistą, wierzącym w cnotę, a mężowie stanu o takim temperamencie sprowadzają zawsze dużo zła na świat. Ten, kto ma pretensję kierować ludźmi, nie powinien zapominać, że są to złośliwe małpy. Pod tym jeno warunkiem można być politykiem ludzkim i dobrym. Szaleństwa rewolucji wynikły jeno z chęci ugruntowania cnoty na ziemi. Ten, kto chce uczynić ludzi dobrymi, mądrymi, wolnymi, umiarkowanymi i wspańiałomyślnymi, musi konsekwentnie dojść do chęci wymordowania ich do szczętu. Wierzący w cnotę Robespierre był twórcą terroru. Marat wierzył w sprawiedliwość i zażądał dwustu tysięcy głów. Ksiądz Coignard zalicza się pewnie do tych umysłowości XVIII wieku, których poglądy stoją w największej z rewolucją sprzeczności. Nie podpisałby na pewno<sup>16</sup> ani jednego wiersza *Praw człowieka i obywatela*, a to z powodu strasznego i zasadniczego rozdźwięku, jaki ten akt wprowadza między człowiekiem a gorylem.

Przed kilku dniami odwiedził mnie pewien znajomy anarchista, zaszczycający mnie swą przyjaźnią, którego lubię, albowiem, nie biorąc do tej pory udziału w rządach swego kraju, zachował sporą dozę niewinności. Otóż pragnie on wszystko wysadzić w powietrze dynamitem, ponieważ wierzy, że ludzie z natury są dobrzy i cnotliwi. Pewny jest, iż postradawszy mienie i wyzwolewszy się spod praw, zrzucą natychmiast z siebie egoizm i złośliwość. W ten sposób optymizm najtkliwszy doprowadził go do zwierzęcego wprost okrucieństwa i dzikości.

Całym nieszczęściem jego jest i całą zbrodnią, że przyniósł duszę elizejską, wieku złotego godną, do państwa kuchtów, gdzie żyć skazany został. To drugie wydanie Rousseau, uczciwego i prostego, który nie dałby się zastraszyć pani d'Houdetot ani nie ugiął się przed uprzejmą wspańiałomyślnością marszałka Luksemburga. Czystość ducha czyni logikę jego straszliwą. Rozumuje nierównie lepiej niż minister, punktem wyjścia jest mu atoli nonsens oczywisty. Nie wierzy w grzech pierworodny, mimo że jest to dogmat tak niezbitnie prawdziwy i niewzruszony, że na tym kamieniu węgielnym mógł każdy budować, co chciał.

Jakaż szkoda, księżo Coignardzie, że cię nie było w moim gabinecie, gdyż niezawodnie przekonałbyś go o nicości założeń jego nauki! Pewny jestem, że nie mówiłbyś temu szlachetnemu utopiście o dobrodziejstwach cywilizacji ni koniecznościach państwowych. Wiesz dobrze, iż nie przystoi natrzęsać się z nieszczęśliwego. Nie tajne ci, że tzw. ład publiczny jest to jeno gwałt zorganizowany, a każdy powołany jest sądzić go w miarę swych potrzeb i praw. Dałbyś mu, zaręczam, pełny obraz, straszliwą wizję onego porządku naturalnego, jaki chce sprowadzić, wskazałbyś w ramach idylli, o której marzy, nieskończoną ilość krwawych tragedii osobistych, a w końcu przekonałby się, że pod oną szczęsną anarchią kryje się zaródz bezwzględnej i okrutnej tyranii.

<sup>14</sup>prymordialny (z fr. primordial: pierwotny; najważniejszy) — pierwotny, początkowy, wrodzony. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>kontrakt socjalny — umowa społeczna, postulat J.J. Rousseau. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>na pewne — dziś: na pewno. [przypis edytorski]

Przywódca, Potwór, Zło

Rewolucja, Sprawiedliwość,  
Małpa



To nas prowadzi do bliższego określenia stanowiska, jakie zajął ks. Coignard pod „Małym Bachusem” wobec rządów i ludów. Nie uszanował ani augurów społeczeństwa, ani arki państwowości. Wyraził silne wątpliwości nawet odnośnie do świętej ampułki<sup>17</sup>, będącej za jego czasów podwaliną szczęśliwości społecznej, jak za naszych głosowanie powszechne, i oświadczył, że zalety jej mogą podlegać dyskusji. Wolnomysłność ta, która musiała oburzyć wszystkich współczesnych, nie dotyka nas wcale.

Źle zrozumiałby jednak naszego filozofa ten, kto by mu przebaczał i tłumaczył popełdliwością jeno ataki krytyczne, jakie przypuszczał do fortecy *ancien regime’u*. Ksiądz Coignard nie czynił wielkiej różnicy pomiędzy formami rządu, które zwano absolutnymi, i formami liberalnymi, a mamy dużo powodów przypuszczać, że gdyby żył za naszych czasów, zachowałby w duszy sporą dozę swego szlachetnego oburzenia, które zeń biło jak woda ze źródła.

Sięgając w swej krytyce zasad, odkryłby niezawodnie nicość zasad naszych. Świadczy o tym jedno z powiedzeń jego, jakie zachowane zostało.

— W ustroju demokratycznym — oświadczył ks. Coignard — lud poddany jest pod jarzmo woli własnej, a jest to straszliwa niewola! W istocie ludowi jest tak obcą wola własna i tak sprzeczną z jego życzeniami, jak i wola króla. Wolę powszechną w drobnej jeno części odnaleźć można w woli poszczególnych osób. Czasem zgoła jej tam nawet nie ma, a mimo to wszyscy znosić muszą przymus nią narzucony. Stąd też głosowanie powszechne jest podobną pułapką na głupców jak gołębica, która przyniosła krzyżmo święte z nieba w dzióbku. Rząd ludowy równie jak monarchiczny opiera się o fikcję i żyje fortelami, idzie tylko o to, by wmówić w obywateli ów absurd zasadniczy i zręcznych imać się sztuczek, bo gdy się któraś nie uda, nieszczęście gotowe.

Maksyma owa starczy, by nas przepoić wiarą, że i za dni naszych zachowałby ową pogodną, dumną wolnomysłność, która zdobyła duszę jego za czasów królewskiej. Mimo to nie był nigdy rewolucjonistą. Nie posiadał dość talentu do życia z ludą i wiedział, że formy rządu zniweczone mogą zostać jeno przez one ślepe, tajne, a powolnie działające niezmożone potęgi, które ziszczają przemianę wszystkiego na ziemi.

Wierzył, że jeden i ten sam naród rządzony może być w danym czasokresie w jeden jeno sposób, a to z tego powodu, iż narody są to organizmy, których funkcje zależą od budowy członków i stanu organów, to znaczy od podłoża i samej natury ludu, nie zaś od form rządu, które są jeno dopasowane do narodu, niby suknia do ciała ludzkiego.

— Całe nieszczęście — dodawał — że z narodami dzieje się podobnie jak z Arlekinem i głupim Kubą w czasie przedstawień jarmarcznych. Ubiory ich są zazwyczaj za obszerne lub za ciasne, niewygodne, śmieszne, brudne, pełne dziur i roją się od robactwa. Można temu zapobiec poniekąd, trzepiąc je ostrożnie lub biorąc na pomoc igłę i nożyczki. Należy to czynić delikatnie, by nie narazić się na koszt sprawiania nowej odzieży, równie niestosownej, a jednocześnie nie upierać się przy zachowaniu starej, jeśli ciało z biegiem czasu przybrało zgoła inne rozmiary i kształty.

Widzimy tedy, że ks. Coignard umiał pogodzić ład z postępem i że w gruncie rzeczy wcale nie był złym obywatelem. Nie podburzał nikogo do rewolty, ale pragnął, by instytucje państwowe zużywały się i rzeźbiły raczej przez ustawiczne tarcie, niżby je obalano i trzaskano uderzeniami pięści. Zwracał ciągle uwagę swym uczniom na to, że najbardziej szorstkie prawa polerują się przedziwnie przez ciągłe używanie i że cierpliwość czasu pewniejszą jest od ludzkiej.

Gdy widział doraźną modyfikację niekształtnej postaci prawa, nie pochwałał tego i nie żywił żadnej nadziei, mało mając zaufania do nagłych zmian ustawodawczych. Czasem pytał go Jakub Rożenek, żali<sup>18</sup> nie obawia się, by jego krytyczna filozofia, stosowana do urzędzeń koniecznych, które sam za pozytywne uważał, nie miała fatalnego wpływu na zachwianie tym, co należy ochraniać i zachować.

— I na cóż — mówił mu wierny uczeń — i na cóż, o najdoskonalszy z mistrzów, walić w proch podwaliny prawodawstwa, sprawiedliwości i w ogóle wszystkich magi-

<sup>17</sup>Wyraził silne wątpliwości nawet odnośnie do świętej ampułki, będącej za jego czasów podwaliną szczęśliwości społecznej, jak za naszych głosowanie powszechne — naczynko zawierające święcony olej, którym namaszczano szosa królów Francji przy koronacji. Rozbił je w roku 1793 na placu publicznym Reimsu reprezentant ludu, Ruhl. Przechowywane było przez całe wieki w katedrze w Reims. [przypis tłumacza]

<sup>18</sup>żali a. zali (daw.) — czy, czyż. [przypis edytorski]

stratur cywilnych i wojskowych, skoro sam uznajesz, że potrzebne jest prawo, wymiar sprawiedliwości i armia, że potrzebni są urzędnicy i policja?

— Synu mój — mówił ks. Coignard — zbadałem gruntownie rzecz i wiem, że zło ludzi trapiące tkwi w przesądach, podobnie jak pająki i skorpiony wylazą z ciemni wilgotnych piwnic i śmietników. Dobrze jest od czasu do czasu wziąć do ręki pogrzebac i miotłę i pomachać nimi na oślep po wszystkich zakamarkach. Dobrze jest także wziąć czasem oskard i puknąć tu i ówdzie w mur piwnicy lub ruszyć łopatą ziemię w ogrodzie. Napędza to strachu robactwu i przyspiesza rozpadnięcie się zmurszałych ścian.

— Zupełna racja — powiedział słodki Rożenek. — Ale cóż zostanie, o mistrzu jedyny, gdy powalisz w gruz wszystkie zasady?

Na to zwykł był odpowiadać mistrz:

— Społeczeństwo żyć nie przestanie po zniweczeniu wszystkich fałszywych zasad, albowiem jest ono oparte o konieczność, której prawa, starsze niżli sam Saturn, trwać będą wówczas nawet, kiedy Prometeusz zasiądzie na tronie Jupitera.

Od czasu wygłoszenia owego poglądu przez księdza Coignarda Prometeusz kilka już, co najmniej, razy zdetronizował Jupitera, a prorocze słowa tego mędrca ziściły się tak dosłownie, że dzisiaj nie wiemy na pewne<sup>19</sup>, czy przypadkiem na tronie nie zasiada Jupiter, bowiem nowy porządek rzeczy najzupełniej podobny jest dawnemu. Wielu nawet zgola powątpiewa we władztwo tego tytana. Nie widać, powiadają, na piersi jego rany, przez którą sęp niesprawiedliwości wydarł mu serce, a wszakże rana ta miała broczyć po wiek wieków? Nie wie on, co cierpienie, bunt i wygnanie. Nie jest to bóg-pracownik, który nam był przyobiecany i którego wyczekiwaliśmy. To spaśny Jupiter starego, śmiesznego Olimpu. Kiedyż objawi nam się mocarny przyjaciel ludzi, dawca ognia, tytan przykuty do skały? Straszliwy łomot, dolatujący od gór, świadczy, że wychyla spod skalnych głazów okryte ranami ramiona i obejmuje nas w żar płomiennego oddechu, płynący z dala.

Nie zajmując się sprawami bieżącymi, ks. Coignard miał skłonność do spekulacji abstrakcyjnych i chętnie głosił idee ogólne. Ten nastrój umysłu, szkodliwy wobec współczesnych, sprawia, że mimo półtorawiekowej oddali poglądy jego zachowały i dla nas wartość i nie przestały być pożyteczne. Możemy z nich dowiedzieć się, co jest istotnym w naszych obyczajach, i odkryć zło w nich tkwiące.

Krzywdy, szaleństwa i okrucieństwa nie rzucają się w oczy, kiedy ogarniają całe społeczeństwo. Widzimy przeto błędy przodków, nie dostrzegając własnych. Nie ma jednej jedynej epoki w całej przeszłości, gdzie człowiek nie przedstawiałby nam się jako głupiec, krzywdziciel i dzikus, dziwnym by przeto było zjawiskiem, gdyby właśnie nasz wiek posiadał wyłączny przywilej oswobodzenia się z głupoty, złośliwości i brutalizmu. Poglądy księdza Coignarda mogłyby w wielkiej mierze dopomóc nam do rzetelnego rachunku sumienia, gdybyśmy nie byli jak owe bożyszczka, które mają oczy, a nie widzą, mają uszy, a nie słyszą. Przy odrobinie dobrej wiary i bezstronności przekonamy się bardzo prędko, że kodeksy nasze są dotąd węzówiskami krzywdy, że w obyczajach naszych pokutuje dziedziczna srogość, skąpstwo i pycha i że czcimy wyłącznie bogactwa, za nic mając pracę. Gdybyśmy tak uczynili, zobaczylibyśmy, czym jest naprawdę nasz porządek rzeczy, mianowicie, że składa się ze zła i nikczemności, że wyrok nań wydała sprawiedliwość natury, gdy zbrakło sprawiedliwości ludzkiej, a zagłada jego zbliża się szybkim krokiem.

Bogacze nasi wydaliby nam się równie głupi jak chrabąszcze, co nie przestają pożerać liści drzew, mimo że mały pasożyt wżarł się w ich ciało i pożera im wnętrzności. Wówczas też nie dalibyśmy się kołysać do snu fałszywą i płytką deklamacją naszych mężów stanu, a politowaniem przejełyby nas wywody naszych ekonomistów, klócących się o meble w płonącym domu.

Słowa księdza Coignarda przedstawiają nam się jako prorocza wżgarda zasad wielkiej rewolucji i praw demokracji, na których w ciągu stu lat wznosiliśmy przy pomocy wszelakich gwałtów i nadużyć chaotyczne gmachy coraz to nowych, buntowniczych form rządu, potępiając bez żadnej ironii same bunty.

Gdybyśmy zaczęli uśmiechać się po trochu z tych głupstw naszych, które wydawały się szczytne, a były często krwawe, gdybyśmy doszli do przekonania, że przesady współczesne mają skutki równie śmieszne lub ohydne, jak dawne, gdybyśmy spojrzeli na jedne

<sup>19</sup>na pewne — dziś: na pewno. [przypis edytorski]

i drugie z takim jak on miłosiernym sceptycyzmem, spory stałyby się mniej częste w tym najpiękniejszym z krajów świata, a praca księdza Coignarda stałaby się, w swoim zakresie, nader pożyteczną dla całej ludzkości.

*Anatol France*

# POGLĄDY KSIĘDZA HIERONIMA COIGNARDA

## I. MINISTROWIE PAŃSTWA

Pewnego dnia po obiedzie odwiedził ksiądz Hieronim Coignard, jak to miał w zwyczaju, pana Blaizot, księgarza, przy ulicy Św. Jakuba w sklepie jego „Pod Obrazem Św. Katarzyny”. Spostrzegłszy na półce dzieła Jana Racine’a, zaczął od niechcenia przewracać kartki jednego tomu.

— Poeta ten — powiedział — nie był pozbawiony talentu i gdyby był zdołał wznieść swój umysł aż tak wysoko, by tragedie swe pisywać łacińskim wierszem, byłby godnym pochwały, co dotyczy zwłaszcza owego ustępu w *Atalii*, gdzie okazał, że zna się dosyć dobrze na polityce. Corneille jest w porównaniu z nim pustym jeno deklamatorem. Owa tragedia o Joasie odsłania pewne sprężyny, których działanie wznosi i niweczy państwa. Przysnać trzeba, że pan Racine miał zmysł bystrości, który winniśmy cenić nierównie więcej niż wszystkie subtelności poezji i krasomówstwa, będące w istocie jeno sztuką retorską, mogącą podobać się głuptaskom. Roztacza subtelności może jeno umysł słaby, nie znający istotnej natury dzieci Adama, które są nędzne i godne litości. Nie powiem, że człowiek jest to śmieszne bydlę, albowiem Pan nasz, Jezus Chrystus, odkupił go krwią swoją drogocenną. Dostojęństwo człowiecze tkwi jedynie i wyłącznie w tej właśnie niepojętej tajemnicy, ale synowie ziemi sami przez się, mali czy wielcy, są to jeno zwierzęta dzikie i budzące odrazę.

Kondycja ludzka

W chwili gdy drogi mój mistrz wygłaszał te słowa, do sklepu wszedł pan Roman.

— Hola, księżu dobrodzieju! — zawołał ten wybitny mąż. — Zapominasz, widzę, że owe zwierzęta, budzące odrazę i dzikie, podlegają, przynajmniej w Europie, przedziwnie zorganizowanej policji i że państwa, jak np. królestwo francuskie i republika holenderska, odbiegły już bardzo daleko od owego barbarzyństwa i dzikości, które tak księdza rażą.

Mistrz wsunął na miejsce tom Racine’a i odpowiedział panu Roman ze zwykłym wdziękiem:

— Przysnążę panu, że czyny mężów stanu wydają się konsekwentne i jasne w pismach filozofów, którzy im poświęcają swe prace, i podziwiam w pańskim dziele o *Monarchii* kompozycję i wyborną koordynację idei. Racz pan jednak poprzestać na oddaniu hołdu sobie samemu tylko za owo piękne rozumowanie, jakie przypisujesz wielkim politykom czasów dawnych i obecnych. Nie posiadali oni zalet umysłu, jakimi ich wyposażasz; ci słynni ludzie, którym się zdawało, iż wiodą świat, byli w gruncie rzeczy jeno igraszką losu i okoliczności. Nie przerastali wcale poziomu głupstwa człowieczego i byli koniec końcem jeno osławionymi nikczemnikami.

Słuchając z oznakami zniecierpliwienia tego wywodu, pan Roman chwycił w ręce stary atlas i zaczął nim tłuc po stole hałaśliwie, po chwili zaś łoskot ten zmieszał się z szmerem jego głosu:

— Cóż za zaślepienie! — zawołał. — Jak to, czyż może ksiądz zapoznawać<sup>20</sup> doniosłość czynów wielkich ludzi, ministrów czy obywateli? Więc tak dalece nie znasz ksiądz historii, że nie wiesz, iż taki Cezar, Richelieu czy Kromwel<sup>21</sup> ugniatał ludy całe niby garncarz glinę? Czyż nie dostrzega ksiądz, że państwo idzie niby zegarek w ręku zegarmistrza?

Postęp

— Nie widzę tego — odrzekł szczerze mistrz mój. — Od lat pięćdziesięciu, to jest, jak długo żyję, widziałem w tym kraju kilka zmian rządów, a nie spostrzegłem, by się zmieniły czyjeś warunki bytu, o ile nie wezmę w rachubę pewnego nieznacznego postępu, który nie zawisł zgoła od ludzkiej woli. Wnoszę stąd, że jest rzeczą niemal obojętną, czy jest się rządzonym w ten, czy inny sposób, i wszyscy ministrowie wyróżniają się od innych ludzi jeno ubiorem i karetą.

— Jakże można mówić w ten sposób — odrzekł pan Roman — bezpośrednio po śmierci ministra państwa, który tak żywy brał udział we wszystkich ważnych sprawach i który po długiej niełasce zmarł, w chwili gdy obejmował z powrotem w ręce władzę

<sup>20</sup>zapoznawać — tu: ignorować, zapominać. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>Kromwel — właśc.: Cromwell. [przypis edytorski]



i wracał do utraconych zaszczytów i godności? Rozgłos towarzyszący jego trumnie powinien być dostatecznym chyba świadectwem jego czynów. Sława ta przeżyła go i przeżyje długo!

— Proszę pana — odrzekł mój mistrz — minister ten był człowiekiem zacnym, pracowitym i gorliwym i można powiedzieć o nim, jak o panu Vauban, że był zbyt grzecznym, by starać się o pozory uprzejmości, toteż nie miał potrzeby umizgać się do nikogo. Jako najwyższą pochwałę powiem, że zajmując się sprawami państwa stał się lepszym, w przeciwieństwie do tylu innych, których to demoralizuje. Miał silną duszę i żywe poczucie wielkości swej ojczyzny. Zasluguje jeszcze na pochwałę za to, iż dźwigał na swych szerokich barkach cierpliwie nienawiść kupczyków i małych markiziatek, a nieprzyjaciele nawet szanują go w skrytości serc. Ale racz pan powiedzieć, cóż uczynił tak znowu wielkiego i z jakiego to powodu wydaje ci się czymś więcej niż igraszką podmuchów wiatru, przelatujących wokół niego? Jezuici, których wygnał, powrócili, mała wojenka religijna, którą rozdmuchał ku zabawie narodu, zgasła marnie, pozostawiając po całym spektaklu jeno cuchnący zewłok spalonej rakiety. Miał, przyznaję panu ochotnie, spryt w urządzaniu rozrywek, czyli raczej dywersji, odwracających uwagę od rzeczy niepotrzebnych. Stronnictwo jego, będące jeno wytworem okoliczności i fortelów, nie czekało nawet śmierci jego, by zmienić nazwę i szefa, nie tykając samej doktryny. Stworzona przezeń intryga pozostała wierną mistrzowi i sobie samej i dalej kierowała się podmuchami wiatru. Czy to mają być dzieła wielkie, budzące podziw i cześć?

— A to doskonale... a to przedziwne! — odrzekł pan Roman. — Sądysz ksiądz dobrodziej, że ten minister czerpał swoją siłę rządzenia jeno z chmur i metafizycznych urojeń i z tego tworzył rzeczy realne i istotne, które mu zjednały ogólny poklask? Stronnictwo jego, powiada ksiądz, był to wytwór okoliczności i fortelów. Ale czegoż, na miły Bóg, potrzeba bardziej dla wsławienia się w kierowaniu sprawami ludzkimi, jak nie umiejętności chwytania sposobnej chwili i posługiwania się użytecznymi fortelami? Tego właśnie dokonał, a raczej byłby dokonał, gdyby małoduszność i zmienność jego zwolenników oraz perfidne zuchwalstwo wrogów były mu umożliwiły przeprowadzenie zamierzeń. Niestety, stargał siły w daremnych wysiłkach okiełznania tych drugich, a skonsolidowania pierwszych. Zabrakło mu czasu i ludzi, owych koniecznych środków dla zaprowadzenia dobroczynnego despotyzmu. Naszkicował przynajmniej niezrównany plan polityki wewnętrznej, a nie wolno zapominać o tym, że na zewnątrz wyposażył ojczyznę w rozległe, urodzajne terytoria. Winniśmy mu za to tym większą jeszcze wdzięczność, że dokonał tych szczęśliwych operacji sam jeden, i to wbrew parlamentowi, od którego był zawisły.

— Panie Roman — powiedział mistrz — minister okazał dużo energii i zręczności w sprawach kolonialnych, niewiększe one były jednak chyba niż także zalety niejednego z obywateli, kupującego szmat ziemi. Całą przyjemność psuje mi zawsze, gdy mowa o tego rodzaju wyprawach morskich, sposób postępowania Europejczyków z tymi ludami dalekiej Afryki i Ameryki. Ile razy zetkną się ze szczepami rasy żółtej czy czarnej, niezwłocznie wydaje im się, że muszą je wytepić. Z dzikimi można sobie, zdaniem ich, dać radę jedynie przy pomocy udoskonalonej dzikości. Do takich to ostateczności doprowadza każde przedsięwzięcie kolonialne. Nie zaprzeczam, że Anglicy, Hiszpanie czy Holendrzy odnieśli stąd niejaki korzyści. Ale zazwyczaj rusza się na los szczęścia i bez żadnego planu na takie okrutne wyprawy. Czymże jest zresztą wola czy mądrość jednego wielkiego człowieka w przedsięwzięciach dotyczących handlu, rolnictwa czy żeglugi, a więc zawisłych z natury rzeczy od niezmiernej liczby istot maleńkich i nikłych? Udział ministra w sprawach tego rodzaju jest nader mały, a jeśli wszystko jemu samemu przypisujemy, to dlatego, że umysł nasz, skłonny do mitologii, chce dać imię i kształt określony wszystkim tym niezliczonym, utajonym siłom przyrody. Cóż to stworzył pański minister nowego w sprawie kolonii, czego by już nie znali Fenicjanie za czasów Kadmusa?

Na te słowa pan Roman upuścił atlas, a księgarz pochylił się, by go podnieść nieznacznie.

— Księżę dobrodziej! — zawołał. — Z zalem wielkim przekonywam się, że ksiądz jesteś sofistą! Tylko sofista zdolny być może mieszać Fenicjan i Kadmusa z przedsięwzięciami kolonialnymi zmarłego ministra! Nie można zaprzeczyć, że rzecz ta jego była dziełem, przeto ksiądz w marny sposób chce zaćmić sprawę, wprowadzając na porządek dzienny Kadmusa.

Polityka

Kolonializm

— Panie Roman — rzekł ksiądz — zostawmy w spokoju Kadmusa, skoro masz pan do niego osobistą urazę. Chciałem tylko powiedzieć, że minister ma bardzo niewielki jeno udział w swych własnych przedsięwzięciach i że ani chwała mu się nie należy, ani hańba go nie obciąża. Chcę dalej powiedzieć, że jeśli w nędznej komedii życia książęta udają, iż rządzą, a narody udają, że ich słuchają, to jest to jeno zabawka, czyż pozór, a w gruncie rzeczy i ci, i tamci powolni są sile wyższej a niepoznanej.

## II. ŚWIĘTY ABRAHAM

Była piękna, ciepła noc letnia. Komary i ćmy tańczyły wokół latarni nad drzwiami „Małego Bachusa”, a ks. Coignard zażywał świeżego powietrza pod sklepieniem portyku Św. Benedykta Beturneńskiego. Rozmyślał głęboko, jak to było jego zwyczajem, gdy nagle ujrzał Kasię. Siadła na ławce kamiennej tuż przy znakomitym mężu, który nie lenił się nigdy chwalić Boga w dziełach jego. Z wielkim tedy upodobaniem ją przyglądać się onej dziewczynie, że zaś umysł jego był rzeźwy i zdobny, przeto mówił jej rzeczy miłe i przychlebne. Chwalił ją za to, że dowcip<sup>22</sup> nie tylko w języku posiada, ale również w karczku, łonie i innych częściach swej osoby. Powiadał, iż uśmiechać się potrafi nie tylko wargami i policzkami, ale także każdym dołeczkiem i każdą szpareczką swego nadobnego ciała, tak że każdego mierzi osłona, w jaką jest spowita, i rad by patrzeć na to uśmiechanie bez żadnej przeszkody.

— Z uwagi na to, że grzeszyć już musimy na tej nędznej ziemi — mówił — i nikt nie może unosić się pychą, jakoby mu nie zagrażał upadek, tedy proszę Boga, by mi udzielił przywileju, iżbym właśnie z tobą upaść mógł, dziewczeczko miła, o ile nie sprzeciwia się to woli twojej. Wynikłyby stąd dwie wielkie korzyści, a mianowicie: po pierwsze, mógłbym grzeszyć z radością wyjątkową i rozkoszą niewysłowioną, po wtóre zaś, znaleźć usprawiedliwienie w potędze wdzięków twoich, jest bowiem niewątpliwie zapisane w księdze losu, iż wdziękom twym nikt oprzeć się nie zdolny. Należy wziąć to pod głęboką rozważę. Zdarza się widzieć ludzi nieroztropnych, spółkujących z kobietami szpetnymi i niemilej postaci. Nieszczęśni ci, czyniąc tak, bliscy są zraty dusz swoich, bowiem grzeszą, by grzeszyć, a grzech ich pracowity przepojony jest jadem zła. Tymczasem cudne ciało twoje, droga Kasiu, to okoliczność łagodząca wielce sprawę w oczach Przedwiecznego. Wdzięki twe zmniejszają niezrównanie występki, z którego łatwiej rozgrzeszyć, ile że jest mimowolny. Krótko mówiąc, nadobna panienko, gdy siedzę przy tobie, czuję, że łaska Boża opuszcza mnie, oddala się i ulata niby gołąbek srebrzysty. W chwili gdy wymawiam te słowa, majaczy on ledwo widzialnie na niebie, ponad dachami, kędy wśród rynien miłują się koty, miotając wrzaski dziecięcym skargom podobne, a księżyc bezczelnie siada na cembrowinie komina i gapi się na nas głupawo. Wszystko, co mi danym jest widzieć z osoby twej, Kasieńko, porusza mnie wielce, a to, czego dojrzeć nie mogę, porusza oczy moje stokroć silniej jeszcze.

Na te słowa Kasia spuściła oczęta na własne kolana, potem potoczyła nimi połykliwie po obliczu księdza Coignarda i rzekła słodkim głosikiem:

— Widzę życzliwość w tych słowach, księżę Hieronimie, przeto uczyni mi łaskę pewną; przyrzeknij, że ją spełnisz, a niezawodnie wdzięczną się okażę.

Zacny kapłan przyrzekł ochotnie, któż bowiem na miejscu jego mógłby inaczej postąpić?

Wówczas Kasia zaczęła mówić z wielkim ożywieniem:

— Wiadomo ci jest, księżę Hieronimie, że wikariusz św. Benedykta, ksiądz Peruczka, obwiniał brata Anioła o kradzież osła i wniósł skargę do konsystorza. Otóż nie ma w tym wszystkim słowa prawdy. Biedny brat Anioł pożyczyl sobie jeno osła celem wozienia po wioskach okolicznych świętych relikwii. Osioł sam zgubił się gdzieś w drodze, a relikwie odnalezione z trudem zostały. Jest to rzecz pryncypalna, jak powiada zacny braciszek. Niestety, ksiądz Peruczka domaga się gwałtownie zwrotu osła i nie chce słuchać wyjaśnień żadnych, toteż zdaje się, że nieszczęsny brat Anioł powędruje do więzienia w arcybiskupstwie. Ty jeden, kochany księżę Hieronimie, możesz ułagodzić go i skłonić, by cofnął skargę swoją.

<sup>22</sup>dowcip (tu daw.) — inteligencja, bystrość umysłu. [przypis edytorski]

Grzech, Seks

Uroda

Zmysły

— Ależ, miła panienko — zawołał ksiądz Coignard — ani nie mogę, ani nie mam ochoty uczynić tego!

— Oo... — rzekła Kasia przysuwając się doń bliźniętka i patrząc z czułością niewysłowioną — czułabym się nader nieszczęśliwą, gdybym nie zdołała napelnić cię ochotą wielką, drogi księże Hieronimie. Jeśli zaś idzie o możność, to wiem dobrze, iż możesz, i to bardzo nawet możesz. Tedy nie sprawi ci trudności wyzwolenie biednego braciszka. Wystarczy, jeśli podarujesz księdzu Perucce osiem kazań wielkopostnych i cztery kazania adwentowe. Ułóż ten tuzin kazań, księże Hieronimie, ułóż na poczekaniu. Cóż to dla ciebie, drogi księżuniu, kazanie? Możesz wytrząść z rękawa, ile chcesz, i czynisz to nawet z wielką przyjemnością. Zabierz się do roboty co prędzej, a ja przyjdę po nie sama do twej celi u Świętego Innocentego. Ksiądz Peruczka uwielbia niezmierną wiedzę twoją, drogi księże, oraz twe zasługi i uznał, że tuzin twych kazań dorównywa wartością cenie osła. Skoro je tylko będzie miał, niezwłocznie cofnie skargę. Sam mi to powiedział. Cóż to za trudność napisać tuzin kazań, zważ tylko, a przyrzekam solennie, że sama napiszę na końcu każdego... amen! Trzymam cię za słowo, drogi księżuniu... prawda?

To powiedziawszy otoczyła ramionami jego szyję.

— Odmawiam stanowczo! — oświadczył ksiądz Coignard rozplatając cudne ramionka, obejmujące go uściskiem. — Obietnice dane pięknej dziewczynie dotyczą jeno rzeczy cielesnych, przeto nie jest występkiem łamać słowo! Nie licz na to wcale, nadobna panienko, bym miał wydobywać ze szponów świętego konsystorza twego brodatego gacha. Jeśli nawet ułożę kazanie czy dwa, czy cały tuzin kazań, to jeno na temat złych, niegodnych mnichów, co łażą niby wszy obrzydłe po brodzie i szatach świętego Piotra. Ten brat Anioł to szelma! Wtyka naiwnym kobietom miast świętych relikwii kości baranie czy świńskie, które sam ogryzł poprzód z żarłocznością obmierzłą. Wiózł on, ręczę za to, na grzbiecie osła księdza Peruczki pióro ze skrzydeł archanioła Gabriela, promień z gwiazdy Trzech Królów, a w małej fiołce odrobinę dźwięku dzwonów ze świątyni Salomona. Jest to oszust, łgarz i ty go miłujesz, Kasiu, oto trzy powody, dla których znosić go nie mogę. Zostawiam twej domyślności, panienko, do wyboru, który z tych powodów jest najsilniejszy. Może właśnie przeważa ów, który posiada najmniej cech uczciwości, bowiem brały mnie ku tobie przed chwilą ciągoty nieprzystojne imieniu, wiekowi ni stanowisku memu. Odczuwam boleśnie krzywdę, jaką ten zakapturzony gach czyni nieraz Kościołowi Pana Naszego Jezusa Chrystusa, którego członkiem jest arcyniegodnym. Myśl o tym wstrętym kapucynie napelnia mnie takim obrzydzeniem, że nagle przyszła na mnie chęć zatopić się w medytacjach nad którymś z przepięknych ustępów św. Jana Chryzostoma miast ocierać kolana swoje o twe łydki, nadobna Kasiu, co czynię już od kwadransa, bowiem żądza grzesznika znikoma jest, zaś chwała Boga — wiekuista. Nigdy nie miałem przesadnego poglądu na grzech nieczystości i tę sprawiedliwość oddać mi chyba każdy musi.

Nie przeraża mnie nigdy, jak niejakiego pana Nicodème, taki drobiazg jak np. poigranie rozkoszne z piękną dziewczyną, natomiast oburza mnie nikczemność duszy, obłuda, kłamstwo, jaskrawe nieuctwo, słowem to wszystko, co czyni brata Anioła skończonym kapucynem. Obcowanie z nim ubliża ci, panienko, nabierasz przeto manier flądry, szmaty, co nie przystoi zgoła twemu stanowisku dziewczyny lekkich obyczajów. Wiem, jaki z tym związany jest wstyd i troska, ale stan ten nierównie wyższym jest jeszcze od kondycji smrodliwego kapucyna. Wisielec ten pozbawia cię honoru, podobnie jak ubliża ryszotkowi ulicy Św. Jakuba, myjąc w nim nogi swoje. Pomyśl o cnotach, jakimi byś się jeszcze mogła przyozdobić w swym niewyraźnym zawodzie, z których nawet jedna jedyna, gdyby była jeno dość wielka, mogłaby ci rozewrzeć wrota szczęśliwości niebieskiej. Ale nic z tego, jak długo związaną będziesz chucią cielesną z oną bestią poczwarną.

Oddając się nawet czasem temu czy owemu, bo wszakże trudno inaczej na tym padole płaczu, mogłabyś, Kasienka miła, kwitnąć w świętej wierze naszej, w nadziei i miłosiernych uczynkach, miłować biednych i odwiedzać chorych. Mogłabyś zostać jałmużniczką współczującą niedoli, w czystości serca radować się widokiem nieba, wody, lasów i pól. Otworzyłszy rankiem okno swej izdebki, mogłabyś chwalić Boga, wsłuchując się w szczebiot ptasząt. Czasu pielgrzymki pobożnej na Górę Św. Waleriana ukłękłabyś pod kapliczką i płakała rzewnie nad utraconą niewinnością swoją, a wówczas ten, który czyta w sercu

Przysięga

Pokusa, Zazdrość

Pozycja społeczna, Kobieta  
"upadła"

Sielanka, Religia

człowieka, rzekłby: „Oto córka moja umiłowana, Katarzyna, a w duszy jej płonie zarzewie świętego ognia, który nie wygasł doszczętnie!”

— Księżę Hieronimie! — przerwała mu Kasia porywczo. — Całe, widzę, kazanie mówisz, i to z pamięci!

— Czyż nie żądałaś przed chwilą tuzina, nadobna dzierlatko?

Rozgniewała się na dobre.

— Strzeż się, księżę Hieronimie! — zawołała. — Od ciebie samego zależy, czy będziemy przyjaciółmi, czy wrogami! Ułóżysz tuzin kazań czy nie? Namyśl się, zanim odpowiesz!

— Panienko — odparł poważnie ks. Coignard — nigdy w życiu nie popełniałem czynów hańbiących... po namyśle!

— Nie chcesz, księżuniu? Nie? Pomyśl no... raz... dwa... Odmawiasz? Pożałujesz, bo zemszczę się srogo!

Dąsała się pewien czas, zamilkła i odsunęła się. Nagle skoczyła mu na kolana i zaczęła krzyczeć:

— Puść mnie! Puść mnie, księżę Coignard! Jak to, w tym wieku nie masz poszanowania dla swej sukienki duchownej? Nie duś mnie tak! To wstyd! Wstyd... księżę, puszczajże raz do licha!

Piszcziała, jęczała najokropniej, a w tej samej chwili ujrzał ksiądz Coignard wchodzącą pod sklepienia portyku pannę Lecoeur, masarkę spod „Trzech Dziewic”. Szła o tej późnej porze spowiadać się u trzeciego wikariusza Św. Benedykta i spostrzegłszy parę na ławce, odwróciła głowę z wyrazem nieopisanego wstrętu.

Ksiądz Hieronim przyznał w duchu, że zemsta Kasi była natychmiastowa i niezawodna, gdyż cnotliwość panny Lecoeur, wzrastając z wiekiem, stała się tak potężna, iż gromiła ona każdy objaw nieczystości w całej parafii i przesywała siedem razy na dzień ostrzem swego języka grzeszników, oddających się uciechom cielesnym w ulicy Św. Jakuba.

Ale Kasia sama nie zdawała sobie sprawy z rozmiarów swej zemsty. Zauważyła idącą przez plac pannę Lecoeur, ale nie dostrzegła ojca mego, który znajdował się również w pobliżu.

Szedł wraz ze mną zabrać księdza Coignarda pod „Małego Bachusa”, a mój zacny życiodawca czuł wielki pociąg do Kasi i nic go bardziej nie gniewało, jak natręctwo rozlicznych gaszków, dobierających się do jej skarbów zbyt obcesowo. Nie ludził się wcale co do jej postępowania, ale wiedzieć a widzieć były to, jego zdaniem, dwie zgoła odrębne nieprzyjemności. Krzyki Kasi dolatywały bardzo wyraźnie do jego uszu, a był porywczy i nie umiał panować nad sobą. Toteż bałem się bardzo, by gniew jego nie wyładował się w słowach ordynarnych i brutalnych pogródkach. Widziałem już w duchu, jak bierze w rękę wielki szpikulec, zawieszony zawsze u pasa, niby szpada honorowa, bowiem sławę swą zakładał i zaszczyt cały w tym, że był kuchtą.

Ale obawy moje były w połowie jeno uzasadnione. Okoliczność ta, że Kasia okazała się cnotliwą, ułagodziła wielce mego rodzica, toteż poprzestał na tym, że chwyta księdza na gorącym uczynku, i nie zamierzał go obrażać, przeciwnie, zadowolenie wzięło górę nad gniewem.

Zbliżył się do mego drogiego mistrza dosyć poufale i rzekł z szyderczą powagą:

— Księżę Coignardzie, wiedz o tym, że każdy kapłan zbliżający się do dziewczki zatracą swą cnotę i naraża na szwank honor. I jest to nawet słuszne, że rozkosz nie dorównywa stracie.

Kasia oddaliła się strojąc powabne minki uciśnionego niewiniątka, zaś mistrz mój odpowiedział ojcu z miłym uśmiechem, słodko i wymownie, jak zawsze:

— To wyśmienita maksyma, mistrzu Leonardzie. Ale nie należy jej stosować bez zastanowienia i przyklejać wszędzie, za lada okazją, jak to czyni kulawy nożownik, wybijający na każdym koziku swój znak wyobrażający psa z podniesioną nogą. Nie będę się zapuszczał w roztrząsanie, czy na apostrofę zasłużyłem, poprzestanę jeno na zapewnieniu, że może tak było w istocie.

Jest rzeczą nieprzystojną zgoła mówić o sobie samym, a zbyt wielki gwałt bym zadać musiał skromności wrodzonej, zmuszając się do dyskusji o sprawach dotyczących mnie osobiście. Wolę tedy przeciwstawić twierdzeniu twemu, drogi mistrzu Leonardzie,

Mądrość

Zemsta, Pozory

Cnota, Plotka

Grzeczność



przykład czcigodnego Roberta d'Arbrissela, który przez bliskie stosunki z prostytutkami osiągnął wielkie zasługi duchowe. Mogę również zacytować św. Abrahama syryjskiego, pustelnika i anachoretę, który nie zawahał się nocować w domu o bardzo złej sławie.

— Cóż to za święty Abraham? — spytał mój rodzic, którego myśli były zgoła gdzie indziej w tej chwili.

— Usiądźmy przed drzwiami twej gospody — rzekł niezrównany mistrz mój — przynieś dzban wina, a powiem ci, mistrzu Leonardzie, historię owego wielkiego świętego, jak ją podaje sam święty Efreem, mąż wiarygodny wielce.

Ojciec zgodził się niezwłocznie, zajęliśmy wszyscy trzej miejsce pod wystawą gospody, a mój drogi mistrz w te ozwał się słowa:

— Święty Abraham, stary już w onym czasie, żył samotny na puszcy w małej chatce. Nagle zmarł brat jego, pozostawiając córkę, dziewczynę wielkiej piękności, Marię. Przekonany, że życie, jakie sam wiedzie, będzie równie doskonałym dla bratanicy, Abraham zbudował jej celkę blisko swojej chatki i, uczyniwszy okienko w ścianie, głosił jej przez nie słowo Boże.

Przyuczył ją pościć, trwać w modlitwie i śpiewać psalmy i tak żyli sobie przez czas pewien. Ale pewnego dnia wśliznął się do celi Marii mnich jeden, musiał to być mnich fałszywy albo też kapucyn, i podczas kiedy święty mąż zagłębiany był w Pismo, przywiódł ją do grzechu.

Gdy się to stało raz, drugi i trzeci, rzekła do siebie dziewczyna:

„Umarłam już dla Boga i nie mam siły powstać z martwych, przeto lepiej iść mi w okolicę, gdzie mnie nikt nie zna”.

Porzuciła swą celkę i udała się do miasta sąsiedniego, mianem Edessa, gdzie były rozkoszne ogrody i rzeźwe wodotryski, a i dotąd jeszcze miasto owo zalicza się do najpiękniejszych miast Syrii.

Przez kilka dni trwał mąż święty Abraham w głębokiej medytacji i bratanicy dawno już nie było, kiedy otwarłszy okienko spytał:

— Czemuż to, Mario, nie śpiewasz psalmu, który nuciłaś tak pięknie?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, powziął podejrzenie straszne i domyśliwszy się całej prawdy, zakrzyknął:

— Oto wilk drapieżny porwał mi owieczkę moją!

Przywalony brzemieniem troski, trwał na pustyni przez dwa jeszcze lata, po czym doszły go wieści, iż Maria wiedzie gorszący żywot. Chcąc działać roztropnie, poprosił jednego z pątników, by rzecz zbadał i przyniósł wiadomość ścisłą. Pątnik zbadał sprawę najdokładniej osobiście, wrócił i powiedział świętemu, że Maria w istocie zeszła na ścieżkę grzechu cielesnego. Natenczas św. Abraham uprosił onego pątnika, by mu pożyczył stroju rycerskiego i konia, a zasłoniwszy dla niepoznaki twarz wielkim kapeluszem, udał się do wspaniałej gospody, gdzie, jak mu powiedziano, miała swój apartament Maria. Przybywszy na miejsce, rozglądał się wszędzie, czy jej nie zobaczy, gdy się jednak nie ukazywała, wziął na bok gospodarza i spytał, udając, iż się uśmiecha poządliwie:

— Zacny panie, słyszałem, że macie tu urodziwą dziewczkę; czy mógłbym ją zobaczyć?

Gospodarz był bardzo uprzejmy dla swych gości, przeto zaprowadził przybysza do pokojów Marii, a święty mąż na pierwsze wejrzenie osądził z samego stroju swej bratanicy, jak powiada św. Efreem, że musi częściej rozbierać się niż ubierać, czyli pędzi żywot arcyniegodny. Patrząc na to, doznał św. Abraham wielkiego przygnębienia.

Udał jednak wesołość i zamówił wystawną biesiadę. Maria była dnia tego właśnie w usposobieniu ponurym, bowiem nie zawsze dając rozkosz doznawała jej sama, a widok owego starca, którego nie poznała z powodu, iż nie zdjął słoniącego mu oblicze kapelusza, nie budził w niej nadziei na wielkie cielesne uciechy. Gospodarz zburczał ją z powodu tak złego humoru, zgoła niestosownego dla dziewczyny jej kondycji, ona zaś odrzekła z westchnieniem:

— O jakaż szkoda, że nie spodobało się Bogu, bym zmarła przed trzema laty!

Św. Abraham przybrał sposób wysłowienia się światowego rycerza, stosowny do stroju, jaki nosił, i rzekł:

— Panienko nadobna, nie przybyłem tutaj, by razem z tobą oplakiwać grzechy, ale by radować się miłosnymi uściskami.

Kobieta "upadła"

Gdy jednak gospodarz zostawił ich sam na sam, święty mąż przestał grać przybraną rolę, zdjął kapelusz, zalał się łzami i spytał:

— Czyż nie poznajesz mnie, droga córko moja? Czyż nie widzisz, że jest Abraham, ojciec twój przybrany?

Ujął jej ręce i przez całą noc zagrzewał do żalu, skruchy i pokuty, strzegąc się pilnie, by nie przywieść jej do zwątpienia w możliwość naprawy życia.

— Córko moja — mówił — Bóg jeden jest bez grzechu! My, słabi ludzie, musimy grzeszyć na tej ziemi!

Maria miała duszę z natury dobrą, a serce czułe, zgodziła się przeto wracać na pustynię i gdy dzień nastał nowy, ruszyli oboje. Chciała zabrać suknie swe i klejnoty, ale święty mąż przekonał ją, że lepiej zostawić te znikomości światowe. Wziął ją przed siebie na konia i osadził w celi pustelniczej, gdzie zaczęli na nowo wieść bogobojny żywot poprzedni. Święty Abraham postarał się jeno, by celka Marii nie miała dostępu z zewnątrz i by każdym razem musiała przechodzić przez izdebkę, w której sam mieszkał. W ten sposób, przy pomocy Bożej, strzegł swej drogiej owieczki i nie utracił jej do końca dni swoich.

Taka to jest historia o świętym Abrahamie!

Powiedziawszy, co rzec miał, drogi mistrz mój sięgnął po szklankę z winem, a ojciec oświadczył szczerze:

— Przecudna to opowieść. Nieszczęsne przygody biednej Marii wycisnęły mi lzy rozczulenia z oczu.

### III. MINISTROWIE PAŃSTWA (CIAĞ DALSZY I DOKOŃCZENIE)

Zdumieliśmy się bardzo obaj, drogi mistrz mój i ja, spotkawszy pewnego dnia w księgarni pana Blaizota „Pod Obrazem Św. Katarzyny” małego, chudego, żółtego człeczka, słynnego bibliofila, paszkwiliście i erudyte, Jana Hibou, zwanego w kole znajomych Puchaczem. Mieliśmy dużo słuszych powodów przypuszczać, że siedzi w Bastylli, gdzie nawykł pędzić znaczną część życia. Nie poznaliśmy go nawet od razu z tego powodu, że oblicze jego przysłaniał coś niby wilgotny opar kazamat podziemnych.

Drżącą dłonią przewracał kartki pism politycznych świeżo nadeszłych z Holandii, a księgarz patrzył na to z niepokojem. Ks. Coignard zdjął przed nim uprzejmie kapelusz, a pozdrowienie owo wypadłoby nierównie jeszcze powabniej, gdyby kapelusz drogiego mistrza mego nie był mocno nadwerężony, co się stało minionego wieczoru podczas pewnej drobnej kontrowersji w gospodzie „Pod Małym Bachusem”.

Ksiądz Coignard wyraził radość swą na widok znakomitego człowieka, ten zaś odparł:

— Niedługo tu już pobędę, dobrodzieju. Wyjeżdżam z tego kraju, gdzie mi żyć nie dają spokojnie. Nie mogę już oddychać dłużej powietrzem onego zepsutego miasta i za miesiąc osiedlam się w Holandii. Trudno wytrzymać tu: naprzód Dubois, potem zaś Fleury... oo... jestem człowiekiem zbyt cnotliwym, bym mógł zostać dalej Francuzem. Rządy nasze opierają się o złe zasady, a kierownikami polityki są głupcy i lajdaki. Nie mogę tego znieść, nie mogę!

— To prawda — powiedział mój mistrz niestrudzony — sprawy publiczne źle są prowadzone i mnóstwo złodziei grasuje. Durnie i ludzie złej woli podzielili się władzą i może z czasem napiszę książeczkę w tej materii w rodzaju *Apokolokyntosu* filozofa Seneki lub naszej *Menippeï*, bowiem gustuję w tym typie. Lekkość i żartobliwość stosowniejsza jest w takim razie od ponurej oschłości Tacyta lub męczącej powagi takiego de Thou. Będą to niewielkie broszurki kieszonkowe, łatwe do skrycia pod płaszczem, i pragnę je przepoić filozoficzną pogardą ludzkości. Osoby stojące u steru wpadną we wściekłość, rękę za to, ale znajdują się i tacy, którym ta lektura sprawi tajemne zadowolenie, gdy się przekonają, iż okryłem ich niesławą. Tak mniemam, opierając się na tym, com usłyszał od pewnej damy wysokiego rodu w Sééz, w czasie kiedy byłem tam bibliotekarzem biskupa. Trzeba wiedzieć, że dama ta przez lat dwadzieścia była najlepiej noszącą klaczą w całej Normandii

Kobieta "upadła", Sława

i kto chciał i nie chciał mógł się na niej przejechać truchta czy galopa, wedle gustu. Otóż spytałem pewnego razu, jaki rodzaj rozkoszy sprawił jej największą przyjemność w życiu?

— Rozkosz niesławny! — odparła bez wahania i przekonało mnie to, iż posiada umysł wykwintny.

Pochlebiam może naszym ministrom, przypuszczając, że znajdzie się bodaj jeden tego rodzaju subtelniś pośród nich, ale będę pisał ze świadomym zamiarem złożenia im dyskretnej gratulacji za to, iż są występni i infamisy. Na cóż zresztą odkładać na potem pomysł tak piękny? Oto poproszę niezwłocznie kochanego pana Blaizota o niewielki zeszytek i skreślę od razu pierwszy rozdział nowej *Menippeï*.

Wyciągnął już rękę do zdumionego Blaizota, ale pan Hibou wstrzymał go nagle.

— Odlóż, księżu Hieronimie, wykonanie pięknego projektu swego aż do czasu, kiedy zabiorę cię z sobą do Holandii i wyrobię ci w Amsterdamie posadę u jakiegoś fabrykanta limoniady czy właściciela łaźni parowej. Będziesz tam w spokoju ducha mógł po całych nocach pisać swą *Menippeję* na jednym końcu stołu, ja zaś na drugim pisać będę paszkwile. Będzie to dzieło zbożne i kto wie, czy nie przyczynimy się do zmiany ustroju państwa. Paszkwiliści mają więcej, niż się zdaje, zasług w obalaniu rządów; przysposabiają katastrofę, której dokonywują potem ludy.

— Cóż by to był za triumf! — dodał po chwili syczącym głosem, który ulatał szczelinami szczerbatych, czarnych, spróchniałych zębów wraz z przykrym odorem jamy ustnej. — Cóż by to za radość była, gdyby mi się udało obalić któregoś z tych panków, którzy mnie tyle razy pakowali do Bastylii! Weźmy się obaj razem do tej pięknej pracy, księżu Hieronimie!

— Za nic w świecie! — odrzekł drogi mistrz mój. — Nie chcę pod żadnym warunkiem przyczyniać się do zmiany formy rządu państwa, a jeśli mój *Apokolokyntos*, czy *Menippeja* taki mają dać rezultat, to stanowczo rezygnuję z pisania.

— Co? — wrzasnął zdumiony paszkwiliście. — Czyż nie mówiliś dobrodziej przed chwilą, że rząd nasz diabła wart?

— Mówiłem! — odrzekł ks. Coignard. — Ale idę w ślady mądrej metody onej staruszki syrakuzkańskiej, która za rządów Dionizjusza, zniechęconego przez cały lud potwora, codziennie chodziła do świątyni modlić się za pomyślność tyrana. Powiadomiony o tej dziwnej nabożności, Dionizjusz zaprzagnął dowiedzieć się, jaki jest jej powód. Kazał sprowadzić z acną kobiecinkę i spytał.

— Jestem stara — odparła — żyłam pod wielu już tyranami i zrobiłam spostrzeżenie, że po złym nastawał jeszcze gorszy. Ty jesteś największym potworem, jakiego widziałam, a więc twój następca byłby czymś tak przeraźnym, że trudno sobie wyobrazić, i chyba świat by się musiał skończyć pod jego rządami. Dlatego to właśnie proszę bogów, by nastał jak najpóźniej.

Ta starowina, drogi Puchaczu nasz, miała wielką słuszość. Owce winny znosić cierpliwie strzyżenie nożycami starego pasterza, bo może nastać młody, który im zedrze wełnę razem ze skórą.

Na te słowa rozlała się żółć Puchacza i jął mówić z oburzeniem i goryczą wielką:

— O, cóż za nikczemne, tchórzliwe słowa! Cóż za maksyminy niegodne! O księżu, jakże mało leży ci na sercu dobro narodu! Zaprawdę, nie zasługujesz na wieniec dębowy, przyobiecany przez poetów mężnym obrońcom ojczyzny i obywatelom! Trzeba ci było przyjść na świat u Tatarów, Turków, być rabem niewolnym Dżengisno-chana<sup>23</sup> lub Bajazeta<sup>24</sup>, nie zaś żyć w Europie, gdzie cię nauczono zasad praw obywatelskich i wtajemniczono w arkana filozofii! Co słyszysz? Chcesz dźwigać jarzmo złego rządu, nie myśląc zgoła o zmianie? Uczucia tego rodzaju w republice urządzonej po mojej myśli zostałyby ukarane co najmniej wygnaniem czy relegacją. Tak, drogi księżu, dorzucę osobny artykuł do wzorowanego na starożytności projektu konstytucji, nad którym właśnie pracuję, a artykuł ten zawierać będzie postanowienia karne przeciw podobnym tobie, złym obywatelom. Wyznaczę srogie kary na każdego, kto, mogąc ulepszyć urządzenia państwowe, nie uczyni tego.

<sup>23</sup> Dżengisno-chan, właśc. Czyngis-chan a. Temudżyn (ok. 1160–1227) — jeden z najwybitniejszych władców mongolskich. [przypis edytorski]

<sup>24</sup> Bajazeta, dziś: Bajazyd (1354–1403) — sultan osmański. [przypis edytorski]

— Ha... ha... ha! — odrzekł ze śmiechem ks. Coignard. — To mnie wcale nie zachęca do zamieszkania w twojej nowej Arkadii, drogi panie Puchaczu. Z tego, co słyszę, widzę, że panować tam będzie straszliwy przymus!

Pan Jan Hibou wyprostował się i odparł sentencjonalnie:

— Będzie panował jeno przymus cnoty!

— Ach! — zawołał ksiądz. — Jakże słusznym było postępowanie owej syrakuząńskiej staruszki! Wiedziała ona, że kto przeżyje panów Dubois i Fleury, zdrzy przed panem Hibou! Otwierasz, drogi Puchaczu, przede mną widoki rządów despotów i obłudników i w celu ziszczenia tego rajy na ziemi chcesz, bym został roznosicielem limoniady lub parobkiem w łaźni na którymś z kanałów Amsterdamu? Dziękuję uprzejmie za tę łaskę! Zostanę sobie spokojnie przy ulicy Św. Jakuba, gdzie można spijać winko i podstawić nogi ministrom. Nie sądz, że zdołasz mnie pociągnąć mirażem rządów ludzi uczciwych, którzy wolność otaczają taką palisadą gwarancji, iż człowiek nabija się co chwila na pal!

— Księżę — powiedział Jan Hibou, rozgorączkowany — czy możesz z dobrą wiarą wydawać sądy o moim systemie policyjnym, jakiego projekt ułożyłem w Bastylli, a którego nie znasz wcale?

— Panie — odrzekł mistrz — nie uznaję systemu opartego na intrydze i gwałcie! Opozycja to bardzo zła szkoła rządzenia, a politycy rozumni, którzy przed dojściem do władzy muszą się czasem imać tych środków, starają się usilnie rządzić wedle zgoła odmiennych maksym, jak te, które głosili za opozycji. Widzieliśmy w Chinach i gdzie indziej. Skłania ich do tego ta sama konieczność, której ulegali ich poprzednicy. Do rządów wnoszą jeno jedną nowość, to znaczy swój brak doświadczenia. To mnie skłania, panie Hibou, do twierdzenia, że każdy nowy rząd będzie gorszy od dawnego, nie różniąc się odeń zasadniczo. Wszakżeśmy już tego doświadczyli.

— Jesteś tedy ksiądz zwolennikiem nadużyć i bezprawia? — spytał szorstko pan Hibou.

— Tyś powiedział! — odparł spokojnie drogi mistrz mój. — Rządy są jak wino, klarują się i stają słodsze z biegiem czasu. Najsroźsze zatracają z czasem swe pazury. Boję się monarchii, gdy młoda i silna, boję się również nowonarodzonej republikańskiej cnoty; ponieważ zaś na tej ziemi musimy już podlegać złym rządóm, przeto czuję pociąg do ksiąząt i monarchów, którzy utracili już swój wigor męski.

Na te słowa imć pan Hibou wsadził z pasją kapelusz na głowę i powiedział „do widzenia” głosem mocno zirytowanym.

Gdy odszedł, pan Blaizot podniósł oczy znad swych rejestrów i ozwał się do mego mistrza, poprawiając okulary na nosie:

— Od czterdziestu blisko lat jestem księgarzem pod „Obrazem Św. Katarzyny” i zawsze radością mnie nową napelnia przysłuchiwanie się rozmowom ludzi uczonych, przychodzących do mego sklepu. Ale nie bardzo gustuję w enuncjacjach na temat spraw publicznych. To podnieca za nadto i powoduje jałowe spory.

— Nie ma bowiem w tych sprawach stałych i ugruntowanych zasad — zauważył mistrz.

— Istnieje w każdym razie co najmniej jedna, której podawać w wątpliwość nikt nie może! — odparł pan Blaizot. — Musiałby być złym katolikiem i złym Francuzem ten, kto by powątpiewał w cudowne działanie świętej ampułki z Reims, której krzyżmo namaszcza królów naszych na przedstawicieli Pana Naszego Jezusa Chrystusa w państwie francuskim. Oto niewzruszalny fundament monarchii i nic nim zachwiać nie może.

#### IV. SPRAWA MISSISIPI

Jak wiadomo, w roku 1722 toczyła się przed parlamentem paryskim sprawa Missisipi, w którą wmiészani byli, razem z dyrektorami tego towarzystwa, pewien minister, sekretarz króla i kilku intendentów prowincjonalnych. Towarzystwo zostało obwinione o przekupywanie oficerów królewskich, a reszta o liczne przekroczenia, jakich dopuszczają się zwykle chciwi ludzie, stojący u steru państwa, którego rząd jest słaby. Nie ulega wątpliwości, że w czasach owych wszystkie organy rządu były nadwreżone i funkcjonowały wadliwie. W czasie jednej z audiencji tegoż pamiętnego procesu członkowie parlamentu przesłuchiwali panią de la Morangère, żonę jednego z dyrektorów Towarzystwa

Władza

Polityka, Wierzenia,  
Zabobony



Missisipi. Zeznała ona, że niejaki imię pan Lescot, sekretarz sędziego śledczego, wezwał ją dyskretnie do Châtelet i dał do poznania, iż od niej samej tylko zależy ocalenie męża, człowieka wielkiej urody i pięknej postawy. Powiedział do niej te mniej więcej słowa: „Pani, prawdziwych przyjaciół króla oburza w tej całej sprawie głównie fakt, że nie są w nią wmieszani janseniści. Janseniści, jak pani wiadomo, są to wrogowie korony i świętej religii naszej. Daj nam, pani, sposobność skompromitowania jednego bodaj z nich, a my ocenimy jak należy tę przysługę uczynioną państwu, puścimy wolno męża i zdejmemy areszt z jego majątku”.

Gdy pani de la Morangère skończyła to zeznanie, nieodpowiednio zgola złożone publicznie, pan prezydent parlamentu zmuszonym się uczuł wezwać do wielkiej sali rozpraw imię pana Lescota, który zrazu próbował przeczyć. Ale pani de la Morangère miała przedudne, głębokie oczy, których spojrzaniu nie mógł się długo oprzeć biedny sekretarz. Zmieszał się tedy i przegrał sprawę. Był to wysoki, brzydki, rudy człeczysko, podobny do Judasza z Kariotu.

Szczegół ten dostał się do pism i stał się tematem rozmów Paryża. Mówiono o nim po salonach, na spacerach, u fryzjerów i po kioskach z limoniadą. Pani de la Morangère budziła sympatię wszystkich, zaś imię Lescot wstręt ogółu.

Zaciekawienie było jeszcze silne, gdy pewnego dnia udałem się wraz z mym drogim mistrzem, księdzem Hieronimem Coignardem, do pana Blazota, jak już wiadomo wszystkim, księgarza pod „Obrazem Św. Katarzyny” przy ulicy Św. Jakuba.

Spotkaliśmy w sklepie sekretarza osobistego jednego z ministrów, pana Gentila, zatopionego w książce nadesłanej świeżo z Holandii, oraz słynnego pana Roman, autora wielu bardzo cenionych prac o „racji stanu”. Stary Blazot, skulony za ladą, czytał gazetę.

Ks. Hieronim Coignard przysunął się do niego blisko, chcąc poprzez ramię zachwycić<sup>25</sup> kilka bodaj nowinek, na które był bardzo łasy. Ten mędrzec, ten człowiek obdarzony geniuszem, nie wziął w udziale najdrobniejszej nawet cząstki dóbr tej ziemi, toteż wypiszą szklaneczkę wina pod „Małym Bachusem”, nie miał już grosza na kupno gazety. Odczytawszy spoza pleców pana Blazot zeznanie pani de la Morangère, oświadczył, że się stało dobrze i że zadowolony jest z tego, iż wieża krzywd wiekowych zaczyna walić się pod lekkim dotknięciem kobiecej dłoni, czego zresztą mnóstwo przykładów znaleźć można w *Piśmie świętym*.

— Ta dama — dodał — mimo że sprzymierzona jest z publikanami, których nie znoszę, przypomina owe silne kobiety, wysławiane w *Księdze Królów*. Pociąga dziwną mieszaniną uczciwości i sprytu, toteż z żywą sympatią witam jej zwycięstwo.

Pan Roman przerwał mu.

— Ostrożnie, księżę drogi — powiedział wznosząc rękę — ostrożnie! Zwracam uwagę, że traktujesz sprawę z punktu czysto indywidualnego i osobniczego, nie biorąc zgola w rachubę, co koniecznie uczynić należy, interesów państwa, związanych nierozłącznie z owym fatalnym zeznaniem. We wszystkim dopatrywać się musimy racji stanu, a jasnym jest, że ta naczelna racja domagała się, by pani de la Morangère nie zeznawała wcale, albo... by słowa jej nie znalazły wiary.

Pan Gentil podniósł nos znad książki.

— Przesadzono w sposób absurdalny doniosłość całego tego zeznania! — oświadczył stanowczo.

— O, panie sekretarzu — odparł pan Roman żywo — nie damy chyba wmówić w siebie, że wydarzenie, które pana wyrzuciło z siodła, nie posiada żadnego znaczenia. Obaliliście się obaj, zacny panie, zarówno pan jak i pański szef, to nie ulega kwestii, i żal mi bardzo. Ale więcej niż upadku ministra, którego dotknął cios, żałuję, że nie był on w możności uprzędzić tego ciosu i udaremnić go.

Pan Gentil dał do zrozumienia lekkim mrugnięciem powiek, że w tym punkcie najzupełniej zgadza się z mówcą.

Pan Roman ciągnął dalej:

— Państwo przypomina zupełnie organizm ludzki. Nie wszystkie jego funkcje są piękne i dostojne i dlatego to koniecznym jest ukrywać niektóre, często najniezbędniejsze.

Kobieta demoniczna

Organizm, Tajemnica,  
Polityka

<sup>25</sup>zachwycić — tu: przechwycić; zauważyć. [przypis edytorski]

— Ach, panie — ozwał się ksiądz Coignard — czy było koniecznym takie postępowanie pana Lescota z biedną żoną więźnia? Przecież to hańba!

— Hańbą stało się to dopiero z chwilą, kiedy wyszło na jaw! — odrzekł pan Roman. — Przedtem było drobiazgiem. Jeśli ktoś życzy sobie posiadać rząd, co jedynie wznosi człowieka ponad zwierzęta, to musi dać rządzącym środki wykonywania tej władzy. Pierwszym z nich jest tajemnica. Dlatego też rząd ludowy, najmniej tajny, jest jednocześnie najslabszy. Czyż sądzisz, księżo Hieronimie, że można ludźmi kierować za pomocą cnoty? To urojenie, to sen!

— Nie sądzę tak! — odparł dostojny mistrz. — W różnych okresach życia mego czyniłem spostrzeżenie, że ludzie są to złe i głupie zwierzęta, które ulec mogą jeno siłę lub chytryści. Ale trzeba zachować w tym pewną miarę i nie niweczyć doszczętnie tej odrobiny dobrych skłonności, jakie stanowią przymieszkę złych instynktów w ich duszach. Przecież człowiek, szanowny panie, jakkolwiek jest zły, nikczemny, głupi i okrutny, stworzony został na obraz i podobieństwo Boga i pozostało w nim kilka bodaj cech tej pierwotnej jego natury. Rząd mijający się z przeciętną bodaj i wszystkich obowiązującą uczciwością i niecący oburzenie mas ludu powinien zostać obalony!

— Ciszej! Ciszej, księżo Hieronimie! — powiedział pan Gentil.

— Suweren nie myli się nigdy! — oświadczył pan Roman — a maksymy pańskie, księżo dobrodzieju, godne są buntownika. Ci, co takie mają poglądy, zasługują na to, by w ogóle żadnego nie posiadali rządu.

— Jeśli rząd, jak pan dajesz do zrozumienia, polega na oszustwie, gwałcie, zdzierstwach wszelakiego rodzaju — odrzekł drogi mój mistrz — to nie ma obawy, by ta pogroźka mogła mieć jakiś dotkliwszy skutek. Znajdziemy jeszcze sporo ministrów i gubernatorów prowincji, z których tworzyć sobie będziemy mogli niezliczone rządy. Chciałbym jeno, by na miejsce obecnych zjawili się inni. Nowi nie mogą być chyba gorsi od dawnych, a któż wie, czy nie byłiby nawet trochę lepsi?

— Ostrożnie, ostrożnie! — powiedział pan Roman. — Najcudowniejszą rzeczą w państwie jest właśnie ów rozwój i nieprzerwane następstwo, a jeśli nie ma na świecie państw doskonałych, to przyczynę tego zjawiska upatruję w potopie, który za czasów Noego wprowadził wielkie zaburzenia w dziedziczeniu władzy królewskiej i następstwie tronu różnych państw świata. Nastąpił nieporządek, z którego po dziś dzień otrząsnąć się nie możemy.

— Szanowny panie — odparł mój mistrz — teorie pańskie są wielce zabawne. Wszakże dzieje ludzkości mieszczą w sobie mnóstwo rewolucyj, wojen domowych, zaburzeń i buntów spowodowanych okrucieństwem panujących i zaprawdę nie wiem, co podziwiać należy dzisiaj bardziej: bezwstyd władców czy cierpliwość ludów?

Sekretarz wyraził ubolewanie, że ksiądz Coignard zapoznaje dobrodziejstwa monarchii, zaś pan Blaizot zwrócił uwagę, że jest rzeczą niewłaściwą dysputować o sprawach publicznych w sklepie księgarza.

Gdyśmy wyszli, pociągnąłem drogiego mistrza mego za rękaw sutanny i spytałem:

— Księżo dobrodzieju, zapomniałeś, widzę, zupełnie o owej staruszce syrakuząńskiej, skoro domagasz się zmiany tyraństwa?

— Rożenku, synu mój — odrzekł — przyznaję ochotnie, że popadłem w sprzeczność. Ale ta dwulicowość, którą odkryłeś słusznie w poglądach moich, nie jest tak szkodliwą jak druga, zwana przez filozofów antynomią. Charron zapewnia w swym dziele *O mądrości*, że istnieją antynomie, których rozwikłać niepodobna. Ja sam widzę zawsze, ilekroć zatapiam się w zgłębianiu natury, co najmniej pół tuzina owych diabolicznych, wyprawiających harce w mym mózgu i chcących sobie wzajem wydrapać oczy. Opuszcza mnie nadzieja pogodzenia ich i im właśnie przypisuję całą winę, iż nie uczyniłem wielkich postępów w metafizyce. W tym jednak wypadku, Rożenku, synu mój, sprzeczność owa jest jeno pozorna. Rozum mój stoi zawsze po stronie syrakuząńskiej staruszki i ma dzisiaj ten sam pogląd, jak miał wczoraj. Dałem się tylko dzisiaj unieść sercu i dałem folgę uczuciu, jak człek powszedni.

Historia

Mędrzec, Filozof

## V. WIELKANOCNE JAJKA

Ojciec mój był kucharzem i miał gospodę przy ulicy Świętego Jakuba, naprzeciwko kościoła Św. Benedykta Beturneńskiego, i nie mogę twierdzić, by miał zamiłowanie w wielkim poście, gdyż uczucie tego rodzaju byłoby u kucharza wprost nienaturalne. Ale przestrzegał postów i abstynencji, jak przystało dobremu katolikowi. Nie mając pieniędzy na kupno dyspensy w arcybiskupstwie, zadowalał się w dni postne suszonym kablonem<sup>26</sup>, wraz ze swoją żoną, synem, psem i zwykłymi gośćmi, pośród których najczęstszym był drogi mistrz mój, ksiądz Hieronim Coignard.

Świątobliwa matka moja nie byłaby nigdy zezwoliła na to, by stróż naszego dobytku, Burek, ogryzł jedną bodaj kość w Wielki Piątek. Dnia tego nie dorzucała do osypki biednego zwierzęcia mięsa ani też nie maściła mu jadła.

Daremnie przedstawiał jej szczegółowo ksiądz Coignard, że źle czyni, gdyż, biorąc rzecz ze stanowiska słuszności, Burek, nie mający udziału w świętej tajemnicy Odkupienia, nie ma również obowiązku ograniczania się w jadło z tego tytułu.

— Zaczna pani! — mawiał ten wielki człowiek. — Słuszna to i sprawiedliwa rzecz, byśmy, jako członkowie świętego Kościoła, zaspokajali swój głód w dniu nakazane suchym jeno kablonem. Ale zdaje mi się, że włączanie psa do owych zbawiennych i świątobliwych umartwień, które miłe są Bogu i dlatego pochwały godne, choć w innym razie byłyby śmieszne i wstrętne, że, powiadam, owo włączanie bezrozumnej istoty w praktyki katolickie jest przesądem, bezbożnością, zuchwalstwem, a może nawet świętokradztwem. Jest to występek, który prostota serca pani czyni bezwinnym, który by jednak był zbrodnią u doktora filozofii czy prawa, a nawet każdego katolika o umyśle krytycznym. Praktyka taka, szanowna gospośiu nasza, wiedzie prosto do najstraszniejszej herezji, bowiem wynika z niej przypuszczenie, że Pan nasz Jezus Chrystus umarł dając życie nie tylko za synów Adama, ale nawet za bezrozumne stworzenia. Takie twierdzenie sprzeciwia się zupełnie *Pismu Świętemu*.

— Być może! — powiadała na to zwykle matka moja. — Ale gdyby Burek jadł mięso w Wielki Piątek, zdawałoby mi się, że jest Żydem, i nabrałabym doń obrzydzenia! Czy to także grzech, księżo dobrodzieju?

Drogi mistrz mój uśmiechał się i, pociągnawszy haust wina, odpowiadał z dobrocią:

— Zaczna gospośiu, nie roztrząsając na razie, czy pani grzeszy, czy nie, powiem jeno, że nie masz w pani śladu zła i że wierzę w zbawienie duszy pani dużo silniej niż w takiż los dusz kilkunastu znanych mi osobiście biskupów i kardynałów, którzy napisali niezrównane traktaty o prawie kanonicznym.

Burek obwąchał swą chudą osypkę i połykał ją dławiąc się każdym łykiem, a ojciec udawał się z księdzem Coignardem na krótkie posiedzenie pod „Małego Bachusa”.

W ten sposób spędzaliśmy przykładowie ostatni wielkopostny tydzień w gospodzie „Pod Królową Gęsią Nóżką”. Ale za to, skoro tylko dzwony kościoła Św. Benedykta Beturneńskiego ogłosiły w poranek Wielkiej Nocy radosną wieść Zmartwychwstania Pańskiego, ojciec mój nadziewał na rożny całymi tuzinami kurczęta, kaczki i gołębie, a Burek, przysiadłszy u komina, na którym buzował wielki ogień, wciągał w nozdrza ponętny zapach rumieniącego się sadła i poruszał ogonem rażno, a jednocześnie z powagą i zadumą głęboką.

Stary, podupadły, ślepy niemal, zażywał jeszcze uciech tego życia, którego przeciwności znosił z rezygnacją czyniącą je mniej dotkliwymi. Był to mędrzec prawdziwy i nie dziwił się nawet, że matka włączała w pobożne praktyki nasze istotę tak rozsądną.

Po przykładowym wysłuchaniu sumy zasiadaliśmy do uczty w sali przesyconej niezrównanymi zapachami, a ojciec zabierał się do jadła z radością i namaszczeniem wprost religijnym. Zapraszał zazwyczaj do stołu kilku pisarzy z prokuratorii oraz mego prezacnego mistrza, księdza Hieronima Coignarda. W roku pańskim 1725, pamiętam doskonale, mistrz mój przyprowadził ze sobą pana Mikołaja Wisienkę, którego wykopał z jakiejś ciemnej jamy przy ulicy Mularskiej, gdzie ten znakomity mąż po całych dniach i nocach pisał dla wydawców holenderskich sprawozdania z ruchu naukowego i artystycznego w Paryżu. Pośrodku stołu, ułożona kunsztownie w drucianym koszyku, wznosiła

<sup>26</sup> *kablon* (daw.) — dorsz; w oryginale *merluce*: morszczuk. [przypis edytorski]

Pies, Asceta, Pobożność

Antysemityzm

Jedzenie, Religia

się cała góra czerwonych pisanek, a gdy ksiądz Coignard odmówił *Benedicite*, jaja te stały się głównym tematem rozmowy.

— Czytamy w Aeliuszu Lampridiuszu — ozwał się pan Mikołaj Wisienka — że kura będąca własnością ojca Aleksandra Sewera zniosła w dniu urodzin tego przeznaczonego na władcę dziecięcia purpurowe jajo.

— Lampridiusz ów — odparł drogi mój mistrz — nie posiadający sam dużo sprytu, posługiwał się zapewne kobietami celem rozgłaszania baśni tego rodzaju, bo były one w sam raz dla kumoszek. Pan jednak, drogi Wisienko, jesteś chyba zbyt mądry, by z tego mętnego źródła wysnuwać obyczaj katolickich czerwonych pisanek czasu Wielkiej Nocy.

— Nie wierzę w istocie — wyznał pan Mikołaj — by obyczaj ten zaczął się od jaja Aleksandra Sewera. Z zapisku Lampridiusza wyciągam ten jeno wniosek, że u pogan purpurowe jajo było proroctwem władzy królewskiej. Zresztą — dodał dla ścisłości — jajo to musiało zostać w ten czy inny sposób pomalowane, gdyż kury nie niosą czerwonych jaj.

Matka stała przy kuchni i przyodzabiała półmiski w sposób arcyapetyczny. Na te słowa ozwała się, mniemając słusznie, iż temat wkracza w jej teren operacyjny:

— Za pozwoleniem! Z dziecięcych lat pamiętam jedną czarną kurę, która niosła jaja zupełnie niemal brunatne, toteż nie wzbraniam się dać wiary, że istnieją kury znoszące jaja czerwone lub przynajmniej czerwonawe, przypominające kolorem barwę cegły.

— Wszystko możliwe! — zawołał drogi mistrz zgodliwie. — Natura wykazuje w swych dziełach różnorodność znacznie większą, niż to przypuszczamy zazwyczaj. W rozmnażaniu zwierząt spotykamy dziwactwa wszelakiego rodzaju, o czym świadczą dowodnie zbiory przyrodnicze, mieszczące nieraz potworki stokroć dziwniejsze niż jaja czerwone.

— W gabinecie królewskim historii naturalnej — powiedział uczony pan Wisienka — znajduje się cielę o pięciu nogach i dwa o dwu głowach.

— Słyszałam coś lepszego w Auneau koło Chartres — odrzekła matka stawiając na stole duży półmisek, na którym widniała góra kielbasek z kapustą, wylaniająca chmurę woni, bijącą aż pod pułap. — Przyszło tam na świat dziecko o gęsich nogach i głowie węża. Akuszerka obecna przy porodzie tak się przeraziła, że rzuciła potwórka w ogień.

— Ostrożnie! Ostrożnie! — zawołał mistrz. — Nie zapominajże, droga gosposiu nasza, że człowiek rodzi się z kobiety po to, by służyć Bogu, a niepodobna tego dokazać mając głowę węża, przeto niemożliwe są na świecie takie dzieci. Akuszerce śniło się to chyba lub zakpiła sobie ze słuchaczy.

— Księżę dobrodzieju — powiedział pan Wisienka uśmiechając się z lekka — widziałeś pewnie równie dobrze jak ja w gabinecie królewskim płód o czterech nogach i dwu płciach, przechowywany w słoju ze spirytusem, zaś w drugim słoju dziecko bez głowy, z jednym okiem powyż pępka. Czyż te dzieci mogłyby lepiej służyć Bogu od noworodka z głową węża, o którym mówiła pani Leonardowa? Cóż powiedzieć dopiero o noworodkach dwugłowych, co do których zgoła nie wiadomo, zali nie posiadają dwu dusz? Przyznaj, dobrodzieju, że natura, pozwalając sobie na te okrutne igraszki, sprawia nieraz dużo kłopotu teologom.

Mistrz otwierał już usta do odpowiedzi i byłby niezawodnie zniweczył doszczętnie zarzuty pana Wisienki, gdyby nie uprzedziła go matka, której powstrzymać nie była w stanie żadna ludzka siła, gdy raz nabrała ochoty do mówienia. Oświadczyła kategorycznie, iż noworodek z Auneau nie był stworzeniem człowieczym, ale diabeł zrobił go córce pewnego piekarza.

— Najlepszy dowód — dodała — że nikomu na myśl nie przyszło ochrzcić potwora i pochowano go zawiniętego w serwetę w kącie ogrodu. Gdyby to była istota ludzka, złożono by ją niezawodnie w poświęconej ziemi. Ile razy diabeł robi dziecko kobiecie, zawsze nadaje mu postać zwierzęcia.

— Droga pani Leonardowo — zauważył ksiądz Coignard — dziwne to zaiste, że wieśniaczka zna się lepiej na diable od doktora świętej teologii, i podziwiam, iż informacje swe czerpiesz, córko moja, od akuszerki z Auneau, ufając, iż wie, czy taki lub owaki płód zalicza się do ludzkości odkupionej krwią Boga! Wierzaj mi, te wszystkie diabelstwa są w gruncie jeno wytworem nieczystej wyobraźni, którą wygnąć powinna być, droga gosposiu nasza, z myśli swojej. Nigdzie nie wyczytałem w pismach ojców Kościoła, by

Potwór, Zabobony

diabeł miał robić dzieci dziewczętom. Opowieści o spółkowaniu z szatanem są to jeno fantazje zgoła wstrętne i wstyd doprawdy, iż jezuita i dominikanie pisali o tym traktaty.

— Święte słowa powiadasz, czcigodny księże — oświadczył pan Wisienka nadziewając na widelec kielbaskę z półmiska — tylko nie odpowiadasz na twierdzenie, iż dzieci, przychodzące na świat bez głowy, nad wyraz źle są przystosowane do przeznaczenia człowieka, którym jest, jak powiada Kościół, poznanie, służenie i kochanie Boga, i że natura nie jest w tym wypadku, podobnie jak i w marnotrawieniu mnóstwa zarodników, dostatecznie teologiczna i katolicka.

— Oo! — zakrzyknął ojciec potrząsając widelcem, na którym widniało smakowite udko kapłona. — O, cóż to za straszne, cóż za poczwarne roztrząsania! Czyż odpowiadają one uroczystości, jaką święcimy dzisiaj? Co prawda, winną tu jest żona moja, podając na stół dziecko z głową węża, jak gdyby potrawa ta godną była uczciwych i zbożnych biesiadników. Jakże się stać mogło, by z moich pięknych, czerwonych pisanek wylęgły się szatany i poczwary?

— Kochany gospodarzu — rzekł ksiądz Coignard — z jaja może wylęgnąć się mnóstwo rzeczy. Paganie na tej podstawie stworzyli dużo baśni, kryjących wiele filozoficznych myśli. Jestem jednakże równie jak ty, panie Leonardzie, zdumiony, że spod łupiny jaj katolickich, farbowanych purpurą starożytnych, które zajadamy obecnie, mogło wydobyć się tyle bezbożnych dziwołogów.

Pan Mikołaj Wisienka spojrział na mego mistrza spod oka i uśmiechnął się chłodno:

— Księże Hieronimie! — powiedział. — Te jaja farbowane burakami, których skorupki zaścielają podłogę pod stopami naszymi, nie są tak dalece w istocie swej chrześcijańskie i katolickie, jak ci się wydaje. Jaja wielkanocne mają pochodzenie zgoła pogańskie i oznaczają tajemnicę budzenia się przyrody do życia w porze ekwinokcjonalnej roku. Jest to symbol prastary, zachowany w religii chrześcijańskiej.

— Z równym prawem i równie rozsądnie — odparł mistrz — można twierdzić, że jest to symbol Zmartwychwstania Pańskiego. Co do mnie, nie lubuję się wcale w obciążaniu religii subtelnościami symbolicznymi i zdaje mi się, że sama radość spowodowana zjadaniem jaj, których brak odczuwało się przez cały wielki post, dostatecznie tłumaczy, dlaczego w pierwsze święto występują na stole w uroczystym przystroju purpury królewskiej. Ale mniejsza z tym, są to drobiazgi, w których lubują się jeno umysły erudytów i molów bibliotecznych. W wywodach pańskich uderza mnie co innego, mianowicie, że przeciwstawiasz ciągle wiedzę przyrodniczą religii i usiłujesz, panie Wisienko, uczynić jedną przeciwniczką drugiej. Jest to, szanowny mężu, bezbożność taka, że zadrzał przed nią nawet ten pocziwiec, gospodarz nasz, kucharz z zawodu, mimo iż nie rozumie nic a nic! Mnie to zgoła nie wzrusza, gdyż argumenty tego rodzaju nie mogą zwieść na chwilę nawet umysłu, który wie, jaką stąpać drogą.

Rozumowanie twe, drogi Wisienko, pełne jest racjonalizmu i naukowości, które są jeno wąskim, krótkim i brudnym zaułkiem, na końcu którego człowiek rozbija sobie nos o twardego mur, zgoła nie mogąc mówić o honorze. Rozprawiasz jak ów głęboko uczony aptekarz, który sądzi, iż poznał naturę, ponieważ powąchał kilka pozorów zgoła zewnętrznych. I wydałeś sąd aptekarski, że rozmnażanie naturalne, wydające monstra, nie leży w planie Boga, który stwarza człowieka, by głosił chwałę jego: *Pulcher hymnus Dei homo immortalis*<sup>27</sup>. Jakżeś łaskawy, iż nie wspomniałeś nawet o noworodkach, umierających bezpośrednio po urodzeniu, o szaleńcach, matolkach oraz tych wszystkich, którzy, zdaniem twym, nie są, jak powiada Laktancjusz, *pulcher hymnus Dei*, pięknym hymnem Boga. Cóż jednak wiesz o tym wszystkim, Wisienko moja? Cóż my wiemy w ogóle wszyscy? Sądzę, że nie uważasz mnie, drogi przyjacielu, za jednego z czytelników swych w Amsterdamie czy Hadze i nie zechcesz wmówić we mnie, iż nieświadoma natura jest kamieniem obrazy dla naszej świętej wiary katolickiej? Natura, zacny panie, jest to w oczach naszych jeno szereg nie związanych ze sobą niczym obrazów i faktów, których znaczenia odkryć nie umiemy, i przyznaję, że idąc jej śladem, nie potrafię rozpoznać w noworodku ani chrześcijanina, ani męża dojrzałego, ani nawet indywiduum, gdyż

<sup>27</sup> *Pulcher hymnus Dei homo immortalis* (łac.) — piękny hymn ludzki dla nieśmiertelnego Boga; egzystencja ludzka jest hymnem na cześć Boga (cytat z Laktancjusza, chrześcijańskiego pisarza i retora z III–IV w. n.e.). [przypis edytorski]

ciało i jego rozwój są to hieroglify zgoła nieczytelne. Ale to nic, widzimy bowiem jeno odwrotną stronę tkaniny. Nie upierajmy się dowiedzieć czegokolwiek, gdyż z tej strony nie możemy nic zobaczyć. Odwróćmy raczej całą rzecz na stronę poznawalną, czyli spójrzmy na duszę ludzką, zjednoczoną z Bogiem.

Zabawne są te wszystkie wywody twoje, przezacny panie Wisienko, o rozmnażaniu i naturze! — ciągnął dalej ksiądz Coignard. — Wyglądasz z nimi jak prosty sobie mieszczuch, który obejrawszy obrazy i obicia w królewskiej sali obrad, mniema, iż posiadał wszystkie sekrety Króla Jegomości. Podobnie jak sekret mieści się w rozmowie suwerena z ministrami, tak przeznaczenie ludzkości w myślach, płynących jednocześnie ze Stwórcy i stworzenia. Reszta to głupstwa mogące bawić tępogłowych dociekaczy i erudyków, jakich pełno w każdej akademii. Jeśli mi już chcesz bając o naturze, to mów o tej, jaką widuje się pod „Małym Bachusem” w osobie koronczarki Kasi, krągłutkiej i cudnie zbudowanej.

— Ty zaś, drogi gospodarzu — dodał — racz mi dać wina, bym zwilżył gardło, wyschłe z oburzenia, iż czcigodny Mikołaj Wisienka oskarża naturę o zbrodnię ateizmu! Do stu tysięcy diabłów, jest tak nawet! Tak, Wisienko! A jeśli mimo wszystko natura ta śpiewa chwałę Bogu, to czyni to nieświadomie, bowiem świadomość istnieje tylko w umyśle człowieka, będącego wytworem skończoności i nieskończoności jednocześnie!... Wina!

Ojciec napełnił co prędzej kubek zacnego mistrza mego dobrym winem, potem postąpił tak samo z kubkiem pana Mikołaja Wisienki, a oni trącili się w jak najlepszej myśli, albowiem byli to ludzie porządni i wiedzieli, co się winu należy.

## VI. NOWE MINISTERSTWO

Mister Shippen, wykonywujący w Greenwich zawód ślusarski, ile tylko razy przyjeżdżał do Paryża, stołował się zawsze w gospodzie „Pod Królową Gęsią Nóżką” i jadał obiady w towarzystwie gospodarza oraz mego mistrza, czcigodnego księdza Hieronima Coignarda. Tego dnia po deserze, zażądawszy jak zawsze butelki wina, zapalił fajkę, wyjął z kieszeni „Gazetę Londyńską” i zaczął w skupieniu ducha pić, palić, czytać jednocześnie. Po chwili złożył gazetę, fajkę położył na brzegu stołu i powiedział:

— Panowie, gabinet upadł!

— Oo... — pocieszył go ksiądz Coignard — to rzecz bez znaczenia!

— Przepraszam — odrzekł mister Shippen — ale to posiada znaczenie, bowiem poprzednie ministerstwo było torysowskie, przeto nowe będzie whigowskie, a zresztą wszystko, co się dzieje w Anglii, ma wielkie znaczenie!

— Proszę pana — powiedział mistrz — mieliśmy już we Francji zmiany daleko większe niż ta. Widzieliśmy, jak zastąpiono cztery pierwotne sekretariaty stanu sześciu lub siedmiu radami, każda zaś miała po dziesięciu członków, czyli panów ministrów pokrajano na drobne kawałki, potem zaś, i to niedługo, posklejano ich na nowo i przywrócono do życia w poprzednim kształcie. Za każdą taką zmianą jedni klęli się, że wszystko przepadło, drudzy głosili, że teraz została ocalona ojczyzna, a nawet śpiewano o tym piosenki.

Ja osobiście nie interesuję się zgoła tym, co się dzieje w gabinecie Króla Jegomości; uczyniłem spostrzeżenie, że sam tok życia nie ulega zgoła żadnej zmianie, a po reformie ludzie pozostają jak dawniej samolubni, chciwi, nikczemni, okrutni, głupi, wściekli, że co roku rodzi się mniej więcej taż sama ilość dzieci, tyleż zawiera się małżeństw, tyleż rozdziela się par rogów i tyluż ludzi zawisa na szubienicy, co razem świadczy o pięknym, nie zmaconym niczym trwaniu społeczeństwa i społecznego ładu. Ład ten zaś jest stały, szanowny panie, i nic go naruszyć nie zdoła, albowiem oparty on jest o fundament słabości i głupoty człowieczej, zaś ten trybunał kryminalny nie pomyli się w wyroku nigdy! Gmach tak trwały urągać może śmiało wszelkim zakusom najgorszych suwerenów oraz tłuszczy nikczemnych urzędników, idących w nagonce.

Ojciec mój przysłuchiwał się uważnie rozmowie, trzymając w ręku wielki szpikulec do nadziewania pieczeni słoninę, gdy zaś ks. Coignard skończył, uczynił stanowczym głosem uwagę, że zdarzyć się może czasem dobry minister. Sam zna nawet takiego, a był nim właśnie niedawno zmarły Dubois, autor bardzo mądrego rozporządzenia, które broni kucharzy przeciw nienasyconej zachłanności rzeźników i pasztetników.

Nauka, Wiedza, Filozof,  
Natura

Wino

Polityka

— Być może — zgodził się mój mistrz ochotnie — być może, panie Szpikuliński, ale w kwestiach tego rodzaju najlepiej dyskutować z panem Ciastolepem. Nam idzie o to, by stwierdzić, że państwa trwają nie skutkiem mądrości kilku jakichś tam sekretarzy stanu, jeno że jest to wynik zbiorowych potrzeb wielu milionów ludzi, którzy w celu utrzymania się przy życiu oddają się różnym rodzajom pracy ciężkiej i haniebnej, jak przemysłowi, handlowi, rolnictwu, wojnie i żegludze. Te wszystkie nędze osobnicze, razem wzięte, zwa-  
ją się potęgą ludu, a ani książęta, ani ministrowie nie mają w niej żadnego udziału ni zasługi.

Państwo

— Myli się ksiądz — zauważył Anglik — ministrowie biorą w tym żywy udział, stwarzając ustawy, z których każda może wzbogacić lub zniszczyć cały naród.

— Przesada, wielka przesada! — odparł mistrz. — Zresztą cóż oni mogą zrobić? Sprawy państwa mają zakres tak szeroki, że człowiek nie ogarnia go spojrzeniem. Przeto przebaczyć należy ministrom działającym na oślep i nie żywić ku nim nienawiści ani za dobre rzeczy, które zaprowadzić chcieli, ani za zło, jakiego są sprawcami; należy pamiętać zawsze, że działali na oślep, jak Collin-Maillard<sup>28</sup>. Zresztą, gdybyśmy na sprawy patrzyli bez przesądów, to owe dobre i złe rzeczy wydałyby się nam drobiazgami, bo bardzo wątpię, czy jakieś rozporządzenie lub ustawa może mieć skutki takie, jak pan powiadasz. Weźmy na przykład dziewczęta publiczne. Wszakże w ciągu jednego roku wydają władze przeciw nim samym więcej edyktów niż w ciągu lat stu przeciw wszystkim innym stanom w państwie, a mimo to uprawiają one nieprzerwanie swe rzemiosło, i to z zastraszającą wprost precyzją prawa natury.

Prawo

Śmieję się po prostu z naiwnych gryzipiórków w guście urzędnika specjalnego, nazwiskiem Nicodème, który dniem i nocą medytuje, jakby im zamknąć sklepik. Drwią w żywe oczy z takiej figury jak mer Bordeaux, pan Baiselance<sup>29</sup>, który stworzył wspólnie z fiskalistami bezsilną ligę ku ich zatracie. Mogę panu zaręczyć, że fląderka i koronczarka jednocześnie, Kasia, nie zna ani pana Baiselance, ani owych rozporządzeń i będzie się puszczała codziennie, wbrew ustawom, aż do ostatnich dni żywota, który, mam nadzieję, zakończy w sposób przykładowy i katolicki. Nie posunę się do twierdzenia, że wszystkie projekty ustaw, jakimi minister wypycha portfel, są to bezpożyteczne papierzyska, skierowane przeciw prostytucji, twierzę jeno, że nie są zdolne stworzyć warunków życia ani ich zniweczyć.

— Czcigodny księżu — odrzekł ślusarz z Greenwich — z prostactwa wysłowienia pańskiego widać, iż niewolnictwo ukształtowało twój umysł. Wyrażałbyś się zgoła inaczej o ministrach i prawach, gdybyś jak ja cieszył się rządem wolnościowym.

— Panie Shippen, który robisz łańcuszki i kłódki, wiedz, że jedyna wolność to wolność ducha, który pogardził nikomościami tego świata. Z wolności społecznych drwię sobie, są to bowiem chochoły, są to złudzenia schlebiające pysze głupców.

— Utwierdzasz mnie ksiądz w opinii, iż Francuzi są oswojonymi małpami — zauważył obiektywnie pan Shippen.

— Za pozwoleniem! — wrzasnął papa Leonard stając w pogotowiu ze swym szpikulcem. — Zdarzają się pośród nich także nie oswojone lwy!

— Nie ma tylko obywateli! — odparł spokojnie pan Shippen. — Wszyscy rozprawiają w Tuileriach o sprawach publicznych, a z onych wszystkich swarów nie rodzi się żadna rozsądna myśl. Naród wasz to coś w rodzaju wrzaskliwej menażerii.

— Proszę pana — powiedział ks. Coignard — prawdą jest, że społeczeństwa ludzkie, doszedłszy do pewnej granicy obłaskawienia i wyrafinowania, zaczynają stawać się czymś w rodzaju menażerii i że postęp narzuca życie w klatce, a oducza od błąkania się smętnego bez celu po lasach. Ten stan jest jednak wspólny wszystkim ludom Europy.

— Księżu — odparł ślusarz — Anglia nie jest menażerią, posiada ona bowiem parlament, przed którym ministrowie są odpowiedzialni.

— Panie — zauważył ksiądz — niedalekim jest może dzień, w którym Francja również będzie miała ministrów odpowiedzialnych przed parlamentem! Nawet więcej stać się może jeszcze! Czas niesie ze sobą wiele zmian, urządzenia wewnętrzne państw rozwijają się i wolno nam przypuszczać, że za lat sto Francja dojdzie do czysto ludowej formy rządów. Ale wówczas, drogi panie, sekretarze stanu, którzy dziś znaczą niewiele, przestaną

<sup>28</sup> Collin-Maillard (fr.) — gra podobna do ciuciubabki. [przypis edytorski]

<sup>29</sup> pan Baiselance — nomen omen, bo *baiser la lance* znaczy uznać się zwyciężonym. [przypis autorski]



w ogóle znaczyć cokolwiek. Miast zależeć od monarchy, któremu zawdzięczają władzę i trwanie tej władzy, staną się zależni od opinii publicznej i doświadczać będą jej niestałości i chwiejności wielkiej.

Musimy zwrócić uwagę na fakt, że ministrowie wykonywać mogą swą władzę z pewnym autorytetem i skutecznością jeno w monarchiach absolutnych, jak to widzimy na przykładzie Józefa, syna Jakuba, ministra spraw wewnętrznych faraona, oraz Hamana, ministra Ahaswerusa, z których pierwszy brał skuteczny udział w zarządzie Egiptu, drugi zaś rządził Persją. Musiało tak się złożyć, by królewskość była silna, a król słaby, by dać we Francji władzę absolutną takiemu ministrowi, jak Richelieu. W państwie ludowym ministrowie skarłęją do tego stopnia, że nawet złość ich i głupota nie będą mogły nic złego spowodować.

Władza ustawodawcza, jakąkolwiek ona będzie, wyposaży ich we władzę nieokreśloną jeno i wątpliwą. Nie mogą liczyć na dłuższy okres władania, daleko posunięte nadzieje ni górnotne idee, ścierać się będą w codziennych walkach i fortelach, wegetując smętnie do końca. Dostaną żółtaczkę z wysiłku, chcąc wyczytać z twarzy pięciuset członków parlamentu, co mają właściwie czynić i czym się kierować. Szukając daremnie odbicia myśli własnych w głowach tłumu, złożonego z głupców podzielonych na stronnictwa, męczyć się będą w bezpłodnej rozterce ducha. To zaś przyuczy ich do bezczynności, nie będą umieli niczego przysposobić naprzód, niczego przewidzieć, i praktykować będą jeno intrygę i kłamstwo. Spadną w końcu tak nisko, że ostateczny upadek stanie się zgoła niedostrzegalny, a tylko z nazwisk ich, nagryzmołonych na murze przez żaków szkolnych, natrzasać się będą obywatele.

Pan Shippen wzruszył tylko ramionami.

— To możliwe — odparł. — Wyobrażam sobie zupełnie dobrze taki stan rzeczy we Francji.

— Oo... — dodał mistrz — zaręczam, że cały świat pójdzie tą samą drogą. Zawsze tylko trzeba będzie jeść. Oto najjistotniejsza konieczność, z której wynikają wszystkie inne.

Pan Shippen wytrząsał fajkę i rzekł:

— Zanim do tego dojdzie, zagraża nam ministerstwo popierające rolnictwo, a da się ono we znaki przemysłowi, o ile zostawimy gnojowozom wolną rękę. Musimy się bronić. Nie zapominam, że jestem ślusarzem w Greenwich, zwołam *meeting* ślusarzy i powiem mowę.

Włożył w kieszeń fajkę i wyszedł, zapomniawszy się z nami pożegnać.

## VII. NOWE MINISTERSTWO (DOKOŃCZENIE)

Wieczór był ciepły i pogodny, przeto po wieczery ks. Hieronim Coignard udał się na przechadzkę po ulicy Św. Jakuba, gdzie właśnie zapalano jedną latarnię po drugiej, a mnie przypadł w udziale zaszczyt towarzyszenia drogiemu mistrzowi. Zatrzymał się pod portykiem kościoła Św. Benedykta Beturneńskiego i wskazał mi jedną z ławek kamiennych, ustawionych po obu stronach wejścia, tuż pod figurami w stylu gotyckim, na których widniały nieprzyzwoite bazgroty. Ręka mistrza mego była piękna, pulchna, stworzona do czynienia gestów wymownych w ciągu scholastycznych dysertacji.

— Rożenku, synu mój umiłowany! — powiedział. — Jeśli nie masz nic przeciw temu, usiądźmy na chwilę na tych oto starych, spolerowanych używaniem kamieniach, gdzie przed nami siadywało tylu biedaków, nędznych i nieszczęśliwych. Być może, znalazło się pośród bezliku tych istot kilka bodaj, których rozmowa godna by była uwagi. Nie wiem, czy nie obsiądą nas tam pchły. Ale, synu mój, znajdujesz się w wieku miłości, przeto snadnie wyobrazisz sobie, iż są to pchły Zanetki muzykantki lub Kasi koronczarki, które tutaj zwykle odprawują obrzędy z gachami swymi o zmierzchu, przeto ukłucie tych stworzeń, dopuszczonych do wielkiej z nimi konfidencji, słodkie ci będzie. To ludzenie się właściwe jest młodości. Ja przekroczyłem już wiek rozkosznych omamień, ale powiem sobie, że nie wolno zwracać zbytnej uwagi na drobne dotkliwosci cielesne i że prawdziwego filozofa nie mogą wyprowadzać z równowagi pchły, będące na równi z resztą wszechświata wielką, niezgłębianą tajemnicą Boga.

To mówiąc, zasiadł ostrożnie, by nie zbudzić małego Sabaudczyka, śpiącego na kamiennej ławie z świnką morską w objęciach.

Zająłem miejsce obok niego i zaraz przyszła mi na myśl rozmowa, prowadzona przy stole.

— Mistrzu drogi — powiedziałem — przed chwilą mówiłeś o ministrach. Ministrowie królewscy nie imponowali ci ani strojem, ani karocami, ani talentem i wydałeś o nich sąd, jaki przystoi duchowi wyzwolonemu, którego nic zadziwić nie zdoła. Potem, wyobrażając sobie, jak będą wyglądali ciż sami dostojnicy czasu ludowego ustroju państw (o ile nastaną takie ustroje), twierdziłeś, iż będą to stworzenia nędzne, zasługujące raczej na politowanie jak pochwały. Czyż byłbyś przeciwnikiem demokratycznej formy rządu, zbudowanej na wzorach starożytności?

— Synu mój — odparł mistrz — sam przez się skłaniam się ku rządóm demokratycznym i odczuwam dla nich dużo sympatii. Powoduje mną wzgląd na skromne stanowisko moje oraz *Pismo Święte*, które zgłębiałem po trochu. Sam Bóg powiedział przecież: „Star-si spośród Izraela chcą króla, przeto abym ja nie rządził nimi. Tedy wiedzcie, jakie będą prawa króla. Weźmie dzieci wasze, iżby kierowały zaprzęgiem wozów i biegły przed nimi jako gońce. Z córek uczyni takie, co czynią wonności i warzą jadło, i pieką chleb: *Filias quoque vestras faciet sibi unguentarias et focarias et panificas*. To jest dokładnie zapisane w *Księdze Królów*, skąd dowiadujemy się jeszcze, że król poddanym swym przynosi dwa przykre dary: wojnę i dziesięcinę. Tedy, jeśli nawet prawdą jest, że monarchia jest instytucją boską, to jednak posiada wszystkie cechy ludzkiej głupoty i przewrotności. Nasuwa się przypuszczenie, że niebiosa narzuciły ludzióm ten ustrój za karę: *et tribuit eis petitionem eorum*.

Władza

Ofiary są zazwyczaj ceną gniewu jego,  
Dary — zapłatą srogą wszelakiego zła.

Mógłbym, drogi Rożenku mój, przytoczyć ci mnóstwo pięknych ustępów z autorów starożytnych, w których z siłą niezmierną, w podniosłych słowach przedstawiona jest nienawiść ludzka ku tyranóm. Zresztą zawsze, o ile wiem, okazywałem niejaką siłę ducha pogardzając wielmożami i nie znosząc tych bydląt ze szpadami przy zadku, na równi z jansenistą Błażejem Pascalem. Wszystkie te względy przemawiają w sercu moim za demokratyczną formą rządów. Na temat ten rozmyślałem niejednokrotnie i wyniki zawarę w utworze opartym na zasadzie, że trzeba umieć czytać, by przeczytać, czyli rozbić kość, by znaleźć szpik. Mam zamiar skomponować nową *Pochwałę szaleństwa*, która wyda się sprośną rozpustnikom, lecz mędrcom, umiejącym odnaleźć mądrość skrytą roztropnie pod głupstwem, ukaże swe prawdziwe oblicze. Jednym słowem, zostanę drugim Erazmem i nauczał będę ludy jak on, przy pomocy uczonego i rozsądnego głądzenia o głupstwach. W jednym z rozdziałów odnajdziesz, synu mój, wszystkie objaśnienia w sprawie, która cię tak żywo obchodzi. Dowiesz się wówczas, jaka jest sytuacja ministrów podanych w zależność od państwa czy zgromadzenia narodowego.

— Ach! — wykrzyknąłem. — Jakże mi spieszno przeczytać tę książkę! Kiedyż się ona ukaże, mistrzu mój?

— Nie wiem! — odpowiedział. — Prawdę mówiąc, nie napiszę jej pewnie wcale. Przeznaczenie, kształtujące losy człowieka, posuwa się wskroś sprzeczności. Nie posiadamy ni jednej okruszyny jutra, a owa niepewność, wspólna wszystkim potomkom Adama, dochodzi u mnie do granic ostatecznych skutkiem złańcuchowania się mnóstwa niepowodzeń. Dlatego, drogi Rożenku, nie mam żadnej nadziei napisania tej głęboko pomyślanej facecji.

Nie mam zamiaru wygłaszać na owej zapchlonej ławce dysertacji politycznej, powiem ci tylko pokrótce, jak chciałem w owej fikcyjnej książce przedstawić niemoc i przewrotność owych służalców głuptaska Demosa, gdy stanie się panem świata. Nie wiem, czy się stanie, nie zabieram w tej sprawie głosu, albowiem prorocstwa pozostawiam jasnowidzącym dziewicom o nietkniętym hymenie, co objawiają przyszłość na wzór Sybilli kumańskiej, persykańskiej czy tyburtyńskiej: *quarum insigne virginitas est et virginitatis praemium, divinatio*.

Ale wracamy do tematu. Przed jakimis dwudziestu laty mieszkalem w uroczym mieście Séez, gdzie byłem bibliotekarzem biskupa. Przybyli tam raz wędrowni komedjanci i w jakiejś szopie dawali wcale dobrą tragedię. Poszedłem na przedstawienie i zobaczyłem

cesarza rzymskiego, którego peruka przyozdobiona była większą ilością bobkowych liści niż szynka na jarmarku św. Wawrzyńca. Siedział w wielkim krześle kanonicznym, dwaj ministrowie w galowych strojach, z wstęgami i orderami, przysiedli po obu stronach na niskich taboretach i, tak we trójkę utworzywszy Wielką Radę Stanu, zaczęli deliberować przy świetle lamp, cuchnących ohydnie. W ciągu rozpraw jeden z ministrów skreślił satyryczny portret konsulów z ostatnich czasów republiki rzymskiej. Przedstawił, jak byli zachłanni, żądni użycia i nadużycia swej krótkotrwałej władzy, wrogo usposobieni dla ludu i zawistni wobec następców, w których jednak na pewne<sup>30</sup> spodziewać się mogli godnych naśladowców własnych zdzierstw i kradzieży publicznego majątku. Zapamiętałem jeden kapitalny ustęp:

Mocarz, którego władza rok trwać jeno miała,  
Baczył, by mu dochody jak największe dała,  
Więc nie państwa korzyści, lecz swe własne liczył,  
Bacząc, by już następcą... nic nie odziedziczył.  
Urząd niewielkie dawał w gotówce wyniki,  
Żął więc zboże na łąkach biednej republiki,  
Pewny, że przebaczenie uzyska bez trudu,  
Bo to samo uczyni następcą... dla ludu!

Ten wiersz, drogi synu, przypominający epigramaty Pibraca swą ścisłością i pełnią sentencji, była to najlepsza część całej tragedii, która trąciła nadto pompatycznym wyuzdaniem Frondy, a do reszty zepsuta została bohaterскими dwuznacznikami w guście księżny de Longueville, która tam nawet występuje pod imieniem Emilii. Wiersza tego wyuczyłem się na pamięć celem rozważenia głębszego, przekonany, że piękne maksymy znajdują się nawet w utworach teatralnych. To, co poeta w przytoczonym ośmiowierszu powiada o konsulach republiki rzymskiej, odnosi się dosłownie do ministrów w przyszłych ustrojach demokratycznych, których władza jest znikoma.

Słabymi być muszą, Rożenku mój, bowiem zależą od zgromadzenia przedstawicieli ludu, niezdolnego zarówno do powzięcia rozległych i głęboko ugruntowanych planów polityka, jak i do niewinnej głupoty rozpróżnionego króla. Wielkość ministrów jest możliwa wówczas jeno, gdy współdziałają z mądrym władcą, jak Sully, albo gdy zajmują miejsce króla, jak Richelieu. A przecież wiemy wszyscy, że król Demos<sup>31</sup> nie może posiadać ani wytrwałej roztropności Henryka IV, ani bierności podatnej Ludwika XIII. Przypuśćmy nawet, że ów król Hołota będzie wiedział, czego chce, to na pewno nie będzie miał pojęcia, w jaki sposób wola ta ma zostać ziszczona, ani też, czy jest w ogóle ziszczalna. Wydając złe rozkazy, nie zdobędzie posłuchu i ciągle przekonany będzie, że został zdradzony. Posłowie, których wysłał do zgromadzenia narodowego, podtrzymają zręcznymi kłamstwami przez pewien czas jego złudzenia, ale nadejdzie chwila, kiedy padną przywaleni podejrzeniami, słusznymi lub nieuzasadnionymi. Owo zgromadzenie czy parlament składać się musi z osobistości przeciętnych, bowiem wybrani zostaną przez ciemne masy, idee ich tedy i plany będą szmatławe i ciemne, chociaż obfite. Przywódcom rządu narzucać będą tedy wolę swą, nie ujętą w ścisłą formę, do jakiej nie dorosła ich samoświadomość, a ministrowie, mniej zaiste wprawni w rozwiązywaniu rebusów niż śp. Edyp, po kolei pożerani będą przez Sfinksa o stu głowach, za karę, że nie odgadli zagadki, o której sam Sfinks nie ma zielonego pojęcia.

Najokropniejszą rzeczą będzie dla tych biedaków pogodzenie się z niemocą własną i dużo wody upłynie, zanim przyuczą się gadać miast działać. Z biegiem czasu jednak staną się retorami, ale pilnie baczyć muszą, by byli... złymi retorami, gdyż pierwsza jasno postawiona kwestia musi ich zmieść z powierzchni życia publicznego. Powstanie tedy szkoła gadania, by gadać, a najmądrsi z uczniów, nie chcąc stracić głowy przy pomocy własnego języka, muszą wziąć się do sumiennych studiów nad sztuką kłamania. Wraz z postępami na tym polu najinteligentniejsi staną się najnikczemniejszymi. Jeśli zaś po całej tej uciążliwej i długiej nauce trafi się jeszcze któryś zdolny do zawarcia traktatu,

<sup>30</sup>na pewne — dziś: na pewno. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>demos (gr.) — lud. [przypis edytorski]

uporządkowania finansów czy wglądnięcia w administrację, to talent ten nie przyda mu się na nic, gdyż zbraknie mu czasu, który jest surowcem niezbędnym dla fabrykacji wielkich przedsięwzięć.

Te fatalne i upokarzające warunki zniechęcą naturalnie dobrych, a podsycą ambicję złych. Naczelne miejsca w zarządzie państwa zaroją się pełnymi nieudolnościami zarozumiałcami, ponieważ zaś uczciwość nie jest przyrodzoną człowiekowi, ale musi zostać wyhodowana z troskliwością wielką i usilną przez czas długi, przy zastosowaniu właściwych metod fachowych, przeto niebawem całe kohorty defraudantów i oszustów runą na skarb państwa. Zło pogorszy jeszcze stokrotnie jawność skandalu, bowiem w ludowej formie rządu nic się utaić nie da, a gdy skompromitowanych zostanie wielu, w podejrzenie popadną wszyscy.

Nie wyciągam stąd, drogi Rożeneczku mój, tego wniosku, iżby ludy w przedstawionej powyż sytuacji miały się stać nieszczęśliwsze, niżli są teraz... tego nie twierdzą wcale! Wszakże wspominałem już kilkakrotnie w poprzednich rozmowach, że nie wierzę, by los narodu mógł zależeć od księcia i jego ministrów. Nie wolno przypisywać ustawom takiej mocy, by uważać je za przyczyny pomyślności czy upadku społeczeństwa. Mimo to jednak straszna to rzecz, gdy ustaw jest za dużo, a bardzo się boję, by parlament demokratyczny nie nadużył swej władzy prawodawczej.

Straszy mnie ów mały grzeszek pastuszka Colina, który, sposobiąc się do przyszłych edyktów, mówił do kolegi Jasia: „Ach, gdybym został królem...” Gdy taki Jaś stanie się królem, wyda na pewne<sup>32</sup> w ciągu roku więcej okrutnych edyktów niż cesarz Justynian w ciągu całego morderczego panowania swego! To jest dalszy powód obawy mej odnośnie do władzy pastuchów.

Zważmy jednak z drugiej strony, że rządy królów i cesarzy były przeważnie tak złe, iż nie ma się co spodziewać pogorszenia, a Jaś i koledzy jego nie narobią chyba więcej głupstw ani łajdactw od władców w koronach zwykłych, podwójnych i potrójnych, jacy od czasów potopu (który uporządkował kwestię następstwa tronu) zalewali i zalewają świat krwią i zasypują gruzami. Powiem nawet, że nieudolność i popędliwość tej pastuszej duszy będzie zachwycającą zaletą, albowiem uniemożliwi ową wykwinłą korespondencję międzypaństwową, która zwie się wymianą not dyplomatycznych, a ma na celu rozżarzać sztucznie pożogi wojen wyniszczających, a zgoła bezcelowych.

Ministrowie Demosa, czyli Chamosa, ustawicznie kopani, popychani, upokarzani, besztani, obaleni, boksowani i obrzucani zgniłymi jabłkami i jajami dużo obficie niż najmarniejszy arlekin jarmarczny, nie znajdą czasu na to, by przysposabiać z uśmiechem, w spokoju, w zaciszu gabinetów, przy stołach okrytych zielonym aksamitem, rzezie ludów, zdaniem ich niezbędne dla utrzymania równowagi europejskiej, a w istocie potrzebne im samym dla prywatnych interesów i sławy. Za panowania pastuszka nie będzie polityki zagranicznej i stanie się to dobrodziejstwem prawdziwym dla biednej ludzkości.

Nagle przerwał swój wywód czcigodny mistrz mój i powiedział zrywając się z ławki:

— Pchły trafiły, zdaje mi się, już do dziur w mej sutannie, licznych jak gwiazdy na niebie. Poza tym, wysiadując dłużej pod tym portykiem, sprawilibyśmy przykrość Kasi i Żanetce, spłoszylibyśmy bowiem gaszków owych litościwych dziewczątek, a czekają oni zapewne z utęsknieniem swojej porcji codziennej.

## VIII. PANOWIE ŁAWNICY

Udaliśmy się obaj, mistrz mój i ja, pod wiechę<sup>33</sup>, do „Małego Bachusa”, i zastaliśmy tam Kasię koronczarkę, kulawego szlifierza oraz mego rodzica. Wszyscy troje siedzieli razem przy stole nad dzbanem wina, z którego pokosztowali już dosyć, by stali się rozmowni i towarzyscy.

Miano wybrać, z zachowaniem wszelkich formalności, dwu ławników spośród czterech istniejących<sup>34</sup>, a ojciec mój roztrząsał tę sprawę wedle stanu swego oraz rozumu przyrodzonego.

<sup>32</sup>na pewne — dziś: na pewno. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>pod wiechę (daw.) — karczma, gospoda. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>spośród czterech istniejących — tu: spośród czterech obecnych. [przypis edytorski]

— Całe nieszczęście polega na tym — narzekał — że ławnicy są to urzędnicy i dostojnicy w togach, nie zaś zwyczajni kucharze, i zawdzięczają swój urząd królowi, nie zaś kongregacji kupców, a w pierwszej linii cechowi gospodników paryskich, gdzie pełnią funkcje chorążego. Gdybyśmy ich obierali sami, zniesliby niezawodnie dziesięcinę i podatek od soli, a wszyscy ludzie żyliby sobie szczęśliwie. Przysięgam, że jeśli tylko świat nie cofa się wstecz jak rak, to nadejdzie czas, kiedy ławników obierać będą sami przemysłowcy.

— To rzecz pewna! — zaręczył ksiądz Coignard. — Przekonacie się niebawem, imć panie Leonardzie, że ławników wybierać będą sami gospodnicy i czeladnicy.

— Oho!... A to co znowu? Racze, drogi księżu Hieronimie, zwracać pilniejszą uwagę na słowa swoje! — zawołał ojciec z niepokojem marszcząc brwi. — Gdy raz złączą czeladnicy mieszać się do wyboru ławników, wszystko przepadnie. W czasie praktyki za lat młodych myślałem tylko o tym, by uskubać jak najwięcej z mienia mego pryncypała i jego żony, ale od kiedy mam własny sklep i żonę, rozumiem się na sprawach publicznych, związanych z własnymi.

W tej chwili przyniósł nam dzbanek wina gospodarz spod „Małego Bachusa”, Le-sturgeon. Był to mały, rudy, zwiny i prostoduszny człeczek.

— Rozmawiacie, słyszę, o nowych ławnikach? — rzekł opierając pięści na biodrach. — Cieszyłbym się bardzo, gdyby mieli tyle oleju w głowie, co dawni, chociaż nie można ich nazwać znawcami interesów publicznych. Ale właśnie zaczynali się jako tako rozglądać i coś niecoś orientować, gdy nagle... bęc i po wszystkim.

Wiesz pan dobrze, panie Leonardzie — ciągnął dalej zwracając się do mego ojca — że szkoła, do której uczęszczają dzieci z ulicy Św. Jakuba, jest to stare, drewniane pudło i starczyłoby wiechcia słomy i głowni z pieca, by z niej uczynić wcale przyzwoitą świętojańską sobótkę. Zwróciłem się przeto do panów ławników na ratuszu. List mój nie był zbyt wyszukany pisany stylem, bo dałem go wykaligrafować pewnemu skrybie, mającemu swą norę przy Val-de-Grâce, płacąc jeno sześć groszy gotówką. W piśmie onym przedstawiłem imć panom ławnikom miasta niebezpieczeństwo zagrażające malcom, którzy mogą zostać pewnego dnia uwędzeni niby kielbasy, oraz prosiłem, by mieli wzgląd na czule serca matek. Pan ławnik zajmujący się szkołami odpisał po roku w sposób nader uprzejmy, że w istocie zatroskał się bardzo niebezpieczeństwem grożącym życiu malców z ulicy Św. Jakuba, przeto spiesząc je zażegnać co prędzej, posyła jednocześnie uczniom ręczną sikawkę ogniową. Król, dodał w zakończeniu, w dobroci swej nieprzebranej kazał zbudować w odległości dwustu kroków od wzmiankowanej szkoły cysterne publiczną, a to celem upamiętnienia swych licznych zwycięstw nad wrogami państwa, z tego więc względu nie zachodzi obawa, by miało zbraknąć wody do sikawki, a dzieci przyuczą się niezawodnie wkrótce, jak się obchodzić należy z tym cennym instrumentem. Przeczytawszy ową odpowiedź, podskoczyłem aż do pułapu, potem zaś pobiegłem na Val-de-Grâce i podyktowałem skrybie nowy list tej treści:

— Jaśnie Wielmożny Panie edylu miasta! W wiadomej szkole przy ulicy Św. Jakuba znajduje się dwustu malców, z których najstarszy liczy około siedmiu lat. Przeto chyba będzie im nauczycielka dawała klistryę z pompy magistrackiej, bowiem gasić pożaru nie zdoła z nich żaden. Racz tedy, Jaśnie Wielmożny Panie, zabrać ową sikawkę dla użytku własnego, a poleć zbudowanie szkoły murowanej.

Ten drugi list kosztował mnie również sześć groszy gotówką łącznie z papierem, kopertą i zapieczętowaniem. Ale nie poniosłem straty, albowiem po upływie dwudziestu miesięcy otrzymałem odpowiedź, w której mnie zapewnił imć pan ławnik szkolny, jako malcy z ulicy Św. Jakuba wzbudzili żywe zainteresowanie w urzędzie ławniczym magistratu i że postara się zapewnić im wszelkie bezpieczeństwo. Na tym się skończyło. Jeśli teraz ławnik ten opuści stanowisko, to trzeba będzie zaczynać wszystko na nowo i wydać znowu dwanaście groszy na zapłatę skrybie przy Val-de-Grâce.

Dlatego to, ojciec Leonardzie — zakończył — będąc nawet przekonany, że na ratuszu pełno jest osobistości nadających się lepiej do bud jarmarcznych niż urzędowania, wołę dawnego ławnika z klistryą od nowych dostojników, którzy jej nie posiadają wcale.

— Ja znowu — wmieszała się Kasia — mam pretensje do sędziego kryminalnego. Pozwala Żanetce muzykantce wałęsać się z tłumem gachów po całym placu i gzić się pod portykiem Św. Benedykta Beturneńskiego. Łazi z kąta w kąt w brudnej koszuli i zabłoconej spódnicy i moczy nogi w każdym ścieku. To wstyd. Place publiczne winny być zarezerwowane dla dziewcząt tak ubranych w środku i na wierzchu, by się tam warto było pokazać każdemu w sposób nie ubliżający honorowi.

— Oo?... — zaoponował szlifierz kulawy. — Moim zdaniem trotuary dostępne być winny każdemu. Toteż postąpię niezadługo tak jak Lesturgeon i udam się do skryby na placu Val-de-Grâce, by mi napisał pięknie suplikę w obronie biednych rękodzielników wędrownych. Nie mogę stanąć ze swoją budą w miejscu odpowiednim, gdzie bym zarobił sporo, bo zaraz spada mi na kark policjant, a skoro tylko zatrzyma się przed moim wózkiem dwu lokai i trzy służące, jawi się poczwara w czarnym uniformie i rozkazuje w imieniu prawa wynosić się z całym kramem w kąt, gdzie jeno psy podnoszą w górę lewą nogę. Raz jest to, jak powiada, terytorium wynajęte przez przekupniów, drugi raz znowu staję za blisko pana Leborque, nożownika dekretowego. Innym razem ustępować muszę karcie biskupa lub jakiegoś księcia. Trzeba co prędzej związać manatki i kamień brać na plecy, a dobrze jeszcze, jeśli korzystając z zamieszania lokaje i służące nie ściągną mi bez zapłaty paczki nożyczek lub kilku pięknych rzezaków, wyrabianych w Châtel-lerault. Dość mam tej tyranii, dość mam znoszenia niesprawiedliwości ze strony ludzi wymierzających sprawiedliwość! Czuję ogromną ochotę zbuntować się!

— Z oznak tych wnoszę, że jesteś pan szlifierzem wielkodusznym! — powiedział mój drogi mistrz.

— Nie jestem zgoła wielkoduszny, księżu dobrodzieju! — zaoponował kulas. — Przeciwnie, jestem mściwy i namiętność ta skłoniła mnie do sprzedawania w sekrecie piosenki skierowanej przeciw królowi, jego kochankom i ministrom. Mam ich sporo we worku z oselkami, wiszącym na ścianie budy. Nie zdradźcież mnie, panowie. Jedna z nich o dwunastu dudkach jest po prostu wspaniała!

— Nie zdradzę cię, kochany majstrze! — zaręczył mój ojciec. — Dla mnie dobra piosenka tyleż warta, co szklanka wina, a może więcej jeszcze. Nie mam też nic przeciw nożom odpowiednio do celu wyostrzonym i życzę wam, byście ich sprzedawali ludziom jak najwięcej, każdy bowiem żyć musi. Przyznajcież jednak, drogi majstrze, że nie można pozwolić, by wędrowni rzemieślnicy robili konkurencję kupcom, którzy opłacają czynsz za sklepy i podatek miejski. Sprzeciwiałoby się to zasadniczym urządzeniom dobrej policji i porządkowi. Zuchwałość tych włóczykijów jest niesłychana. Do czegoż by doszło, gdyby ich nie trzymać w ryzach? Zeszłego roku jakiś wieśniak z Montrouge stanął z wózkiem wprost przed drzwiami „Gospody pod Królową Gęsią Nóżką”. Miał całą górę gołębi gotowych do jedzenia, upieczonych, i sprzedawał je o całe dwa liardy i jednego susa<sup>35</sup> taniej, niż ja sprzedaję mój towar. A w dodatku gałgan ten wołał głosem przeraźliwym, aż drżały szyby mego sklepu:

— Śliczne, tłuste gołąbki, pić su!

Groziłem ze dwadzieścia razy największym szpikulcem, a ten drab odpowiadał mi z głupia frant, że ulica jest dla wszystkich. Zaniósłem tedy skargę do sędziego kryminalnego, a tenże oswobodził mnie od natręta. Nie wiem, co się z nim stało, ale po dziś dzień mam doń urazę, gdyż patrząc na to, jak moi stali odbiorcy kupowali jego zatracone gołębie parami, a nawet tuzinami, dostałem żóltaczki i przez długi czas nie mogłem się pozbyć melancholii. Trzeba by go posmarować smołą i utulać w pierzu, by miał tyle piór na ciele, ile go wydarł z drobiu, sprzedawanego tuż pod moim nosem, a potem tak upierzonego oprowadzać po ulicach na postronku.

— Mistrzu Leonardzie! — zawołał kulawy szlifierz. — Jesteś okrutny dla biednych ludzi. Postępowaniem takim można ich popchnąć do czynów rozpaczliwych.

— Mistrzu szlifierzu — powiedział śmiejąc się zacny ksiądz Coignard — radzę panu skomponować satyrę na ojca Leonarda, kazać napisać ją któremuś z płatnych skrybów pod kościołem Św. Innocentego i sprzedawać razem z piosenką o dwunastu dudkach króla Ludwisia. Należałoby przeczesać pod włos naszego przyjaciela, który zmierza przez swój serwilizm nie do wolności, ale do tyranii. Z wszystkiego, co od was posłyszałem,

<sup>35</sup>*su* (B. lp: *susa*), właśc. *sous* (fr.) — daw. drobna moneta fr. [przypis edytorski]

drodzy panowie, wyciągnąć muszę wniosek, iż organizacja policji miejskiej jest sztuką nader trudną, bowiem musi godzić interesy sprzeczne, często nawet wykluczające się wzajem.

Tak, moi przyjaciele — dodał z westchnieniem — dobro publiczne składa się z niezliczonych przypadków zła prywatnego, a dziwić się tylko należy temu, że ludzie zamknięci w murach jednego miasta nie zagryzają się wzajemnie. Jest to łaska boska, iż zostali przez Opatrzność obdarzeni tchórzostwem. Podobnie też pokój pomiędzy państwami opiera się wyłącznie na tym, iż obywatele jednego państwa boją się strasznie obywateli drugiego i ten strach napędza ich wzajemnym szacunkiem dla odwagi przeciwników. Ponad obywatelami stoją książęta i królowie i doprowadzając jednych i drugich do ciągłego drżenia przed gwałtem, zapewniają w ten misterny sposób pokój całemu światu.

Ławnicy nasi natomiast są to władcy nader słabi i nie mogą nikomu dotkliwie szkodzić ani też przynosić wielkich korzyści. Cała ich zasługa mieści się w posiadaniu długich lasek i kędzierzawych peruk. Ale nie bierzcie im za złe, że od czasu ostatniej zmiany panującego są mianowani przez króla i podniesieni do rangi urzędników korony. Stając się przyjaciółmi króla, stali się jednocześnie nieprzyjaciółmi wszystkich obywateli zwyczajnych, zaś ów wrogi stosunek stał się znośny, gdyż rozłożył się na cały ogół, wedle zasad zupełnej równości. Z deszczu tego spada na każdego zaledwo parę kropelek. Gdy nadejdzie dzień, w którym (jak to podobno było w pierwszych czasach monarchii) będą mianowani przez lud, ławnicy pozyskają w mieście przyjaciół, a także i nieprzyjaciół. Wybrani przez kupców płacących czynsz i dziesięcinę, prześladować będą rzemieślników wędrownych, wybrani przez tych ostatnich — będą się starali utracić przemysłowców. Jeśli dojdzie do tego, że niektórzy zawdzięczać będą swe stanowiska czeladnikom, to zwrócą się przeciwko majstrom, którzy zatrudniają czeladź. W ten sposób nigdy nie ustaną spory, kłótnie i starcia, a wszyscy ławnicy razem utworzą zgromadzenie chaotyczne, w którym każdy w gwałtowny sposób będzie usiłował przeforsować interesy swych wyborców. Mimo to sądzę, że nie będziemy wówczas wspominać z żalem naszych dawnych ławników, zawisłych od króla. Nowi dostojnicy, wyposażeni w niezmierną pychę i zarozumiałość, będą nas pobudzać do serdecznego śmiechu, a zarazem utworzą zwierciadło, w którym przejrzeć się mógł będzie każdy z obywateli. Umiarkowanie korzystać będą z umiarkowanej swej władzy. Pochodząc ze stanu niskiego, nie będą zdolni ani pozostać w nim, ani też posunąć się wyżej. Bogaczy przerażać będzie ich zuchwalstwo, biedaków ich tchórzostwo, a jednak należałoby jeno stwierdzić ich wielce hałaśliwą niemoc. Poza tym wszystkim, uzdolnieni do pełnienia funkcji powszechnych i zwyczajnych, zarządzać mogą dobrem publicznym w sposób wystarczająco małostkowy, na który zdobyć się można zawsze, a którego nigdy prześcignąć nie podobna.

— Uf! — odsapnął pocziwy papa mój, gdy mistrz mówić skończył. — Ślicznie mówiliście, księżę dobrodzieju, ale dość tego! Wino kwaśniej w szklance!

## IX. WIEDZA

Pewnego dnia zaszliśmy z droгим mistrzem moim aż do Pont-Neuf, którego parapety okryte są zawsze, jak wiadomo, pudłami antykwarzy i bukinistów, rozkładających przed oczyma tłumu najróżniejsze romansidła oraz dzieła naukowe i książki do nabożeństwa. Można tam kupić za dwa soldy całą *Astreę* i *Wielkiego Cyrusa*, wyczytanego i wytuszczonego palcami prowincjonalnych czytelników, a jednocześnie zaopatrzyć się w przepis na *Maść przeciw oparzelinie* i rozmaite dysertacje jezuickie. Mistrz mój miał zwyczaj czytywać dorywczo po kilka stron różnych książek, nie kupując ich zresztą nigdy, nie posiadał bowiem pieniędzy, a gdy czasem wpadło mu sześć groszy gdzieś z boku, to trzymał je starannie ukryte w kieszeni spodni, przeznaczając z zupełną słuszością dla właściciela „Małego Bachusa”.

Nie był zresztą wcale zachłanny na dobra ziemskie i dzieło najznakomitszego autora nie kusilo go, byle mógł jeno przeczytać celniejsze ustępy, z których potem czerpał tematy do swych niezrównanych wywodów. Pudła bukinistów z Pont-Neuf pociągały go jeszcze i tym, że książki przepojone były zapachem smalcu, dolatującym od pączkarzy, którzy sprzedawali różne gneciuchy w pobliżu, tak że czcigodny mąż ten mógł wdychiwać jednocześnie woń miłą dla umysłu i żołądka.

Wojna

Sprawiedliwość

Władza

Książka



Nasadziwszy okulary, jął się przyglądać wystawie przekupnia, z ukontentowaniem duszy pogodnej, którą raduje wszystko, bowiem odzwierciedla własne jej wesele.

— Rożenku, synu drogi — rzekł do mnie — widzę w pudle tego naiwnego pocziwca książki wydawane wówczas, kiedy drukarstwo było jeszcze, że tak powiem, przy cycku, i zapach oraz prostota przodków naszych dolata mnie poprzez oddal wieków. Dostrzegam tu barbarzyńską kronikę Monstreleta, zawierającą więcej gorczycy niż cała beczka musztardy, oraz kilka żywotów św. Małgorzaty, których swego czasu używały kumoszki na okłady żywotów<sup>36</sup> swoich podczas bólów porodowych.

Trudno by po prostu pojąć, jak człowiek rozsądny mógł pisać i czytać podobne elukubracje, gdyby nie *Pismo Święte*, dowodzące, że ludzie przychodzą na świat z zadatkiem głupoty. Dzięki Bogu nigdy mnie nie przestało oświecać światło świętej wiary, nawet kiedy grzeszyłem w łożu czy przy stole, przeto pojmuję lepiej może ową głupotę wieków minionych niż mądrość czasów obecnych. Owa terazniejsza mądrość wydaje mi się, prawdę mówiąc, nieco złudna i powierzchowna, to jest, patrzę na nią tak, jak patrzeć będą przyszłe stulecia, bowiem człowiek w istocie swej jest to bydlę głupie, a postęp rzekomy jego umysłu jest jeno majakiem niepokoju, jaki go nęka.

Z tego to właśnie powodu, synu drogi, nie dowierzam temu, co zowią wiedzą i filozofią, uważając je za nadużycie w zakresie wyobraźni, za pokuśliwy miraż, którym zły duch wabi dusze. Wiesz dobrze, iż daleki jestem od wiary w one wszystkie diabelstwa, które przerażają tłumy ludu. Zgadzam się zupełnie z świętymi ojcami Kościoła, twierdzącymi, że pokusa mieszka w nas samych i że sami sobie jesteśmy demonami, a maleficja mają swe źródło w duszach naszych.

Mam jednak urazę głęboką również do pana Dekarta<sup>37</sup> i wszystkich tych filozofów, którzy za jego przykładem szukali reguł życia i zasad postępowania w poznaniu przyrody. Czymże jest bowiem, Rożenku, owo poznanie przyrody, jeśli nie uludą zmysłów? Do czegoż zresztą, pytam, doprowadziła wiedza z wszystkimi uczonymi, począwszy od Gassendiego, który bynajmniej nie był osłem, aż do Dekarta i uczniów jego, aż do tego wesołego jagniątko, pana de Fontenelle? Same jeno okulary, same okulary, podobne do tych, jakie zdobiją nos mój. Wszystkie owe mikroskopy i lunety powiększające obrazy są to w gruncie rzeczy jeno okulary dla ludzenia się lepiej.

Co prawda, widać przez nie lepiej niż przez moje, kupione w zeszłym roku na laurentyńskim jarmarku, których szkło lewe, dużo lepsze zresztą od prawego, zostało któregoś dnia w zimie roztrzaskane zydłem, rzuconym we mnie przez kulawego szlifierza, pod pozorem, że pocałowałem Kasię koronczarkę. Jest to człek ordynarny i pograżony zupełnie w otchłaniach żądzy cielesnej, uosobionej w tej dziewczynie.

Tak, Rożenku drogi, wszystkie te instrumenty używane przez uczonych i ciekawych, wypełniające pracownie i gabinety, wszystkie lunety, astrolabia, busole itd. — są to jeno środki pomagające zmysłom w tym lepszym ludzeniu się, a przeto pomnażają jeno nieświadomość, w której beznadziejnie pograżeni jesteśmy z racji samej natury naszej, i to tym dzielniej, im bliższy stwarzają kontakt z przyrodą<sup>38</sup>. Najuczeńsi spośród nas różnią się od ograniczonych tylko wprawą nabytą w zabawianiu się pomyłkami i błędami, których mnogość jest coraz to większa, a chaotyczność coraz to przeraźniejsza. Widzą oni wszechświat w oszlifowanym topazie, oprawionym w ramkę, a nie dostrzegają go w sposób normalny, jak np. zacna matka twoja, patrząca, jak Bóg przykazał, zdrowymi oczyma. Niestety, oczy spoglądające przez lunetę pozostają takimi, jakie były przedtem, i nie zmieniają zgoła rozmiarów przestrzeni używając narzędzi do jej mierzenia, a ciężar pozostaje tenże sam, mimo że ludzie używają wag nader czułych; odkrywają oni jeno coraz to nowe pozory i stają się przez to igraszką nowych złud. Na tym koniec!

Gdybym, o drogi uczniu mój, nie wierzył głęboko w to wszystko, co nam do wierzienia podaje wiara nasza święta i rzymsko-katolicki Kościół, matka nasza, to zaprawdę

Głupota

Wiedza, Mędrzec, Pozory

Zwątpienie

<sup>36</sup> *żywot* (tu daw.) — brzuch. [przypis edytorski]

<sup>37</sup> *Dekart*, właśc. *René Descartes* a. *Kartezjusz* (1569–1650) — fr. uczony i filozof, autor *Rozprawy o metodzie*. [przypis edytorski]

<sup>38</sup> *wszystkie lunety, astrolabia, busole [...] stwarzają kontakt z przyrodą* — można by z genialnego wywodu ks. Hieronima ułożyć coś na kształt prawa Keplera, mianowicie: ilość środków naukowych, czyli łączna ich masa, stoi w stosunku proporcjonalnym do kwadratów odległości poznania przyrody, a odwrotnie proporcjonalnym do ścisłości powyższego rozumowania. [przypis tłumacza]

powiadam ci, że po dojściu do poglądu, iż cały rozwój ducha ludzkiego jest jeno fantasmagorią i głupstwem, nie pozostawałoby mi nic innego jak skoczyć z tego oto parapetu do Sekwany, która, od czasu jak płynie, niejednego już widziała topielca, lub też pójść do Kasi koronczarki i prosić jej, by mi udzieliła tego rodzaju zapomnienia nędzy życia, jaki znaleźć można w jej objęciach, co byłoby zresztą rzeczą nieskromną, uchylającą mej sukience duchownej i niezgodną z wiekiem. Otoczony mnóstwem potwornych przyrządów, zwiększających kłamliwie i upiornie kłamstwo spojrzenia mego, mogę jeno w wierze szukać ucieczki, a Akademia byłaby mi piekłem straszliwym.

Drogi mistrz mój przemawiał w ten sposób, stojąc przy pierwszym parapecie mostu na lewo, opodal ulicy Dauphine, a przekupień spojierał nań coraz to bardziej przerażony, mając go za egzorcystę. Nagle ks. Coignard pochwycił stare wydanie geometrii Euklidesa, ozdobione dość niedołężnymi rysunkami Sebastiana Leclerca<sup>39</sup>, i podjął rzecz na nowo.

— Być może, że nie będąc chrześcijaninem, katolikiem, miast rzucić się w brudną wodę lub miłość, zdecydowałbym się skoczyć jak stoję w matematykę, w której umysł człowieka znajduje pożywkę najpożądańszą, a mianowicie: konsekwencję i ciągłość. Przyznaję, że ta prostacka zresztą książeczka zniewala mnie do niejakiego uznania dla ludzkiego geniuszu.

Powiedziawszy to, otwarł tak nagle i gwałtownie tom w miejscu traktującym o trójkątach, że omal nie złamał grzbietu. Po chwili odrzucił go jednak z niesmakiem.

— Niestety — mruknął z cicha — liczby zawisłe są od czasu, linie od przestrzeni, więc i one stanowią jeno złudę człowieczą. Poza człowiekiem nie istnieje matematyka ani geometria i w gruncie rzeczy nie jest to umiejętność pozwalająca wyjść poza samych siebie, mimo że przybiera pozory niezawisłości, mogące zaimponować.

Rzekłszy to, odwrócił się plecami do bukinisty, niezmiernie uradowanego tym gestem, i odetchnął pełną piersią.

— O drogi mój Rożenku! — zawołał. — Oto widzisz, jak dręczony jestem chorobą z rozmysłem nabytą, widzisz, jak pali mnie płomienna koszula, w którą własną przybrałem się ręką.

Mówił jeno obrazami i alegoriami, gdyż w istocie ubrany był w wyszarzaną, podartą sutanną, spiętą na brzuchu dwoma zaledwo czy trzema guzikami. Guziki nie tkwiły przy tym w dziurkach właściwych. Ile razy mu zwracano uwagę, powiadał zwykle śmiejąc się, że owe niewłaściwe guziki w niewłaściwych dziurkach wyobrażają zepsucie obyczajów w stolicy, czyli że strój jego nazwać można cudzołożnym.

— Nienawidzę wiedzy! — zawołał z uniesieniem. — Nienawidzę, gdyż kochałem ją do szaleństwa, i czynię jak rozkosznik, robiący wymówki kobiecie, że nie ziściła rozkoszy, o jakiej marzył, nim go objęła w ramiona. Chciałem poznać wszystko i cierpię teraz karę za grzeszne szaleństwo swoje. O jakże szczęśliwi są ci naiwni, zebrani wokoło jakiegoś szarlatana!

Pokazał grupę lokai, pokojówek i obszarpańców z zaułków Portu Św. Mikołaja, otaczających jakiegoś błazna ulicznego, który robił hece ze swoim służącym.

— Patrz, Rożenku! — powiedział. — Śmieją się z całego serca, patrząc, jak jeden łotr daje kopniaka w zadek drugiemu. Widowisko to ucieszne jest, a jednak i ten drobiazg psuje mi refleksję, gdyż wystarczy zagłębić się w istotę tego kopniaka i tego zadka, aby przestać śmiać się do końca życia.

Jako chrześcijanin winienem był wcześniej przejrzeć całe łotrostwo w tej pogańskiej maksymie: „Szczęśliwy, kto poznał przyczynę wszechrzeczy!” Trzeba mi było zamknąć się w świętej głupocie niby w klasztornej sadzie pośród murów i zostać podobnym dziecku. Nie poznałbym zapewne grubiańskich dowcipów takiego np. Mondora (ów Molier z Pont-Neuf nie pociąga mnie wcale, a cóż dopiero prawdziwy Molier, nie umiejący kopać wesoło<sup>40</sup>), ale zabawiałbym się ziołami w ogródku i chwaliłbym Boga, upatrując go w kwiatach i owocach jabłoni.

<sup>39</sup>rysunki Sebastiana Leclerca — rysunki Sebastiana Leclerc, zdobiące wspomniane wydanie Euklidesa, uważam, przeciwnie, za godne podziwu dla ich pełnej wdzięku precyzji i dokładności, ale należy uszanować cudzą opinię. [przypis autorski]

<sup>40</sup>ów Molier z Pont-Neuf nie pociąga mnie wcale, a cóż dopiero prawdziwy Molier, nie umiejący kopać wesoło — mówi to ksiądz. [przypis autorski]

Uwiodła mnie nieumiarkowana ciekawość, drogi synu, ztraciłem pokój ducha w obcowaniu z książkami i uczonymi, przepadła święta prostota i owa czystość pokornych duchem, tym większego godna podziwu, że nie kala jej pobyt w szynku ni lupanarze.

Masz przykład tego na kulawym szlifierzu, a także, nie miej urazy, na ojcu twym, kucharzu, który zachował dużo niewinności, mimo iż jest pijakiem i rozpustnikiem. Inaczej dzieje się temu, kto oddawał się czytaniu książek, bowiem w sercu jego nie zagości już nigdy pokój i szczęście, ale pozostanie w nim na zawsze udręka dumy zawiedzionej i dostojeństwo wielkiej żaloby.

Kończył te słowa właśnie, gdy nagle zawarczał donośnie bęben i zgłuszył dalsze wywody.

## X. ARMIA

Stojąc przy Pont-Neuf, usłyszeliśmy łomot bębna. Była to pobudka podoficera werbunkowego. Stał na środku placu, ujawniwszy się pod boki w bohaterskiej postawie, mając za sobą oddział złożony z tuzina żołnierzy z kielbasami i bułkami natkniętymi na bagnetach muszkietów. Otaczała ich grupa obszarpańców i uliczników z otwartymi gębami.

Podoficer pokręcił wężą i wygłosił mowę.

— Nie słuchajmy go! — powiedział mistrz. — Szkoda czasu. Sierżant ów przemawia imieniem króla, przeto nie zdobędzie się na nic rozsądnego. Jeśli chcesz posłyszeć mowę genialną na ten sam temat, to udaj się do któregoś ze spelunek przy Quai de la Ferraille, gdzie naganiacze państwowi werbują lokai i chamów. Naganiacze owi, będąc lotrami spod ciemnej gwiazdy, z fachu bywają wymowni. Pamiętam, słyszałem czasu mej młodości, jeszcze za nieboszczyka króla, niezrównaną mowę werbunkową, a wypowiedział ją jeden z tych handlarzy mięsem ludzkim, mający sklepik przy Vallée-de-Misère, którą stąd możemy dojrzeć wyraźnie. Werbując ochotników na wyjazd do kolonii, mówił do nich mniej więcej w ten sposób:

„Młodzieńcy, którzy słuchacie słów moich! Sądzę, że doszły was sluchy o Kraju Obfitości. Otóż kraj ten leży w Indiach i tam jechać należy, gdy się chce zyskać szczęście niezmiernie. Jeśli zapragniecie złota, pereł czy diamentów, to wystarczy jeno schylić się, bowiem drogi są tam wysadzone owymi marnościami ziemskimi. Co mówię! Nawet schylać się nie trzeba, albowiem od tego są dzicy krajowcy, którzy muszą wam służyć każdej chwili. Nie warto sobie strzępić gęby opowiadaniem, że bez wszelkiej uprawy ni pracy ziemia wydaje tam sama kawę, cytryny, jabłka granatowe, pomarańcze, ananasy i mnóstwo innych wybornych, a nieznanych w naszym nędznym kraju owoców. Jest to raj, i basta. Gdybym wyparzał sobie jadaczkę pustą gadaniną do kobiet i dzieci, opowiadałbym im do rana duby smalone o tych wszystkich smakołykach. Ale mówię do mężczyzn, przeto słuchajcie...”

Pomijam dalsze zachwalania i wywody o sławie i lasce monarszej, ale zaręczam ci, że dorównał w zapale Demostenesowi, a Cynceronowi w obfitości słów, porównań i obrazów. Rezultat był taki, że sześciu czy siedmiu nieszczęśników zgodziło się umrzeć na żółtą febrę w bagnach Indochin. Otóż widzisz, drogi mój chłopcze, że niebezpieczną bronią jest krasomówstwo, którym posługuje się geniusz sztuki zarówno w dobrym, jak i złym celu.

Podziękuj Bogu, Rożenku mój, że nie wyposażył cię talentami żadnego rodzaju, a przeto uchronił od hańby zostania kiedyś szerzycielem nieszczęść pośród ludu. Ulubieńców Opatrzności poznaje się po tym, że nie mają rozumu, ja zaś przekonałem się, iż do nich zaliczać się niestety nie mogę, gdyż owa dość znaczna inteligencja, jaką spodobało się Niebu pokarać mnie, była zawsze i jest dotąd ciągłą przyczyną niebezpieczeństw na tym świecie, a kto wie, czy i w przyszłym życiu nie stanie mi na przeszkodzie.

Cóż by się dopiero działo, gdyby duch i serce takiego Cezara osiedliły się w biednym ciele moim! Żądze me nie znałyby różnic płci i nie znalazłbym litości! Rozniecałbym wewnątrz i zewnątrz państwa straszliwe wojny. Wspomnieć tu należy, że wielki Cezar miał duszę wykwinną i coś w rodzaju łagodności. Umarł przyzwoicie, zakłuty sztyletem cnotliwego mordercy. O dniu nieszczęsny id marcowych, dniu na wieki przeklęty, w którym przepojone zasadami chamy zniweczyły owego uroczego potwora! Godzien jestem oplakiwać boskiego Cezara po równi z Wenerą, matką jego, a nazywam go potworem

Wiedza, Cnota

Kolonializm

Śmierć bohatera

z czułości tylko, gdyż w zrównoważonej duszy jego nie było żadnej innej dysharmonii prócz nieokiełznanej żądzy władzy. Miał przyrodzone poczucie rytmu i miary i lubował się czasem swej młodości zupełnie jednako w rozpuście, jak gramatyce. Był krasomówcą, a piękność jego postaci zdobiła umyślną oschłość wywodów. Kochał Kleopatę z tą samą geometryczną ścisłością, jaką widzimy we wszystkich jego zamierzeniach i czynach. W piśmiach i działaniu okazał geniusz jasności, był też zwolennikiem pokoju i ładu w samym nawet odmęcie wojny, a przy tym tak wrażliwy na harmonię i zręczny w konstrukcjach jurydycznych, że mimo naszej dotychczasowej barbarii żyjemy ciągle jeszcze pod urokiem majestatu praw jego państwa, które uczyniły świat tym, czym jest obecnie.

Widzisz tedy, synu mój, że nie szczędzę mu pochwał ni uczucia. Jako wódz, dyktator, czy *pontifex maximus* modelował świat pięknymi rękami swymi. A czymże ja byłem? Profesorem retoryki w kolegium w Beauvais, sekretarzem pewnej śpiewaczki operowej, bibliotekarzem Jego Wielebności księdza biskupa w Sééz, pisarzem publicznym przy kostnicy Św. Młodzianków i nauczycielem syna ojca twego w gospodzie „Pod Królową Gęsią Nóżką”. Prócz tego sporządziłem piękny katalog cennych rękopisów, skomponowałem kilka paszkwilów, o których lepiej nie wspominać, oraz skreśliłem na papierze do owijania świec kilkaset maksym, których wydać nie chce żaden nakładca. Mimo to nie zamieniłbym się z Juliuszem Cezarem, gdyż wielki by przez to poniosła despekt niewinność moja, a wolę być raczej człowiekiem ciemnym, biednym i pogardzanym, jak to jest w istocie, niż wznieść się na one wyżyny, z których wskazuje się światu nowe drogi przeznaczenia, krwią zalane.

Ten oto sierzant, drogi Rozenku, którego wrzask aż do nas dochodzi, obiecujący onym biedakom i durniom susa dziennie oraz chleb i mięso, nasuwa mi głębokie refleksje na temat wojny i armii. Różne miałem zawody, prócz żołnierki, gdyż ten fach napawał mnie zawsze obrzydzeniem i strachem, skutkiem złączonego z nim serwilizmu, fałszywego rozumienia sławy i okrucieństwa. Te rzeczy sprzeczne są wprost z naturą moją, zamilowaną w pokój, z namiętnym umiłowaniem wolności oraz nastrojem umysłu, który wie, co sądzić o sławie, i taksuje wedle właściwej miary sławę muszkietera.

Pomijam tu zresztą zamilowanie nieprzewyciężone do rozmyślań, któremu by stały bardzo na przeszkodzie ćwiczenia szablą, strzelanie i w ogóle cała musztra. Nie pragnąc zostać Cezarem, rozumiesz, że nie myślę również stać się kapralem Cezara i nie kryję się wcale z tym, iż służba wojskowa wydaje mi się najstraszliwszą zarazą, szalejącą pośród narodów rządzonych systemem policyjnym.

Jest to pogląd filozoficzny, przeto nie może go podzielać znaczna liczba osób, toteż nie zbraknie królom ni republikanom nigdy chyba żołnierzy do parad i do najkrwawszych nawet wojen. Czytałem u Blazota pod „Obrazem Św. Katarzyny” traktat Makiawela<sup>41</sup> i zauważyłem, że jest ślicznie oprawny w pergamin. Wart jest grzechu, drogi chłopcze. Osobiście cenię niezmiernie tego sekretarza stanu florentyńskiej republiki, który pierwszy odjął czynom politycznym ów pozór podstawy sprawiedliwości, o którą oparciu władcy — zarówno jak i republiki — popelniali przez całe wieki łajdactwa i zbrodnie. Florentyńczyk ów, widząc, iż ojczyzna wydana jest na łup wojsk najemnych, powziął myśl stworzenia armii narodowej i patriotycznej. Powiedział gdzieś w dziełach swych, że słusznym jest, by wszyscy obywatele przyczyniali się do ubezpieczenia losu kraju, a przeto winni stać się żołnierzami. Słyszałem to w księgarni od pana Roman, który, jak wiesz, jest nader gorliwym obrońcą praw państwa. Idzie mu jeno o dobro ogółu i uczuje się zadowolonym wówczas dopiero, kiedy wszystkie interesy prywatne zostaną złożone w ofierze dobru państwa. Makiawel tedy oraz pan Roman życzą sobie, byśmy wszyscy zostali żołnierzami, ponieważ wszyscy jesteśmy obywatelami. Nie twierdzą, jak oni, by to była rzecz słuszną, ale nie powiem też, iżby to nie miało podstawy, a to dlatego, że słusność i niesłusność są to tematy rozumowania i w tych sprawach decyzję przyznają sofistom.

— Co? — zawołałem przerażony. — Czyż mnie uszy mylą? Twierdzisz, mistrzu, że sprawiedliwość zależy jedynie od rozumowania sofisty, że stwierdzenie, który z postępów naszych jest słuszny, a który nie, zależy jedynie i wyłącznie od argumentów zręcznego logika? Oo... maksyma ta boli mnie srożej, niż to potrafię wypowiedzieć!

<sup>41</sup>Makiawel, właśc. *Niccolò Machiavelli* (1469–1527) — wł. prawnik i pisarz, autor traktatu o władzy pt. *Książę*. [przypis edytorski]

— Rożenku, synu mój, nie martw się, ale posłuchaj! Mówiłem wyłącznie o sprawiedliwości ludzkiej, różnej zgoła od nieomyślnej sprawiedliwości boskiej, zazwyczaj nawet sprzecznej z tą pierwszą. Ludzie starali się zawsze na drodze roztrząsania rozumowego dojść do ujęcia idei sprawiedliwości i niesprawiedliwości, gdyż ono jedno objąć zdolne jest argumenty za i przeciw. Domyślałem się, że chciałbyś oprzeć ideę sprawiedliwości na uczuciu, ale przestrzegam cię, że na tej małej polance zbudować zdołasz co najwyżej niewielką zagrodę, szalas starego Ewandra lub chałupczkę niską, w której Filemon ściskać może Baucis. Gmach ustawodawstwa i baszta instytucji państwowych muszą mieć obszerniejszą parcelę i silniejsze fundamenty. Sama naiwna prostota przyrodzona niezdołną jest udźwignąć ciężaru straszliwego, toteż owe olbrzymie mury opierają się o podwaliny kłamstw starożytności, a wzniosła je subtelna i okrutna sztuka architektoniczna prawodawców, urzędników i książąt.

Prawo, Sprawiedliwość,  
Dom

Naiwnością jest, Rożenku, mój chłopcze, zadawać sobie pytanie, zali jakaś ustawa jest sprawiedliwa czy nie, a tak właśnie rzecz się ma z obowiązkiem służby wojskowej oraz innymi instytucjami. Nie podobna orzec, czy są dobre, czy złe w zasadzie, gdyż nie ma zasad poza Bogiem, z którego wynika wszystko. Musisz się, drogi synu, bronić przed niewolą tego rodzaju, która polega na słowach i nazwach, a wciąga w swe sidła całe masy ludzi, podających głowy pod nóż z całą uległością. Wiedz, że pojęcie sprawiedliwości nie posiada żadnej treści ni sensu, z wyjątkiem w świętej teologii, gdzie nabiera ścisłego i straszliwego znaczenia.

Pan Roman twierdząc, że służba pod rozkazami króla jest obowiązkiem, postępuje jak sofista, a mimo to sędzę, że gdyby król zażądał pewnego dnia od wszystkich obywateli, by stanęli pod bronią, to niezawodnie usłuchaliby, i to nie tylko z uległością, ale nawet z radosnym pośpiechem. Zauważyłem, że żołnierka jest zawodem najnaturalniejszym dla człowieka. Skłania on się ku temu najłatwiej przez wrodzone instynkty i upodobania, zresztą nie zawsze pochwały godne. Toteż z wyjątkiem pewnej liczby wyjątkowych natur, do których się sam zaliczam, człowieka można zdefiniować jako bydlę z muszkietem.

Żołnierz

Daj mu jeno piękny uniform, zrób nadzieję, że będzie mordował i rabował, a radość go ogarnie szalona. Stąd też pochodzi, że ogólnie uznajemy państwo militarne za najwyższy typ państwa, co jest o tyle prawdą, że takie państwo jest najstarszą formą, a pierwsi zaraz śmiertelnicy brali się za bary. Państwo militarne jest ponadto najlepiej dostosowane do ludzkiej natury, albowiem myśli się w nim najmniej, a przecież wcale nie jesteśmy na świecie po to, by myśleć.

Myślenie jest to choroba właściwa pewnej liczbie jednostek i gdyby zaraza ta rozpowszechniła się zanadto, to oczywiście rodzaj ludzki musiałby zniknąć z powierzchni ziemi. Żołnierze żyją w kupie, a człowiek jest zwierzęciem stadnym. Mają mundury biało-niebieskie, niebiesko-czerwone, szaro-niebieskie, noszą wstęgi, pióropusze i kokardy, a wszystko to działa na dziewczki, tak jak upierzenie koguta na kurę. Idą na wojnę i rabunek, a człowiek z natury swej jest złodziejem, odczuwa żądze, lubi niszczyć, a przy tym lubi również tzw. sławę. Właśnie owo zamięłowanie do sławy skłania nas, Francuzów, do chwytania za broń, zaś nie ulega wątpliwości, iż sławę wojenną opinia publiczna stawia ponad wszystkie inne rodzaje odznaczenia się. Wystarczy ci dla przekonania przeczytać tom historii, a wówczas przebaczysz kapralowi, że nie jest większym od Tytusa Liwiusza filozofem.

## XI. ARMIA (CIĄG DALSZY)

Drogi mistrz mój ciągnął dalej tymi słowy:

— Musisz pamiętać, synu drogi, że ludzie, związani ze sobą w ciągu długich wieków w sposób wieloraki łańcuchem, którego zaledwie kilka najbliższych ogniw dostrzegają, przypisują wielkie dostojęstwo i znaczenie zwyczajom i obyczajom, które powstały z bardzo nędznych i barbarzyńskich zaczątków. Nieświadomość ta sprzyja ich pysze. Fundują swą sławę na nędzocie wieków minionych, a już cała dostojność orężna opiera się na dzikości pierwszych wieków, których wspomnienie przetrwało w *Biblii* oraz u poetów.

Czymże jest w istocie owa dżentelmeneria militarna, z taką dumą wznosząca głowę ponad wszystkie stany, jeśli nie resztką zdegenerowanych, nędznych myśliwców ludów pierwotnych, łowieckich, których tak dokładny obraz kreśli Lukrecjusz, iż nie wiado-

Wojna, Honor, Rycerz

mo: ludzie są to zali<sup>42</sup> wilki? Przedziwna to zaiste farsa, drogi Rożenku mój, że właśnie wojna i polowanie, owe dwie rzeczy, których samo wspomnienie winno by nas przepajać uczuciem hańby i wyrzutów sumienia, albowiem nasuwa na myśl te nędzne konieczności natury oraz zastarzałą złość i dzikość naszą, że, powiadam, właśnie te rzeczy stały się substratem ludzkiej pychy, którą ludy chrześcijańskie kultuwują i honorują dalej, wysoko stawiając rzemiosło rzeźnika i kata, o ile tylko trwa od wieków w danym rodzie. Czyż nie szaleństwem jest po prostu, by ludy cywilizowane czciły i wyróżniały swych obywateli wedle ilości morderstw i rzezi, jakich się dopuścili ich przodkowie i jakimi są po prostu dziedzicznie obciążeni?

— Szlachetny mistrzu — spytałem, gdy zamilkł na chwilę — czy nie sądzisz, że rzemiosło żołnierskie cenione jest tak wysoko z powodu niebezpieczeństw, na jakie naraża, oraz odwagi, której wymaga koniecznie i bezwzględnie?

— Chłopcze mój — odparł — jeśli zawód człowieka ma być ceniony wedle stopnia niebezpieczeństwa, na jakie naraża, i w miarę tego stawiany najwyżej, to pierwszymi szlachciami i diukami państwa winni by być robotnicy i chłopci, gdyż nie zawaham się twierdzić, że robotnik w pracy rękodzielniczej czy kopalni albo na okręcie, a chłop na roli są najbardziej narażeni na śmierć przez wypadek, zatonięcie czy skonanie z głodu. Niebezpieczeństwa, na jakie wystawia się dowódca i żołnierze, są mniejsze co do liczby, a także co do czasu trwania. Żołnierze są wystawieni na pociski i strzały często przez kilka jeno godzin za cały czas służby, a te nawet kule nie zabijają tak pewnie i nieomylnie jak nędza pochłaniająca pokolenia całe. Ludzie są płytki i lekkomyślni, jeśli otaczają większą sławą czyny żołnierza niż pracę rolnika i wytwórcy dóbr wszelakich, robotnika, a także głupi są straszliwie, stawiając wyżej dzieło zniszczenia, dzieło wojny, od rękodziel, sztuki i produkcji rolnej.

— Nie sądzisz, szlachetny mistrzu — spytałem — by żołnierze byli niezbędnie potrzebni do ubezpieczenia państwa? Może więc z tego powodu winniśmy im wdzięczność i cześć za wielką, oddaną ogółowi przysługę.

— Prawda, drogi chłopcze! — powiedział mistrz. — Wojna jest jedną z potrzeb ludzkiej natury i nie sposób wyobrazić sobie ludu, który by się nigdy nie bił, to znaczy, by jego członkowie nie mordowali, nie grabili, nie podpalali. Podobnie trudno spotkać księcia, który by nie był poniekąd uzurpatorem. Czyniono by mu ciągle wymówki i wszyscy by twierdzili, iż nie troszczy się o sławę. Wojna jest tedy ludziom potrzebna, a nawet konieczna. Jest im ona bliższą niż pokój, który też uważać można za odpoczynek pomiędzy dwoma wojnami. Stąd to pochodzi, że książętom starczy najbliższy pretekst, największe głupstwo, by rzucić swe armie przeciw sobie wzajem. Powołują się na swój honor, którego drażliwość przechodzi wprost granice przyzwoitości. Jedno tchnienie i już powstała straszliwa plama, którą zmyć może jeno krew dziesięciu, dwudziestu, trzydziestu czy nawet stu tysięcy ludzi, oczywiście stosownie do zaludnienia danego państwa.

Na pierwszy rzut oka niezrozumiałym się to zgoła wydać musi, w jaki sposób może zostać obmyty honor panującego krwią tych nieszczęśników, a raczej od razu spostrzegamy, że są to jeno słowa pozbawione wszelakiego sensu. Tymczasem ludzie z całą gotowością dają się zabijać za te właśnie słowa.

Jeszcze ciekawszym objawem jest, że książę, który ukradnie prowincję drugiemu, dostępuje niemałej sławy zarówno u swego ludu, jak i ludu okradzonego, a taki zamach na własność, który by został u poszczególnych obywateli ukarany ciężkim więzieniem lub śmiercią, staje się zaszczytnym u księcia, chociaż dokonał go na drodze krwawej, rękami swych najemnych zbirów.

Powiedziawszy to, drogi mistrz mój wyjął z kieszeni tabakierkę i zażył szczyptę, tułającą się jeszcze na dnie.

— Więc nie ma wojen sprawiedliwych i wielkich, szlachetnych racji walki? — spytałem.

— Ludy cywilizowane — odparł — uczyniły niesprawiedliwość przyczyną wojny, uczyniły ją krzywdzielską i niezmiernie okrutną. Pierwsze wojny były to przedsięwzięcia dla osadzenia pewnych plemion na odpowiednich, urodzajnych obszarach. W ten sposób Izraelici podbili ziemię chananejską. Działali pod naporem głodu. Z postępem

Polowanie

Pozycja społeczna, Szlachcic

Odwaga,  
Niebezpieczeństwo, Śmierć  
bohaterska

Honor, Krew

Kradzież, Zbrodnia, Sława,  
Władza

Wojna, Głód, Interes,  
Okrucieństwo

<sup>42</sup>zali (daw.) — czy. [przypis edytorski]

cywilizacji wojna stała się pogonią za koloniami i rynkami zbytu towarów, jak to widzimy na przykładzie Hiszpanii, Holandii, Anglii i Francji. Pośród innych wojen zdarzało się też często, że cesarze i królowie porywali prowincje zupełnie im niepotrzebne, aby je tylko zniszczyć, wyludnić, bez żadnej dla siebie innej korzyści poza tą jeno może, że stawiali tam piramidy, obeliski czy łuki triumfalne.

Takie nadużycie wojny jest wprost ohydne i wydaje się, jakoby ludy stawały się coraz to gorsze w miarę rozwoju cywilizacji lub też że wojna, będąca istotną koniecznością ludzkiej natury, trwa dalej sama dla siebie, chociaż ustały wszelkie powody staczania bojów.

Pogląd taki dotyka mnie boleśnie, gdyż przez sam stan duchowny i skłonność umysłu mam upodobanie w pokoju i miłości bliźniego. Prócz innych smutków odczuwam jeden jeszcze, mianowicie przygnębia mnie widok pustej tabakierki, a to jest właśnie punkt najdrażliwszy, gdyż ujawnia mi całą nędzę moją.

W celu odwrócenia myśli jego od tej przeciwności losu, a zarazem dla własnej nauki, spytałem, czy wojna domowa nie wydaje mu się najohydniejszym rodzajem walki.

— Jest wstrętna, jak wszystkie, ale nie hańbi tak, jak ludzie głoszą, bo przecież obywatele biorący się za łby mają więcej szans zdania sobie sprawy, dlaczego to czynią, niż w wypadku, kiedy ich pędzą stadami na walkę z ludem innym. Bunt i zaburzenia wewnętrzne mają zazwyczaj źródło w skrajnej nędzy ludu. Są to akty rozpacz i ostatnia ucieczka nieszczęśliwych, przez którą zdobyć mogą lepsze warunki życia, a nawet osiąść pewną część władzy. Ale zaznaczyć należy, mój synu, że im słuszniejsze są rewolty, to znaczy, im większa jest nędza mas, tym mniejsze są szanse dla nich wygrania stawki. Ogłodzeni, ogłupieli, zbrojni w samą jeno wściekłość swoją, nie mogą podołać wielkim planom i nie umieją ich przeprowadzić, toteż władca poskramia łatwo tłum nieskoordynowany. Trudniej mu wziąć górę nad zrewoltowanymi możnowładcami, a taki bunt jest wprost haniebny, bo nie ma za sobą prawa konieczności.

Koniec końcem, drogi chłopcze, zarówno domowa jak zewnętrzna wojna jest ohydny zjawiskiem i doprowadza mnie do obrzydzenia sama myśl o niej.

## XII. ARMIA (DOKOŃCZENIE)

— Drogi synu — podjął po chwili mistrz — postaram się dać ci całokształt onej hańby i sławy jednocześnie biednych żołnierzy, pełniących służbę u króla. Wojna bezsprzecznie cofa nas wstecz, ku pierwotnemu brutalizmowi, i jest skutkiem tej dzikości, którą posiadamy na równi ze zwierzętami. Nie mam tu na myśli samych jeno potężnych lwów lub zaciętych kogutów, które są niezmiernie dumne z bitek, ale przytoczę bodaj ptaszęta, jak sojki i sikory, o nawyknięciach nadzwyczaj kłótliwych, ba... nawet owady, jak osy i mrówki, staczające ze sobą walki tak zażarte, że nie mamy przykładów podobnych nawet w dziejach rzymskich.

Powód zasadniczy onych starć jest ten sam u człowieka i zwierzęcia. Idzie im o zdobycz lub zapewnienie sobie posiadania łupu, o obronę jamy czy gniazda lub o pozyskanie samicy dla celów rozkoszy i rozmnożenia gatunku. Nie ma najmniejszej różnicy pomiędzy zwierzęciem a człowiekiem w tym wypadku, a porwanie Sabinek żywo przypomina nocne walki jeleni, które posoką swoją rosą lasy nasze. Umiemy tylko ubarwić owe motywy niskie i przyrodzone ideą honoru, o czym gadamy jak najęci, nie licząc się ze ścisłością rozumowania.

Przypisując dzisiaj wojnie motywy szlachetne, dostojne i bohaterskie, operujemy jeno niejasnymi formułami uczuciowymi, niczym więcej. Im mniej prostym, jasnym i określonym jest cel wojny, tym bardziej zasługuje ona na potępienie, a w wypadkach, kiedy ludzie dochodzą do zabijania się wzajem dla samego jeno honoru, musimy tę zbrodnię napiętnować jako straszliwy czyn, jako opętanie rozpaczliwe. Prześcigamy wówczas najdziksze potwory lasów, które nie zadają sobie ran bez rozsądnych powodów. Można w takich razach stwierdzić, że człowiek jest gorszy i bardziej wynaturzony w staczanych przez siebie wojnach od dzikich bawołów i zajadłych mrówek, w bojach, jakie toczą ze sobą.

Nie koniec na tym. Nienawidzę armii nie tyle ze względu na śmierć, jaką sieje wokół, ile z powodu ośpienia i głupoty, które idą jej śladem. Nie ma gorszego wroga sztuki i wiedzy od przywódcy najemnych żołdaków lub partyzantów, tym więcej iż zazwyczaj

Revolucja

Walka, Zwierzęta, Kondycja  
ludzka



dowódca taki ani trochę wyżej nie stoi intelektualnie od bandy rozbójników, którą prowadzi. Nawyczka narzucania siłą swej woli czyni wojskowego zgoła niewrażliwym na sztukę elokwencji, której źródłem jest potrzeba przekonywania rozumowego. Toteż żołdak szczyści się pogardą słowa i wszelkich wiadomości z zakresu piękna.

Pamiętam wszak, że kiedy byłem bibliotekarzem biskupa w Sécz, znałem pewnego kapitana, starego człowieka, osiwiatego w rzemiośle wojennym, posiadającego sławę niezmierniej odwagi i szczytającego się szeroką blizną, przecinającą mu całą twarz. Było to dobre chłopisko; zabił wprawdzie mnóstwo ludzi i zgwałcił kilka tuzinów ślicznych zakonniczek, ale nie uczynił tego przez jakąś specjalną złość. Rozumiał się wcale dobrze na swej sztuce, a nikt mu dorównać nie mógł w dyscyplinie, jaką narzucił swemu pułkowi, który też defilował podczas parady lepiej od wszystkich innych. Poza tym był to człek o złotym sercu i dzielny kompanion do szklanki... ba... nawet do dzbana, co zresztą stwierdziłem sam, stawiając mu nieraz czoło w gospodzie „Pod Siwym Koniem”.

Zdarzyło się, że towarzyszyłem mu pewnego dnia (zaprzyjaźniliśmy się bowiem przy szklance), podczas gdy uczył swych ludzi, jak się mają orientować w polu według gwiazd. Wyrecytował im przede wszystkim rozkaz pana Louvois w tej sprawie, który od lat trzydziestu bębnił ciągle, przeto nie pomylił się ni razu, zupełnie jak bym ja nie uczynił omyłki, klepiąc *Pater noster* lub *Ave*. Potem oświadczył żołnierzom, że zaczną szukać na niebie gwiazdy biegunowej, której położenie wyznaczają gwiazdy inne, biegnące koło niej, w kierunku przeciwnym od wskazówki zegarka. Mówił, ale nie rozumiał dobrze, co mówi, bo powtórzywszy zdanie dwa czy trzy razy, pochylał się ku mnie i szepnął:

— Psiakrew! Pokaż no mi, księżuniu, tę zatraconą Gwiazdę Polarną. Niech mnie sam Lucyfer, władca piekieł, nabije na widły, jeśli potrafię ją odróżnić pośród mnóstwa światełek rozsianych po niebie!

Nauczyłem go pokrótce, jak ma ją znaleźć, w końcu pokazałem palcem.

— Oo... — zawołał zdumiony — ta szelma wisi bardzo wysoko. Można sobie całkiem skrócić kark, chcąc ją dojrzeć z miejsca, na którym się znajdujemy!

Natychmiast dał rozkaz, by pułk cofnął się o pięćdziesiąt kroków wstecz, a to w tym celu, by żołnierze łatwiej mogli dojrzeć Gwiazdę Polarną.

To, co ci opowiadam, mój chłopcze, nie jest zgoła facecją, ale faktem, na który patrzyłem własnymi oczyma. Przyznasz chyba, że ów mąż orężny miał bardzo naiwny pogląd na urząd świata, a w szczególności na problem paralaksy gwiazd stałych. Mimo to na pięknym, bogato szamerowanym mundurze jego połyskiwały gwiazdy orderów królewskich, a cieszył się w państwie uznaniem nierównie większym niż biedny uczony kapłan.

Otóż tego właśnie chamstwa, panoszącego się w armii, znosić nie mogę!

Mistrz zamilkł na chwilę w celu odsapnięcia, a ja, korzystając z przerwy, zadałem mu pytanie, czy zdaniem jego trzeba mieć dużo inteligencji, by wygrać bitwę. Odpowiedział mi tymi słowy:

— Rożenku! Jeśli weźmiemy pod uwagę wszystkie trudności, towarzyszące ściągnięciu i prowadzeniu wojsk, wiadomości, bez jakich się obejść trudno zarówno w ataku, jak defensywie, oraz zważymy, ile trzeba sprytu i znowstwa dla ułożenia planu, przyjdziemy do przekonania, że zdolnym do przeprowadzenia takiego przedsięwzięcia mógł być jeno taki nadziemski geniusz wojenny jak Cezar, i wydziwić się trudno, że znalazły się po nim umysły zdolne ogarnąć tę moc olbrzymią wiadomości potrzebnych prawdziwemu wojownikowi. Wielki wódz musi znać zarówno ukształtowanie terenu, jak nastrój, obyczaje i rodzaj przemysłu, jakiemu oddaje się ludność. Myślą swą objąć musi nieskończoną niemal ilość drobnych faktów i okoliczności, a z chaosu tego wyprowadzić pogląd prosty i ogarniający wszystko. Plan bywa długo przemyślany i naprzód nakreślony, ale wódz musi posiadać zdolność zmienienia go natychmiast w samym ogniu walki i to nagle objawienie wymaga rozumu wygimnastykowanego i wielkiej odwagi. Myśl tedy wodza porusza się raz powolnym krokiem żółwia, innym znów razem szybuje orlim lotem w przestrzeni. To prawda zupełna i uznaję ją bez zastrzeżeń.

Zważ jednak, drogi chłopcze, że z dwu armii stojących naprzeciw siebie jedna musi być zwyciężoną, z czego wynika, że druga z konieczności zwycięży, choćby dowodzący armią zwycięską nie posiadał wszystkich zalet wielkiego stratega, a nawet choćby nie posiadał żadnej. Zdarzają się dowódcy zdolni, ale zdarzają się też niezastuzenie szczęśliwi, a sława

Żołnierz

Gwiazda, Głupiec

ich nie jest przez to mniejsza. Jakże tedy w owym chaotycznym, zdumiewającym splocie wyróżnić to, co jest wynikiem sztuki, od tego, co przyniósł szczęśliwy przypadek?

Ale odwodzisz mnie od tematu. Rożenku drogi, chciałem ci przedstawić, że wojna dzisiejsza jest hańbą człowieka, a ongi była mu zaszczytem. Ogarnąwszy z konieczności wszystkie państwa, stała się wielką wychowawczynią rodzaju ludzkiego, bo przez nią ludzie nauczyli się cnót, które są konieczne dla zakładania i utrzymywania państw. Ona to nauczyła ich cierpliwości, stanowczości, pogardy niebezpieczeństwa i dostojeństwa ofiary. W dniu, kiedy to pasterze trzód zaczęli toczyć skały olbrzymie, by z nich utworzyć wał ochronny, spoza którego bronili kobiet swych i wołów, w dniu tym powstała pierwsza organizacja społeczna i położone zostały podwaliny postępu wiedzy, sztuki i techniki. Wszystkie wielkie nabytki cywilizacji, jakie dziś posiadamy, więc ojczyzna, miasto, owa dostojna rzecz, którą Rzymianie stawiali powyż bogów i kochali nierównie więcej od nich, *Urbs*, wszystko to są dary wojny.

Pierwsze miasto była to przestrzeń otoczona obronnym murem i w tej oto twardej kolebce, zlewanej obficie krwią, wypiełgnowane zostały wzniosłe prawa, piękne i użyteczne rzemiosła, wiedza i mądrość. Dlatego Bóg prawdziwy chce, by go zwano Panem Zastępów.

Nie mówię ci, drogi synu, tego wszystkiego po to, byś udał się prosto do onego sierżanta werbunkowego, podpisał deklarację wstąpienia do armii oraz nabrał ochoty zostania bohaterem przy pomocy przeciętnie sześćdziesięciu kijów, odbieranych regularnie co dzień.

Wojna czasów naszych przestała być tym, co ją czyniło wielką, i jest jeno chorobą odziedziczoną nawrotem zbrodniczym ku życiu dziakiemu, karygodnym głupstwem. Książęta współcześni, a zwłaszcza zmarły król cieszyć się będą po wszystkie wieki wielką, pełną sławy hańbą, że uczynili z wojny igraszkę i zabawkę dworów. Smutno mi pomyśleć, iż nie zobaczymy końca owych strasznych rzezi masowych.

Jeśli idzie o przyszłość, ową niezbadaną przyszłość, to nie dziw się, iż patrzę na nią przez pryzmat przyrodzonej łagodności własnej oraz sądzę ją miarą sprawiedliwości. Przyszłość to teren podatny marzeniom, jest to utopijna kraina, w której mędrzec lubi wznosić gmachy wspaniałe. Wierzę, iż ludy będą uprawiać w przyszłości jeno dzieła pokoju, a zwiastunem tego ogólnego uśmierzenia wojen w wiekach następnych są mi wzrastające coraz to bardziej zbrojenia. Armie zwiększają się nieustannie liczebnie i rośnie ich potęga. Niedaleki czas, kiedy całe ludy rzucone zostaną w paszczę tego Molocha, a wówczas potwór zdechnie z przejedzenia, pęknie, utywszy nad miarę.

### XIII. AKADEMIA

Dowiedzieliśmy się pewnego dnia, iż biskup z Séezu — został członkiem Akademii Francuskiej. Wygłosił on przed dwudziestu laty panegiryk ku czci św. Maclou<sup>43</sup>, uznany za rzecz bardzo dobrą, i wierzę, iż posiadał piękne ustępy, gdyż drogi mistrz mój, ks. Coignard, przyłożył się do jego skomponowania, zanim opuścił pałac biskupi wraz z pokojówką pani starościny. Biskup seezański wywodził się z wielkiego normandzkiego rodu. Pobożność jego, piwnica i stajnia sławioną była w całym kraju, własny zaś siostrzeniec jego miał duży wpływ na mianowanie członków. Nominacja jego nie zdziwiła tedy nikogo, a nawet znalazła poklask ogółu, z wyjątkiem oczywiście poetów z Café Procope, niezadowolonych nigdy z niczego. Wiadomo jednak, że jest to fronda najgorszego gatunku.

Drogi mój mistrz przyganiał im to zachowanie w zwykły swój, łagodny sposób.

— Czemuż to czuje się niezadowolonym pan Duclos? — pytał. — Wszakże jest od wczoraj równym biskupowi seezańskiemu, posiadającemu najliczniejszych duchownych i najobfitszą psiarnię w całym królestwie! Wszyscy akademicy są sobie równi wedle brzmienia statutu<sup>44</sup>.

<sup>43</sup>św. Maclou — biskup z St.-Mels, zmarły około r. 565. Święto jego obchodzą we Francji 15 listopada. [przypis tłumacza]

<sup>44</sup>Wszyscy akademicy są sobie równi wedle brzmienia statutu — patrz: St. Evremont: *Akademicy*. Godeau: Jak się masz, Colletecie?/ Colletet (rzuca się na kolana): Wielki biskup z Grassu/ Racz rzecz, czy mam upaść i w wielkiej pokorze/ Usta do święconego przyłożyć obcasu?/ Godeau: Ależ wstań, wstań, kolego! Nie całuj, broń Boże!/ Wszakżeśmy sobie równi, synowie Apolla./ Wstań mi zaraz!/ Colletet: Gdy Waszej Eminencji wola,/ Wstaję, dzięki ci czyniąc, Przedostojny Panie!/ Godeau: Statut wśród wszystkich członków uczynił zrównanie,/ Więc

Była to co prawda jeno równość maskarady czy popijawy, wraz z końcem owej zabawy ustająca, a biskup siadał do pozłocistej karety, zostawiając panu Duclos zupełną swobodę brodenia po błocie, opryskującym mu wełniane pończochy. Jeśli boli go, że nie może i pod tym względem dorównać biskupowi, to po cóż ociera się rękawem o graczy, nie mając na stawkę. Powinien by raczej wleźć do beczki, jak Diogenes, albo zaszyć się, jak ja, w nędznej stancjce przy schodach Św. Innocentego<sup>45</sup>. W beczce jeno i w nędznej jamie człowiek wyższym się czuć może od wielmożów świata, tam tylko jest się prawdziwym księżciem i rzeczywistym dostojnikiem. Szczęśliwy, kto umiłował swych nie zawarł w Akademii! Szczęsny, kto żyje wolny od obaw i pożądań, rozumie nicość wszystkiego i wie, że równie marną jest rzeczą być członkiem Akademii, jak nie być nim wcale. Taki to jeno żywot cichy i skryty może być nazwany szczęśliwym, a człowiek, który go wie, zażywa prawdziwej wolności. Kroczy ona za nim, gdziekolwiek się ruszy, a wybraniec Boga święci w ciszy orgie mądrości, w których udział biorą wszystkie muzy, uśmiechając się radośnie.

Tak mówił drogi mistrz mój, a ja podziwiałem czysty entuzjazm, brzmiały w głosie jego i jarzący się w oczach. Ale popędliwość młodzieńcza zawrzała we mnie. Chciałem oświadczyć się po czyjejs stronie i ruszyć w bój za lub przeciw Akademii.

— Księżu dobrodzieju — spytałem — wszakże Akademia ma obowiązek powoływać do swego grona najlepsze umysły królestwa, nie zaś biskupów-wujów tych osób, które mają wpływy<sup>46</sup>?

— Rożenku — odrzekł z łagodnością ks. Coignard — biskup seezański jest pełen ogromnej surowości w swych urzędowych listach pasterskich i rozkazach, a wspaniałomyślny i rozmiłowany w płci pięknej w prywatnym życiu; jest prawdziwym brylantem bez skazy jako prałat, ponadto zaś wygłosił ów słynny panegiryk ku czci św. Maclou, którego zwłaszcza ustęp traktujący o cudownym uleczeniu zapalenia gardła króla Francji zachwycał wszystkich. Czy więc mogła go nie zamianować Akademia dlatego jeno, iż siostrzeniec jego jest człowiekiem wpływowym i uczynnym? Cnotliwa surowość owa byłaby po prostu barbarzyńską karą dla biskupa za to tylko, iż pan de Séz posiada znakomitych ludzi w rodzie. Akademia udała, że tego nie dostrzega, i postąpiła naprawdę wspaniałomyślnie.

Ogarnięty żarem młodości, ośmieliłem się na przemowę tę odpowiedzieć, jak następuje:

— Przebacz, mistrzu czcigodny, ale uczucie nie pozwala mi uznać przytoczonych racji. Cały świat wie o tym, że biskup seezański zdobył wybitne stanowisko jeno przez giętkość swego charakteru i sztukę prześlizgiwania się pomiędzy stronnictwami. Umiał lawirować pomiędzy jezuitami a jansenistami i ubarwiać nikłą ostrożność swoją pozorem miłosierdzia chrześcijańskiego. Mniema, że czyni dosyć, nie budząc niczyjego niezadowolonia, a za cały obowiązek swój uważa powiększanie majątku. A więc nie wielkie serce jego sprawiło, iż pozyskał większość głosów znakomitych protegowanych króla<sup>47</sup>. Nie sprawiły tego również zalety umysłu. Panegiryk ów o gruczołach limfatycznych króla i św. Maclou nie on napisał, ale poprzestał jeno na odczytaniu go. Poza szablonowymi listami pasterskimi spod pióra jego nie wyszło dosłownie nic. Nie odznacza się też niczym innym prócz miłego obejścia i uprzejmości w wysłowieniu. Czy to są dostateczne podstawy nieśmiertelności?

Ks. Coignard nie rozniewał się tym moim sprzeciwem i rzekł życzliwie:

— Rożenku miły! Rozumujesz z ową prostotą, w którą matka twoja wyposażyła cię razem z życiem, i widzę, że długo jeszcze zachowasz przyrodzoną niewinność swoją. Gratuluję ci szczerze. Niewinność jednak nie upoważnia wcale do niesprawiedliwości; dość,

choć, gdy biskup jedzie, stać ci trzeba z brzegu./ Ale tum dla cię Godeau, twój druh i kolega. Ks. Coignard żył za czasów monarchii. W onych latach Akademia uczyniła równymi członków swych, choć nierówni byli wobec prawa. Została ona zniszczoną w roku 1793, jako „ostatni przytułek arystokracji”. [przypis autorski]

<sup>45</sup>schody Św. Innocentego — schody bardzo dawnego pochodzenia, dziś ustąpiły miejsca Halom Centralnym, tuż obok wodozbiór dłuta Jana Goujon i Piotra Lescot, przy skwerze tejże nazwy, w pobliżu Hal Centralnych. [przypis tłumacza]

<sup>46</sup>wszakże Akademia ma obowiązek powoływać do swego grona najlepsze umysły królestwa, nie zaś biskupów-wujów tych osób, które mają wpływy — chciał powiedzieć, że beneficjum królewskie nadane biskupowi nie ma nic wspólnego z kwalifikacjami akademickimi. [przypis autorski]

<sup>47</sup>protegowani króla — król był protektorem Akademii. [przypis autorski]

gdy uczyni cię naiwnym. Nieśmiertelność przyznana panu de Séz nie wymaga ni Bossueta, ni Bellezunca, nie jest bowiem wryta w sercu i pamięci ludów, ale jeno zanotowana w wielkim rejestrze, a wiesz chyba dobrze, iż z takich papierowych liści laurowych nie robi się wieńców na głowy bohaterów.

Cóż stąd wyniknąć może za nieszczęście, jeśli nawet pośród onych czterdziestu „nieśmiertelnych” przeważna liczba odznacza się raczej dobrymi manierami niż geniuszem? Powiesz, że przeciętność opanowała Akademię? Gdzież ona, powiedz, nie włada? Czyż mniej potężna jest w parlamencie lub radzie koronnej, mimo że tam nie jest dla niej miejsce właściwe? Trzebaż więc niezwykłego umysłu, by pracować nad słownikiem, który ma ustalić potoczny sens używanych przez nas wyrazów i po prostu go się trzymać?

Akademicy byli powołani, jak wiesz, po to, by utrwalić dobre obyczaje i pewne normy krasomówcze, by oczyścić język z wszelakich naleciałości starożytnych oraz przymieszek gwary ludowej, w tym celu, by uniemożliwić pojawienie się drugiego Rabelais’go czy Montaigne’a, zalatujących fetorem pospolitości, szorstkością czy prowincjonalizmami. Zgromadzono przeto wykwinisiów, znających się na gładkiej obyczajności, oraz pisarzy, którzy mieli interes w zapoznaniu się z nimi. Dało to powód do obaw, by Akademia nie zreformowała w sposób tyrański języka francuskiego. Przekonano się jednak niebawem, że obawy te były płonne, bo akademicy, miast narzucać nowości, poszli za panującym zwyczajem. Wbrew ich opozycji powiadano dalej, jak przedtem: „Zamykam drzwi!” — chociaż drzwi zamknąć nie można, ale tylko pokój<sup>48</sup>.

Akademia, natknąwszy się na ów zwyczaj, nader szybko ustąpiła, zaznaczając jeno w protokole, iż wyrażenie takie jest niemal powszechne. Było to jedyną jej akcją<sup>49</sup>. Mieli tedy panowie akademicy dość czasu na towarzyskie rozrywki i trzeba im było oczywiście kompanionów miłych, łatwych w obejściu, wykwinnych, dowcipnych, zajmujących wybitne stanowiska i znających świat i ludzi. Wielki talent nie zawsze posiada owe zalety, a geniusz bywa najczęściej wprost dziki i nieprzystępny. Toteż Akademia doskonale obezła się bez Dekarta i Pascala. Ale nie mogłaby się zgoła obejść bez takiego pana Godeau lub pana Conrarta oraz licznych członków posiadających sąd subtelny, swobodny i wolny od uprzedzeń. Niemiliłby byłby zaiste towarzyszem człowiek mający jakąś wielką ideę, czyli tzw. kielbie we łbie.

— Ach! — zawołałem z zalem. — Nie jestże to więc boska rada nieśmiertelnych, czcigodny areopag poezji, wiedzy i piękna?

— Nie, Rożenku. Jest to ciało zbiorowe, zajmujące się zajmującym zajmowaniem tym, co zajmuje jego członków, nader ugrzecznione, a przeto zażywające niezwykłej estymy u ludów daleko zamieszkałych albo w ten czy w inny sposób dzikich. Pojęcia nie masz, mój chłopcze, jaki podziw wzbudza Akademia Francuska w baronach niemieckich, pułkownikach wojsk rosyjskich i milordach angielskich. Ci Europejczycy cenią jeno naszą Akademię i nasze baletnice. Poznałem raz przypadkowo pewną księżniczkę... macedońską, powiedzmy, i to wielkiej piękności, która przejeżdżając przez Paryż rozbijała się na gwałt za byle jakim członkiem Akademii w tym celu, by bez względu na jego wiek i warunki złożyć mu w ofierze swą cześć dziewiczą.

— Jeśli nawet tak jest — zauważyłem — to nie pojmuję, jak mogą panowie akademicy kompromitować swą dobrą sławę wyborem tego rodzaju, jak ostatni?

— Hoła, Rożenku! — zawołał drogi mój mistrz. — Nie krytykujmy wyboru, nie mówmy źle o głosujących. Przede wszystkim i tu, jak we wszystkich sprawach ludzkich, należy przyznać szerokie pole działania przypadkowi, który, ujmując rzecz głębiej, jest symptomem działania Boga na ziemi, jedynym poznawalnym sposobem manifestowania się jasno Opatrzności Boskiej pośród nas. Pewnie wiesz, mój chłopcze, że wszystko, co ludzie płytkcy ironią losu czy kaprysem szczęścia nazywają, jest jeno odwetem mądrości bożej, która drwi sobie w ten sposób z orzeczeń i prognostyków fałszywych mędrców.

<sup>48</sup>Wbrew ich opozycji powiadano dalej, jak przedtem: „Zamykam drzwi!”, chociaż drzwi zamknąć nie można, ale tylko pokój — Akademia w samej rzeczy zabroniła takiego powiedzenia: Nawyczka, co z rozsądku często sobie drwi,/ Zezwała o kimś mówić, że „zamyka drzwi”./ Zwyczaj jest bezrozumny, lecz potężny tak,/ Że ulega mu każdy, chociaż mówi wspan./ Chcąc mieć ciepło, gdy w grudniu sypie śnieg aż strach,/ Zamykamy gabinet, sień lub cały gmach. St. Evremont: *Akademicy*. [przypis autorski]

<sup>49</sup>*Akademia, natknąwszy się na ów zwyczaj, nader szybko ustąpiła [...] Było to jedyną jej akcją* — ówczesna Akademia nie rozdzielała nagród ni odznaczeń. [przypis autorski]

Po wtóre, każdemu zgromadzeniu ludzi przyznać trzeba pewną swobodę wyładowania swych urojeń, chimery czy fantazyj. Zespół ludzi zupełnie rozsądnych byłaby to rzecz wprost nie do zniesienia, a wszyscy razem i każdy z osobna zmieniliby się w sopol lodu sprawiedliwości. Zgromadzenie takie nie mogłoby się uważać za potężne ani nawet za obdarzone wolną wolą, gdyby od czasu do czasu nie zaznało niezrównanej rozkoszy obrażania opinii publicznej i rozsądku za pomocą jakiegoś głupstwa. Jest to grzech ulubiony wszelkich potęg tego świata i każda pozwala sobie na takie dziwaczne idiotyzmy. Dlaczegożby Akademia nie miała tak zwanego fijoła, skoro Porta Ottomańska ma księżyc w herbie, a piękna kobieta domaga się potrawy z Lewiatana i ptasiego mleka?

Wiele sprzecznych tendencji i kaprysów łączy się w splot, dający w rezultacie fatalny wybór, który doprowadza do zielonej pasji dusze prostaczków. Jest to wielką uciechą dla tych wykwintnych żartownisiów porwać nieszczęśliwego, Bogu ducha winnego człeka i zrobić zeń akademika. W podobny sposób czyni Bóg wedle słów psalmisty, wywyższając biedaka, który żył dotąd w kurnej chacie: *Erigen de stercore pauperem ut collocet eum cum principibus populi sui*<sup>50</sup>. Takie zdarzenia wprawiają narody w wielkie zdumienie, a ci, którzy są ich sprawcami, mają wrażenie, iż są obdarzeni potęgą tajemniczą i straszną.

Jakaż to zresztą radość wyciągnąć takiego nieboraka z barłogu ducha, jednocześnie usuwając w cień któregoś z despotów wiedzy i rozumu! Jest to coś jakby wychylenie jednym haustem cudownej, niebiańskiej mieszaniny zaspokojonego miłosierdzia i nasyczonej zawiści. Jest to rozkosz dla wszystkich zmysłów i zadowolenie wszystkich ludzi. Drogi Rożenku, czy sądzisz, że akademicy są nikczemnymi abstynentami, by mogli wyrzec się tak ponętnego napitku?

Zważyć jeszcze należy, że stwarzając sobie ową uczoną rozkosz akademicy idą po linii dobrze zrozumianych interesów własnych. Zespół samych jeno wielkich ludzi, wybranych ekskluzywnie, byłby nieliczny, a przeto smutny. Przy tym wielcy ludzie nie mogą się znosić wzajemnie i nie znają się na dowcipie ni żartach, przeto koniecznym jest pomieszać ich z małymi. To ich bawi ogromnie i nawet cieszy. Mali odnoszą korzyści z kolegowania z wielkimi, a wielcy zyskują na porównaniu, przeto urządzenie tego rodzaju jest prawdziwym dobrodziejstwem dla jednych i drugich. Podziwiać należy ów genialny sposób, w jaki Akademia Francuska udziela jednym ze swych członków geniuszu, wziętego od drugich, którzy go mają zanadto, i w ten sposób stwarza firmament gwiazdzisty, gdzie każde słońce i planeta świeci własną lub odbitą światłością.

Powiem więcej jeszcze. Zły wybór jest to rzecz wprost niezbędną dla samego istnienia tego rodzaju zgromadzenia. Gdyby nie czyniło ono kroków fałszywych i nie przejawiało słabości, czyniąc głupstwa, biorąc czasem pierwszego lepszego autora panegiryku na cześć obrzęku gardła, to zostałoby do tego stopnia znienawidzone, że istnieć by nie mogło. Byłby to w naszej republice piękna i wiedzy rodzaj trybunału sądowego pośród skazańców. Będąc nieomylnym, zgromadzenie to stałoby się strasznym i ohydny. Cóż za wstyd dla nie wybranych, gdyby każdy wybrany był zawsze najlepszym?

Córka Richelieugo musi się po trochu puszczać, dla pokazania, że nie jest zbyt dumna i zarozumiała. Kaprys i słabostki ratują honor Akademii, czyn niewłaściwy stwierdza jej niewinność, a gdy wiemy, że ma swoje chimery, nie czujemy się dotknięci, gdy kogoś odrzuci. Omyłki bywają dla niej tak korzystne, że nasuwa mi się przypuszczenie, iż Akademia czyni je z rozmysłem, mając się tej właśnie genialnej metody oszczędzania miłości własnej kandydatów nie dopuszczonych do jej grona. Wybory tego rodzaju rozbijają zawistnych i właśnie w pozornych błędach podziwiać musimy realną i rzeczywistą mądrość Akademii.

#### XIV. BUNTOWNICY

Pewnego dnia udałem się z drogim mistrzem moim, jak zazwyczaj, w odwiedzinach do księgarni „Pod Obrazem Św. Katarzyny” i zastaliśmy tam słynnego pana Rockstronga. Siedział na samym szczycie drabiny i szperał w książkach z zaciekawieniem niemalym. Wiadomo, iż zgoła nie martwi go burzliwy żywot, jaki wieść musi, że gromadzi cenne książki i piękne rysunki.

<sup>50</sup>*Erigen de stercore pauperem ut collocet eum cum principibus populi sui.* (łac.) — podnosi ubogiego z rynsztoka, aby postawić go pomiędzy pierwszymi w jego narodzie. [przypis edytorski]

Skazany na dożywotne więzienie wyrokiem parlamentu angielskiego za udział w zamachu Monmoutha, uciekł do Francji i żyje tutaj, posyłając do pism angielskich rozliczne artykuły<sup>51</sup>.

Drogi mistrz mój usiadł swoim zwyczajem w fotelu, a potem powiedział, wznosząc oczy pod powagę, gdzie pan Rockstrong skakał i fertał się niby wiewiórka, z żywością nieprawdopodobną w jego wieku:

— Panie buntowniku! Widzę, żeś, dzięki Bogu, zdrow i młody, jak zawsze.

Pan Rockstrong zwrócił na mistrza pałające oczy swe, tkwiące w bladej twarzy, i rzekł:

— Opały klecho, czemuż to zwiesz mnie buntownikiem?

— Zwę cię buntownikiem, chudy panie Rockstrongu, albowiem wywróciłeś koziołka i zrobiliś klapę. Ci, którym się udaje przedsięwzięcie, nie są nigdy buntownikami.

— Księżę, cynizm pański napelnia mnie obrzydzeniem!

— Za pozwoleniem! — zawołał mistrz. — Maksyma owa nie wyszła z mojej głowy, panie Rockstrong. Wyrzekł ją człowiek wielki, znalazłem te słowa w pismach Juliusza Cezara Skaligera.

— To mnie wcale nie wzrusza, księżę! Pisma owe nic widać niewarte, a samo wyrażenie jest haniebne. Niepowodzenie przypisać musimy jeno chwiejności przywódcy, który zapłacił za to głową. Ale sprawa nasza nie przestała być przez to słuszną i sprawiedliwą. Ludzie uczciwi pozostają takimiż, choćby ulegli przemocy łotrów!

— Panie Rockstrong, nie mówże pan, na miłość boską, o ludziach uczciwych i łotrach, gdy idzie o politykę. Te proste pojęcia mogły starczyć dla oznaczenia zwolenników dobra i zła w czasach dawnych, kiedy to walczyli ze sobą aniołowie w niebie, przed stworzeniem świata. Pisał o tym rodak pański Milton, a dzieło jego zaleca się genialnością i odstrasza barbarzyństwem. Ale na tym naszym ziemskim globie obozy nie są nigdy rozdzielone tak dokładnie, by można rozróżnić bez przesądu czy kurtuazji zastępy błogosławionych od hordy potępieńców, a nawet powiedzieć, która strona ma słuszość, a która jej nie posiada. Toteż jedynie powodzenie rozstrzyga o słuszości danej sprawy. Gniewasz się pan, słysząc, że zwę cię rebelizantem, ponieważ zostałeś pokonany, a jednak gdyby powiodło się wam pochwycić władzę, zwalczalibyście sami rebelię.

— Księżę, nie wiesz sam, co mówisz. Zawsze stawałem po stronie zwyciężonych!

— To prawda, panie Rockstrong! Jesteś z natury wrogiem państwa i stale je zwalczasz. Tę zatwardziałość serca powiększa jeszcze pański wybitny talent, tak że lubujesz się w ruinach i igraszką ci jest niweczenie wszystkiego.

— Uważasz to ksiądz za zbrodnię?

— Panie Rockstrong, gdybym był przyjacielem króla i mężem stanu na podobieństwo pana Roman, uznałbym cię za dostojnego zbrodniarza i osadził dożywotnio w honorowym kryminale, zapewniając wszelkie przyjemności życia. Niestety, nie jestem tak gorącym wyznawcą religii politycznego ładu, bym odczuwał święte oburzenie wobec pańskich fortelów i zamachów, które sprawiają więcej hałasu niż zła.

— Księżę, jesteś pozbawiony zmysłu moralnego!

— Nie bierz mi pan tego za złe! Drogi panie, wierzaj mi, że tylko tą ceną można okupić cnotę pobłażliwości.

— Cóż mi z twej pobłażliwości, człowieku pozbawiony reszty cnót, skoro otaczasz nią zarówno mnie, będącego ofiarą, jak i zbrodniczy parlament, który mnie skazał w sposób tak niesprawiedliwy i haniebny?

— Zabawny jesteś, panie Rockstrong, mówiąc o niesprawiedliwości lordów.

— Czyż nie woła o pomstę?

— Prawdą jest, że wyrok na ciebie zapadł na skutek dziecinnie śmiesznego śledztwa lorda kanclerza, a to z powodu pewnej liczby paszkwilów, z których żaden z osobna nie przekracza zasadniczych ustaw państwa angielskiego. Prawdą jest, że w kraju, gdzie wolno pisać wszystko, ukarany zostałeś za kilka ulotnych pisemek, przysolonych w sposób nader smaczny. Prawdą jest również, że wyrok zapadł w formie niezwyklej i nie widzianej dotąd, której majestatyczna obłuda nie mogła ukryć tego faktu, iż na drodze innej, legalnej nie mógłbyś być dosiężony ramieniem władzy. Prawdą jest również, że sądzący

<sup>51</sup>Skazany na dożywotne więzienie [...] żyje tutaj, posyłając do pism angielskich rozliczne artykuły — w rozprawach dotyczących zamachu Monmoutha nie znalazłem żadnej wzmianki o panu Rockstrongu. [przypis autorski]

pana milordowie mieli wielki interes w tym, by cię zgubić, a to z tej prostej przyczyny, że powodzenie zamachu Monmoutha musiałoby nieuchronnie postrzącać ich ze złoconych, miękkich foteli. Nie ulega też kwestii, iż zguba pańska postanowiona była z góry na radzie koronnej. Ucieczka uchroniła pana od męczeństwa niezbyt sławnego co prawda, ale bolesnego bardzo, bowiem dożywotnie więzienie jest to rzecz niemiła wówczas nawet, gdy ludzimy się nadzieją wydostania się na świat.

Ale, drogi panie, w tym wszystkim nie ma ani niesprawiedliwości, ani też sprawiedliwości. Skazano pana przez wzgląd na rację stanu, która to racja jest niezmiernie honorowa. Zważ pan, że pośród lordów, którzy cię potępiłi, było kilku podobnych panu spiskowców sprzed lat dwudziestu. Zbrodni się dopuściliś napędzając strachu ludziom na czele państwa stojącym, a tej zbrodni przebaczyć nie sposób! Ministrowie i przyjaciele ich powołują się zawsze na dobro państwa, ilekroć niebezpieczeństwo zagraża ich majątkom czy stanowisku, a przekonani są o swej niezbędności osobistej dla istnienia tegoż państwa, gdyż są to przeważnie ludzie praktyczni i pozbawieni wykształcenia filozoficznego. Mimo to nie można ich zwać łajdakami. Są to ludzie i miano to starczy dla wytłumaczenia nikczemnej przeciętności, głupoty i zachłanności, której się pan dziwisz bez żadnej racji.

Kogoż to im przeciwstawić chciałeś, drogi panie Rockstrong? Innych ludzi, równie przeciętnych, a pewnie jeszcze chciwszych, bowiem bardziej wyposzczonych. Lud Londynu zgodziłby się na tę zamianę i znosiłby nowych władców, jak znosił dawnych. Czekał jeno zwycięstwa pańskiego lub klęski, by się oświadczyć po stronie wygrywających, i okazał przez to wielką mądrość. Lud czuje doskonale, co ma czynić, zwłaszcza gdy na zmianie władzy nie może nic zyskać ni stracić.

Tak mówił drogi mistrz mój, a pan Rockstrong poczerwieniał, peruka przekrzywiła mu się na głowie, oczy miały gromy. Wymachując rękami, wrzeszczał z wysokości drabiny:

— Księżu, rozumiem wszelkiego rodzaju złodziei, rozumiem szubrawców urzędu kanclerskiego i parlamentu, ale nie rozumiem pana. Bez żadnego interesu, z czystej jeno przewrotności podtrzymujesz tezę, którą tamci stosują dla własnych korzyści. Jesteś tedy od nich gorszy, przewrotniejszy i nikczemniejszy, a pańska bezinteresowność czyni twe zachowanie po prostu ohydny. Pogardzam tobą, księżu!

— To świadczy, iż jestem prawdziwym filozofem! — odparł słodkim głosem drogi mistrz mój. — Mędrzec z natury rzeczy musi budzić niezadowolenie reszty ludzi. Anaksagoras jest wymownym przykładem prawdziwości mego twierdzenia. Nie wspomnę o Sokratesie, gdyż był to jeno prosty sofista. We wszystkich wiekach, jak to widzimy, dusze oddane rozmyślaniam stawały się powodem oburzenia i wywoływały skandale. Panie Rockstrong, wydaje się panu niezawodnie, że różnisz się bardzo od wrogów swoich i że jesteś o tyle miły i pociągający, o ile oni są wstrętni. Pozwól sobie powiedzieć, iż jest to jeno złudzenie i wynik pańskiej zarozumiałości i nieustraszonego męstwa. W rzeczywistości masz wspólne z tymi, którzy cię skazali, słabostki i namiętności ludzkie. Co prawda, jesteś uczciwszy od wielu z nich i prześcigasz ich o wiele bystrością umysłu, natomiast natura wyposażyła pana geniuszem niezgody i nienawiści, które to zalety czynią cię niemożliwym w każdym na zasadach ładu i prawa zorganizowanym państwie. Zawód gazeciarza<sup>52</sup>, w którym celujesz, wydoskonalił do najwyższego stopnia przedziwną stronniczość i zaślepienie pańskiego intelektu, tak że nawet będąc ofiarą, nie stałeś się sprawiedliwym. To, co mówię, poróżni mnie niezawodnie na zawsze z panem, a zarazem także z pańskimi wrogami, i najmocniej przekonany jestem, iż do śmierci nie otrzymam od ministra tłustej prebendy. Ale wolność myśli stawiam ponad najmańsze<sup>53</sup> probostwo i najlepiej w wino uposażone opactwo. Oburzę na siebie cały świat, ale doprowadziwszy ludzi do wściekłości, udelektuję serce swoje i umrę, wśród wrzasków, spokojnie.

— Księżu! — zawołał pan Rockstrong. — Przebaczam ci, albowiem masz po trochu bzika. Nie czynisz różnicy pomiędzy ludźmi uczciwymi a łotrami i nie stawiasz państwa wolnego ponad rządy ciemieżców i despotów. Lunatyk z pana przedziwny i nie widziany dotąd na kuli ziemskiej.

<sup>52</sup>gazeciarz (tu daw.) — dziennikarz. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>maśny a. maśny (gw.) — tłusty; tu: dochodowy, pozwalający na wystawne życie. [przypis edytorski]



— Panie Rockstrong — oświadczył mój drogi mistrz — chodźmy na wino pod „Małego Bachusa” a wyjaśnię panu przy szklance, dlaczego jest mi zgoła obojętną forma rządu i dlaczego nie pragnę zmieniać oprawców.

— Zgoda! — zawołał pan Rockstrong. — Bardzo chętnie popiję z tak przewrotnym rezonerem i nabożnym oczajduszą!

Zeskoczył jednym susem z drabiny i udaliśmy się we trzech do szynku.

## XV. ZAMACH STANU

Pan Rockstrong, posiadający umysł głęboki, nie żywił urazy do mego mistrza za jego pełne szczerości słowa. Gdy nam gospodarz przyniósł dzban wina, znakomity paszkwiliście wzniosł puchar na cześć księdza Coignarda, zwąc go przyjacielem bandytów, posiepakiem tyranii oraz kanalią w sutannie, a toast swój wypowiedział tonem serdecznym, w słowach pełnych jowialności. Mistrz nie pozostał dłużnym i z uprzejmością wielką wzniosł jego zdrowie, dając wyraz podziwu dla umysłu człowieka takiego jak pan Rockstrong, którego nie zdołało przeniknąć do tej pory światło prawdziwego poznania i filozofii.

— Wiem dobrze — ciągnął dalej — że umysł mój przeżarła zupełnie refleksja. Ponieważ zaś nie leży w naturze człowieka skłonność do zagłębiania się w rozmyślanie, przeto przyznaję, iż owo upodobanie moje jest to mania dziwaczna i zgoła nieznośna. Czyni mnie ona całkiem niezdolnym do jakiegokolwiek czynu, albowiem działać można jeno na krótką metę i po linii prostych koncepcji.

Zdumiałbyś się pan, drogi Rockstrongu, gdybyś wiedział, jak biedny i prostacki był umysł wszystkich onych geniuszów czynu, którzy przewrócili świat do góry nogami. Zdobycy i mężowie stanu, którzy zmienili lice świata, nie zastanawiali się nigdy nad właściwą istotą ludzi, których losami kierowali wedle upodobania i bez wszelkich ceremonii. Poprzestawali na doraźnych drobnostkach swych wielkich planów, a najmędrsi nawet ogarniali spojrzeniem niewielką jeno ilość faktów na raz.

Spójrz na mnie, panie Rockstrong, i powiedz, czy byłbym zdolny jąc się dzieła podboju Indii wzorem Aleksandra lub położenia podwalin państwa, czy wreszcie, mówiąc ogólnie, nadaję się do wykonania któregoś z owych szeroko zakreślonych planów, kuszących dumną duszę człowieka czynu. W pierwszych zaraz zaczątkach, przy pierwszym kroku, refleksja spętałaby mi nogi, bo nieustannie dostrzegałbym powody i raczej zatrzymanie się w miejscu.

Zwrócił się do mnie, westchnął i powiedział:

— Myśl to wielkie kalectwo. Niech cię Bóg, drogi Rozenku, ustrzeże od myślenia, jak ustrzegł od tego nieszczęścia największych świętych swoich oraz dusze tych, których przeznaczył do chwały niebieskiej, miłując ich ponad wszystko. Ludzie myślący niewiele lub nie myślący wcale dokonują na tej ziemi szczęśliwie wszystkiego i osiągną szczęśliwość wiekuiącą, gdy tymczasem umysłem kontemplacyjnym zagraża ustawicznie ztrata w doczesności i poza grobem. Taki to jad straszny mieści się w myśleniu. Zważ dobrze, a przejmie cię strach. Zważ, Rozenku, iż wąż z *Genezy*<sup>54</sup> był pierwszym, najstarszym filozofem i do dziś pozostał królem naszym i panem.

Ks. Coignard pociągnął duży haust wina i podjął cichym głosem:

— Na szczęście dla sprawy zbawienia mego istnieje jedna przynajmniej kwestia, na której nie ćwicyłem nigdy mej inteligencji. Nie stosowałem rozumowania do prawd i dogmatów świętej wiary naszej. Nieszczęściem jednak roztrząsałem czyny ludzi, zastanawiałem się nad ich obyczajami oraz organizacją państw i miast, a przeto nie zostanie nigdy uznany za godnego władania wyspą, jak Sanczo Pansa.

— Bardzo się dobrze stało! — powiedział pan Rockstrong ze śmiechem. — Wyspa pańska stałaby się jaskinią bandytów i wisielców, gdzie zbrodniarze ferowaliby wyroki na niewinnych, o ile by się tam w ogóle zaplątał który.

— Być może, panie Rockstrong, być może! — zgodził się ks. Coignard. — Nie wątpię nawet, że gdybym był gubernatorem drugiej jakiejś Baratarii, to obyczaje w moim państwie byłyby mniej więcej takie, jak pan określił. W kilku słowach scharakteryzowałeś pan wszystkie państwa świata i przypuszczam, że moje byłoby im wielce podobne. Nie

Filozof

Państwo

Pogarda

<sup>54</sup>wąż z *Genezy* — Szatan pod postacią węża, który kusił Ewę w Raju, co opisane jest w *Księdze Rodzaju* (Genesis). [przypis edytorski]

ludzę się wcale odnośnie do ludzi i nie chcąc ich nienawidzić, staram się zmusić do samej jeno pogardy. Panie Rockstrong, pogarda moja pełna jest życzliwości, czułości nawet, a mimo to nie czują się oni jakoś wcale do wdzięczności obowiązani. Chcą nienawiści. Złoszczą się, gdy spostrzegają owo uczucie najśodsze, najpobłażliwsze, najlitośniejse, najbardziej urocze i najbardziej ludzkie z wszystkich, to jest pogardę.

A przecież pogarda wzajemna to podwalina pokoju na ziemi i gdyby ludzie pogardzali sobą szczerze, z całego serca, wówczas nie czyniliby sobie wzajem krzywd i żyliby w miłym spokoju. Wszystko zło w społeczeństwach cywilizowanych bierze swój początek w ogromnym szacunku wzajemnym ludzi dla siebie i tu również mieści się geneza honoru, owego poczwarnego bożka, królującego nad padołem nędzy ciała i duszy. To uczucie właśnie czyni ludzi pysznymi i okrutnymi, dlatego nie cierpię pychy, nakazującej cześć dla siebie i narzucającej cześć dla bliźnich, bez względu na oczywisty fakt, że nikt z potomków Adama nie jest godnym czci.

Zwierzę ludzkie, które je, pije (nalejcież mi wina!) i uprawia miłość (gdzież się podziała Kasia?), zasługuje jeno na politowanie i może być ciekawe, a w wyjątkowych wypadkach nawet miłe. Ale cześć mu się żadna nie należy i honor jest to przesąd najgłupszy i najokrutniejszy z wszystkich zabobonów. Tu mieści się właśnie źródło wszystkiego zła, jakie znosić musimy. Jest to najszkaradniejsza forma bałwochwalstwa, toteż chcąc ludziom stworzyć egzystencję trochę bodaj znośniejszą, przede wszystkim należałoby nawrócić ich na drogę pierwotnej skromności. Staną się nierównie szczęśliwsi, gdy przepoją się na nowo uczuciami zgodnymi ze stanowiskiem swym na ziemi i zaczną pogardzać sobą wzajem, nie wyłączając samych siebie z zakresu onej doskonałej, konsekwentnej i bogobojnej pogardy.

Pan Rockstrong wzruszył ramionami.

— Mój gruby księżuniu — powiedział — jesteś skończona świnią!

— Pochlebiasz mi, drogi buntowniku — odrzekł mistrz — jestem jeno człowiekiem i wyczuwam w sobie zaródz owej pychy, której nienawidzę, i onej wyniosłości, pędzącej rodzaj ludzki w pojedynki i wojny. Zdarzają się chwile, panie Rockstrong, w których dałbym szyję za swe poglądy, co jest przecież wielkim szaleństwem. Czyż bowiem zdołam udowodnić, że rozumiem lepiej od pana, który nie władasz zgoła rozumem? Nalejcież mi, u licha, wina!

Pan Rockstrong z całą gotowością napelnił szklankę mego drogiego mistrza.

— Księżuniu — powiedział — jesteś skończonym wariatem, ale lubię cię i rad bym wiedzieć, co uważasz za złe w mej polityce oraz dlaczego stajesz przeciw mnie po stronie tyranów, fałszerzy, złodziei i niegodnych, szalbierczych sędziów.

— Drogi panie Rockstrong — odparł mistrz — pozwól przede wszystkim, że ogarnę nasamprzód ciebie, twych stronników i wrogów z równą, obojętną i łagodną pobłażliwością owym wzmiankowanym powyż uczuciem, które kładzie tamę wszelkim sporom, łagodzi wybujałość temperamentu i daje pokój zupełny. Przebacz, iż nie czczę dostatecznie pierwszych ni drugich, by wzywać ku ich obronie ramienia sprawiedliwości lub też ściągąć na ich głowy męki i kary. Ludzie, cokolwiek by czynili, są zawsze zupełnie niewinni i pozwalam lordowi kanclerzowi z zupełną swobodą wygłaszać swe wzorowane na Cyceronie deklamacje na temat zbrodni przeciw całości państwa. Nie lubię osobistości katylinarnych ni po jednej, ni drugiej stronie. Przykro mi tylko, gdy widzę, iż człowiek pańskiej miary zajmuje się kwestią zmiany formy rządów.

Jest to zajęcie najbłahsze i najbeznadziejniejsze, jakim można nękać swe władze umysłowe, a zwalczanie kierowników rządu jest jeno wówczas rzeczą na serio, jeśli daje chleb albo stanowisko na świecie. Proszę o wino! Zważ pan, drogi Rockstronżku, że owe nagłe zmiany w państwie, jakie ci się marzą, są to jeno zmiany osób, zaś ludzie jako masa nie różnią się niczym zgoła. Równie przeciętni są w dobrym czy złym, toteż jeśli obalisz i zastąpisz innymi ministrów, gubernatorów prowincji, prezydentów izb kryminalnych, generałów itd., nie uczynisz nic innego jak to, że wypędzisz Filipa i Barnabę, a posadzisz na ich miejscu Pawła i Ksawera.

Powiadasz pan, że chcesz równocześnie zmienić warunki bytu ogółu obywateli, taką masz przynajmniej nadzieję. Otóż nadzieja owa złudną jest i bezpodstawną, bowiem warunki bytu nie zależą wcale od ministrów, nic nie znaczących figur, jeno od ziemi i jej wydajności, od produktów roli, przemysłu, handlu, od sumy bogactw nagromadzonych

Honor, Pycha, Kondycja  
ludzka

w państwie, od uzdolnienia obywateli w obrotach finansowych i ich przedsiębiorczości, a wszystko to są rzeczy, złe czy dobre — mniejsza z tym, ale zgoła niezależne od panującego ani urzędników korony.

Pan Rockstrong przerwał nagle.

— To zaślepienie! — zawołał. — Tłusty epikurejczyku, każdy wie przecież, że stan przemysłu i handlu w ogromnej mierze zawisł od rządu i że dobra polityka finansowa możliwa jest jeno w państwie wolnym i demokratycznym!

— Wolność — odrzekł ks. Coignard — jest to wynik bogactwa ludu, który ją zdobywa, skoro stanie się dość potężnym, by sięgnąć po ową wolność. Ludy zdobywają tyle wolności, ile im potrzeba, czyli, mówiąc ściślej, domagają się z całym naciskiem instytucji uznających i gwarantujących prawa, jakie zdobyły na drodze przemysłu.

Cała wolność powstaje z ludu i z jego zachowania się wynika. Najbardziej instynktowny odruch rozszerza gmach państwa, które kształtuje się wedle owego rozprężania się wewnętrznego<sup>55</sup>. Toteż można powiedzieć, że jakkolwiekby odpychającą była tyrania, wszystkie tyranie są konieczne, a rząd despotyczny jest to jeno ciasna powłoka ciała wątlego i nieruchawego. Widzimy stąd, iż zewnątrz rządy przypominają skórę, ujawniającą, jaką jest budowa fizyczna zwierzęcia, żadną jednak miarą nie są przyczyną tejże budowy, jak nie jest nią skóra.

Poprzestajesz na samej skórze, zacny panie Rockstrong, nie interesując się trzewiami, i świadczy to o braku uzdolnienia do filozoficznego myślenia.

— Nie czynisz tedy ksiądz żadnej różnicy pomiędzy państwem wolnym a rządem tyranów, a wszystko jeno dlatego, by się delektować porównaniami? — zawołał Rockstrong. — Nie zwracasz nawet uwagi na to, że wydatki króla oraz zdzierstwo i łupienie kraju przez ministrów mogą przy znacznym napięciu swym zniszczyć zupełnie rolnictwo i zatamować wytwórczość przemysłową?

— Panie Rockstrong — odparł — w jednym i tym samym wieku i jednym kraju możliwa jest jeno jedna forma rządu, podobnie jak jedno zwierzę może mieć tylko jedną skórę i sierść od razu. Trzeba tedy pozostawić czasowi, który jest istotą bardzo rozumną, jak to ktoś powiedział, cały trud zmieniania form rządu i przeistaczania praw i instytucji. Pracuje on powoli, ale z niestrudzoną, cierpliwą wytrwałością.

— Nie sądzisz, drogi tłuszcioszku — spytał pan Rockstrong — że należałoby pomóc owemu staruszkowi, który figuruje na zegarach z kosą w ręku? Mniemasz, że rewolucja angielska i holenderska nie oddziaływały wcale na stosunek ludu do władz? Nie? Jesteś stary cymbał i zasługujesz, by ci nałożył kaftan wariata!

— Rewolucje — odrzekł z zupełnym spokojem drogi mistrz mój — mają jeno na celu zabezpieczenie dóbr uzyskanych, a nie zdobycie nowych korzyści. Szaleństwem narodów i pańskim zarazem, panie Rockstrong, jest budowanie górnołotnych nadziei na upadku królów. Ludy, rewoltując się od czasu do czasu, chcą obronić swe zagrożone swobody, lecz na tej drodze nie uzyskują nigdy swobód nowych. Ale płacą drogę za hasła, za słowa. Należy zwrócić uwagę na to, panie Rockstrong, że ludzie bardzo chętnie dają się zabijać za słowa zgoła sensu pozbawione. Doszedł do tego przekonania sam nawet starożytny Ajaks, któremu poeta wkłada w usta takie powiedzenie: „W młodości sądziłem, że czyn większą moc od słów posiada, teraz jednak widzę, że słowo silniejszym jest od czynu”. Tak rzekł Ajaks, syn Oiledesa, ja zaś, panie Rockstrong, napiłbym się jeszcze chętnie wina!

<sup>55</sup>Najbardziej instynktowny odruch rozszerza gmach państwa, które kształtuje się wedle owego rozprężania się wewnętrznego — w czasach księdza Coignarda Francuzi mniemali, że są już wolni. Imć pan d'Alquié pisał w roku 1670: „Trzy rzeczy czynią człowieka szczęśliwym na tym świecie: łagodne obyczaje i piękne wysłowienie, smaczne jadlo oraz wolność zupełna i doskonała. Skreśliliśmy dwie pierwsze pokrótce, teraz zajmijmy się trzecią, a przekonamy się, że osiągnęliśmy ją w kraju w równym co pierwsze stopniu. Sama już nazwa Francji oznacza swobodę i wolność (*France = franchise = liberté*) i świadczy to, że założyciele państwa naszego, ludzie szlachetni, nie mogli znieść niewolnictwa i ucisku, dając obywatelom taką swobodę, jaka w ogóle jest dostępna człowiekowi. Prócz okazania swych intencji opartych na skłonności wrodzonej Gallom do wolności, ustanowili oni jeszcze prawa ograniczające władzę suwerenną i podtrzymujące ją zarazem. Francja do tego stopnia kocha wolność, że nawet Turek czy Maur, znalazłszy się w naszym kraju, wolnym jest od kajdan. Toteż zdarza się zawsze, że niewolnik przybywający do Francji, gdy tylko dotknie stopą ziemi naszej, zaraz woła radośnie: — Niech żyje Francja i rozkoszna jej wolność!” (*Les délices de France...* przez François Savinien d'Alquié, Amsterdam 1670. Rozdział XVI pt. *Francja, kraj wolności dla każdego człowieka*). [przypis autorski]

Wolność

Organizm, Państwo

Rewolucja

## XVI. HISTORIA

Pan Roman położył na ladzie księgarni pół tuzina tomów i powiedział:

— Proszę bardzo, panie Blaizot, każ mi odnieść do domu te książki: Jest tu *Matka i syn*, *Pamiętniki dworskie* i *Testament Richelieugo*. Proszę także dołączyć, o ile pan ma, nowe dzieła z zakresu historii, w szczególności dotyczące Francji od czasu śmierci Henryka IV. Rzeczy te ciekawią mnie bardzo.

— Zupełna racja! — przyświadczył mój drogi mistrz. — W książkach historycznych znaleźć można mnóstwo drobiazgów i anegdot, mogących być miłą rozrywką dla człowieka rozsądnego, a zarazem nauczyć go wielu rzeczy odnośnie do natury człowieka.

— Szanowny księżu — odparł pan Roman — nie szukam u historyków błahej rozrywki, ale poważnej wiedzy i martwi mnie bardzo to, że często prawda pomieszana bywa tam ze zmyśleniem. Studiuję czyny ludzkie w celu odkrycia praw ich postępowania i doszukuję się w historii zasad rządzenia.

— Wiem o tym, czcigodny panie! — powiedział drogi mistrz mój. — Pański traktat o *Monarchii* jest tak znany, iż tajną mi być nie może pańska zasada polityczna, oparta na historii.

— A więc księżu wiadomo, że to ja pierwszy ułożyłem dla władców i ministrów reguły, od których zboczyć bez narażenia się na niebezpieczeństwo nie mogą?

— Widziałem na tytułowej karcie dzieła pańską postać w przystroju Minerwy. Stoisz pan w pięknym gabinecie, ozdobionym posągami i obrazami i ukazujesz młodzieńczemu władcy lustro, które podaje muza Klio, unosząca się ponad pańską głową.

Racz mi pan przebaczyć, ale muszę wyznać, że muza owa kłamie i podaje ci lustro pokazujące fałszywie. Mało prawdy zawiera historia i wierzymy tylko tym faktom, które czerpiemy z jednego, jedyne źródła. Ile razy spotykamy większą ilość źródeł, spostrzegamy, że historycy notują fakty zgoła sprzeczne ze sobą, i objaw ten jest stały. To nic jeszcze! Widzimy, że Józef Flawiusz, traktując ten sam temat w swych *Starożytnościach* i *Wojnie żydowskiej*, przytacza fakty zupełnie inaczej w każdym dziele. Tytus Liwiusz jest tylko zbieraczem baśni, zaś wyroczenia pańska, Tacyt, robi na mnie wrażenie kłamcy skrytego i obłudnego, który łączy z poważną miną, a potem śmieje się w kułak. Cenię dosyć Tucydyesa, Polibiusza i Guichardina. Nasz Mézeray sam nie wie, co gada, podobnie jak Villaret i ksiądz Vély. Ale basta, czynię zarzuty historykom, gdy tymczasem należy oskarżać samą historię.

Czymże jest historia? Zbiorem powiastek z sensem moralnym na końcu lub też krasomówczą mieszaniną opowiadań i przemówień, zależnie od tego, czy historyk jest filozofem, czy retorem. Można tam odnaleźć piękne ustępy z zakresu elokwencji, ale prawdy szukać nawet nie warto. Prawda polega na ustaleniu przyczynowego związku faktów, a historyk nie jest w możności ustalić go, albowiem nie dostrzega całego łańcuchowania przyczyn i skutków. Proszę, zwróć pan uwagę na to, że ile razy fakt historyczny posiada za przyczynę fakt niehistoryczny, historia nie dostrzega wcale owej przyczyny. Ponieważ zaś fakty historyczne są nierozdzielnie związane z faktami niehistorycznymi, wynika stąd, iż u historyków wydarzenia nie łańcuchują się wcale w sposób naturalny, lecz powiązane są ze sobą jeno retorskimi sztuczkami, rzucającymi się w oczy każdemu.

Musimy wziąć dalej pod rozwagę, że rozróżnienie, które fakty zaliczyć należy do historii, a których nie można, jest zgoła bezzasadne i całkiem dowolne. Wynika stąd, iż historia, nie zasługując zgoła na miano wiedzy, z samej przyrodzonej natury swojej skazana jest na chwiejność kłamstwa i że brak jej będzie zawsze ścisłości i ciągłości faktycznej, bez czego wyobrazić sobie nie można prawdziwej wiedzy.

Sądzę tedy, że przyzna mi pan rację, jeśli powiem, iż nie można z annałów dziejów ludzkich wysnuwać prognostyków dla przyszłości. Otóż właściwością każdej wiedzy jest zdolność prorokowania, jak to widzimy w astronomicznych obliczeniach przypraw, zaćmień czy faz księżyca i planet, które są przepowiedniami współczesnej i dawnej wiedzy, podczas gdy rewolucje i wojny wymykają się spod rachunku.

Pan Roman oświadczył księżu Coignardowi, że domaga się od historii jeno dat polowicznych, półprawd, niejasnych i omglonych faktów, ale wszystko to, mimo iż przepełnione jest błędami, uważa za nader cenne, albowiem przedmiotem owych dociekań jest człowiek i jego ziemskie dzieje.

— Wiem dobrze — powiedział — że roczniki człowieczego rodzaju są pomieszane z bajkami i falsyfikatami. Ale mimo braku logicznego związku przyczyn i skutków odkrywam w dziejach coś w rodzaju ogólnego planu, którego ślad tracę, to znowu odnajduję, zupełnie jak podczas badania architektury starych świątyń, zagrzebanych w piaskach pustyni. Już samo to ma dla mnie wartość nieocenioną, a sądzę i spodziewam się, że historia czasów naszych i późniejszych, zbudowana na obfitszym nieskończenie materiale i traktowana metodycznie, pójdzie co do ścisłości w zawody z wiedzą przyrodniczą.

— Nie licz pan na to! — zawołał mój drogi mistrz. — Tak się nie stanie. Przeciwnie, pewny jestem, że wzrastająca obfitość pamiętników, listów, aktów archiwalnych i kronik uczyni zadanie nierównie trudniejszym jeszcze, wprost niewykonalnym dla historyków przyszłości. Pan Elward, który życie swe poświęcił badaniu rewolucji angielskiej, zapewnia, że życia jednego człowieka nie starczy na przeczytanie połowy tego, co napisano w czasie zamieszek.

Przychodzi mi na myśl opowieść, zasłyszana swego czasu od księdza Blancheta. Powtórzę ją tak, jak mi utkwiała w pamięci, wyrażając żal, iż nie ma pośród nas ks. Blancheta, który by ją opowiedział nierównie lepiej, gdyż posiada wielki dar krasomówczy. Oto ona.

Onego czasu, kiedy młody książę Zemir objął tron perski po zmarłym ojcu swoim, kazał zwołać do swego pałacu wszystkich, powiedzmy, członków Akademii swego królestwa, a gdy się zjawili, tak się do nich ozwał:

— Doktor Zeb, czcigodny nauczyciel mój, pouczył mnie, że władcy popełnialiby mniej omyłek, gdyby chcieli kierować się przykładem czasów minionych. Chcę tedy przeczytać kroniki dziejów ludzkości. Nakazuję wam napisać historię powszechną i nie zaniedbać niczego, co by się przyczynić mogło do jej zrozumienia należytego.

Uczni przyobiecali uczynić zadość rozkazowi króla i zaraz zabrali się do pracy. Po dwudziestu latach zjawili się ponownie; za nimi szła karawana złożona z dwunastu wielbłądów, a każdy dźwigał na grzbiecie pięćset ogromnych tomów. Sekretarz generalny Akademii padł na kolana przed władcą i tak powiedział:

— Panie! Członkowie Akademii królestwa składają u stóp tronu historię powszechną, spisaną wedle rozkazu Waszej Królewskiej Mości. Składa się ona z sześciu tysięcy tomów i zawiera wszystko, co zdołaliśmy zebrać odnośnie do obyczajów różnych ludów i kolei losu, jakim podlegały różne państwa. Włączyliśmy również stare kroniki, zachowane szczęśliwym zbiegiem okoliczności, zaopatrzywszy je obficie w objaśnienia geograficzne, chronologiczne i dyplomatyczne. Same prolegomena stanowią ładunek jednego wielbłąda, a paralipomena dźwiga z wielkim wysiłkiem wielbłąd drugi, dziesięć zaś roślących zwierząt ugina się pod samym dziełem.

Król odrzekł:

— Dziękuję wam, moi panowie, za trud, któryście sobie zadali. Ale jestem bardzo zajęty sprawami państwa i czasu mam niewiele. Przy tym postarzałem się i stoję, jak powiada poeta, pośrodku drogi życia. Choćbym nawet przypuścił, iż dożyję sędziwego wieku, to jednak nie mogę sobie robić nadziei przeczytania tak długiej historii. Każę dzieło wasze złożyć w archiwach państwowych, a was proszę, byście napisali dla mnie streszczenie lepiej dostosowane do krótkotrwałego ludzkiego życia.

Akademicy perscy pracowali znowu przez lat dwadzieścia i przywieźli królowi streszczenie na trzech wielbłądach, liczące tysiąc pięćset tomów.

— Panie! — rzekł sekretarz wieczysty słabym głosem. — Oto nasze nowe dzieło. Zdaje nam się, że nie opuściliśmy niczego ważniejszego.

— Być może — zgodził się król — ale i tego streszczenia czytać nie mogę. Jestem stary, a plany szeroko zakreślone nie przystoją memu wiekowi. Proszę was, skróćcie raz jeszcze, byle prędko!

Spieszyli się tak, że po niespełna dziesięciu latach przyprowadzili młodego słonia, niosącego pięćset tomów na grzbiecie.

— Sądzę, że byłem treściwy! — powiedział sekretarz dożywotni Akademii.

— Za mało, za mało jeszcze streszczałeś się, mój drogi! — zauważył król. — Stoję już u schyłku życia! Skróć to, skróć koniecznie, gdyż chciałbym przed śmiercią poznać historię ludzkiego rodu.

Po pięciu latach zjawił się przed pałacem sekretarz dożywotni. Szedł o kulach, prowadząc za sobą osła z wielką księgą na grzbiecie.

— Spiesz się pan! — zawołał gwardzista. — Król Jegomość kona!

W istocie, król leżał na łożu śmierci. Zwrócił spojrzenie zagasłe już niemal na sekretarza, a potem na ogromną księgę i powiedział z westchnieniem:

— Umrę tedy, nie zaznajomiwszy się z dziejami ludzkimi!

— Panie! — rzekł sekretarz, niemal tak samo jak monarcha osłabły. — Streszczę ci dzieje ludzkości w trzech słowach: rodzili się, cierpieli i umierali!

W ten to sposób król Persji w ostatniej chwili życia zapoznał się z historią ludzkości.

## XVII. PAN NICODÈME

Drogi mistrz mój siedział właśnie na szczycie drabiny w księgarni „Pod Obrazem Św. Katarzyny”, czytając z uczuciem niesłychanej rozkoszy Kasjodora, gdy w sklepie pojawił się nagle starzec o minie obrażonej niewinności i surowym spojrzeniu i zwrócił się do pana Blaizota, uśmiechającego się doń spoza kantorka.

— Panie — powiedział doń — jesteś pan osiadłym i płacącym podatki księgarzem, przeto suponować by można, iż jesteś człowiekiem przyzwoitym. Tymczasem na wystawie pańskiej widzę tom dzieł Ronsarda, otwarty na karcie tytułowej, wyobrażającej nagą kobietę, co takim wstrętem przejmuję, iż nie można po prostu patrzeć na ów bezwstydy ohydny.

— Przepraszam pana najmocniej — odparł łagodnie pan Blaizot. — Tę kartę tytułową rytował Leonard Gautier, uchodzący za bardzo zdolnego artystę w swoim czasie.

— Głupstwo! — obruszył się przybyły. — Nie idzie wcale o to, czy rytownik był artystą, czy nie, faktem jest, iż przedstawił nagą kobietę, która za cały strój posiada jeno włosy. Toteż dotknęło mnie to boleśnie, iż człowiek w pewnych latach, jak pan, rozumny, jak widzę, wystawia na pokaz młodzieży, snującej się po ulicy Św. Jakuba, taki gorszący rysunek.

Powinien byś go pan spalić, idąc za przykładem ojca Garasse'a, który poświęcił majątek na skupywanie i rzucanie w ogień dzieł obrażających obyczajność publiczną i zakon ojców jezuitów. Radziłbym panu szczerze, panie Blaizot, zdjąć to przynajmniej z wystawy i schować w najciemniejszym kątku sklepu, który, jak się obawiam, mieści sporą ilość książek tak pod względem rysunku, jak i tekstu podniecających dusze czytelników do występku przeciw czystości, wszeteczeństwa i porubstwa najgorszego gatunku.

Pan Blaizot zaczerwienił się po uszy i oświadczył, że podejrzenie tego rodzaju jest zgoła nieuzasadnione, a martwi go tym więcej, iż padło z ust człowieka uczciwego.

— Winienem powiedzieć panu, kto jestem! — powiedział przybyły. — Otóż jestem Nicodème, prezydent Ligi Obyczajności Publicznej, a celem mym jest odrodzić wstydlivość i obyczajność wedle regulaminu represji moralno-obyczajowych królewskich władz policyjnych. Współdziała ze mną dwunastu radców parlamentu oraz dwustu wikariuszów największych parafii i staramy się usuwać nagości wystawiane po miejscach publicznych, więc placach, bulwarach, ulicach, uliczkach, skwerach, zaułkach i ogrodach.

Nie poprzestając na wprowadzeniu skromności drogą akcji publicznej, staram się przywrócić ją również w salonach, gabinetach i sypialniach, dokąd niestety nazbyt często nie ma dzisiaj dostępu. Dowiedz się pan, że towarzystwo przeze mnie założone sporządza wyprawy dla młodych mężatek, a w szczególności długie i szerokie koszule, posiadające mały, owalny otwór, który pozwala małżonkowi spełnić przykazanie boże dotyczące wzrostu i rozmnożenia rasy ludzkiej bez obrażania obyczajności i nieskromnego sycenia zmysłów nagością ciała.

Celem otoczenia pewnym, że tak rzekę, wdziękiem owej daleko posuniętej surowości, otwory te posiadają wokół haft zdobny i powabny. W ten sposób, zdaje mi się, osiągnąłem ideał bielizny, który każde młode małżeństwo upodobni do Sary i Tobiasza i oczyści św. sakrament małżeństwa z wyuzdania i sprośności, jakimi splamiony jest niestety w czasach dzisiejszych.

Drogi mistrz mój słuchał przemowy tej z nosem utkwionym w Kasjodorze i nagle z wysokości drabiny zabrał głos, pochwalając w zupełnie poważnych słowach genialny wynalazek imć pana Nicodème. Dodał jednak zaraz, iż przyszedł mu na myśl wynalazek inny, doskonalszy może jeszcze.

— Należy, zdaniem moim, pociągać młodych małżonków przed aktem kopulacji od stóp do głowy pastą czarną i głąncować szczotkami. W ten sposób skóra ich uczyni się podobną do buta, co owionie ponurą żalobą rozkosz zmysłową, podniecaną do tej pory bielą ciała i zaróżowieniem pewnych jego miejsc. Będzie to zarazem ogromną przeszkodą pieszcotom, pocałunkom i niektórym formom wyuzdania, w którym biorą udział usta, a tak często niestety praktykowanym przez kochanków w łożu miłosnym.

Na te słowa pan Nicodème podniósł głowę, zobaczył na szczycie drabiny drogiego mistrza mego, a z miny jego wywnioskował, iż stroi żarty.

— Księżu dobrodzieju! — zawołał ze smutkiem i oburzeniem jednocześnie. — Przebaczyłbym panu, gdybyś mnie samego jeno miał zamiar okryć śmiesznością. Niestety, natrząsas się jednocześnie ze mnie i obyczajności publicznej i poniżasz moralność. Jest to wielka zbrodnia, zaiste. Wbrew tym żarcikom, stowarzyszenie założone przeze mnie dokonało już wielkiego i zbożnego dzieła. Drwij dalej, księżu! Zatknęliśmy dotąd sześćset listków figowych i winogradowych na posągach i figurach królewskich ogrodów.

— Podziwiam! Podziwiam! — odrzekł drogi mistrz mój, poprawiając okulary. — Jeśli tak dalej pójdzie, to figury owe niebawem pokryją się całe liśćmi i gałęziami. Tylko (zważywszy, że przedmioty mają dla nas o tyle jeno znaczenie, o ile budzą pewne idee) pokrywając figury liśćmi figi i winorośli, przenosicie panowie ową cechę sprośności i porubstwa na też właśnie liście. Niedługo, ktokolwiek spojrzy na winnicę lub drzewo figowe, mimo woli przepoi myśl wszetecznymi obrazami, a od myśli do czynu krok tylko jeden, i to niewielki. Dzięki tedy zabiegom pańskiej ligi każda winnica zmienić się może w szaleńczy lupanar *sub jove*. Zaiste, wielka to zbrodnia i diabelstwo wprowadzać w czystą naturę roślin żar ludzkich namiętności.

Nie koniec na tym! Bardzo niebezpieczną jest rzeczą zwracać nieustanną bacność, jak pan to czynisz, na wszystko, co może być źródłem podniety płciowej. Nie liczysz się pan ze skutkami. Strasząc duszę ogółu obywateli sprośnymi obrazami, zwracasz uwagę każdego ze swych zwolenników na to, że przecież sam jest żywym obrazem, wcieleniem owej sprośności i pod suknią własną nosi nagość zupełną. Tego rodzaju nastrój, zapanowawszy pośród ludzi młodych czy nawet starszych, spowodować może wybryki bardzo nieobyczajne, a wolnym od nich będzie chyba jeno rzezaniec, istota, o której pomyśleć bez wstrętu nie sposób.

— Księżu! — zakrzyknął starzec, zaperzony mocno. — Słowa pańskie świadczą, iż jesteś libertyn i rozpustnik wielki!

— Szanowny panie — odparł spokojnie mistrz — jestem katolik tylko, zaś o życiu rozpustnym marzyć nawet nie mogę, zmuszonym będąc pracować na chleb codzienny, wino i tabakę. Mówię szczerze, drogi panie, jedyną orgią, na jaką sobie pozwolić mogę, jest upojenie cichej medytacji, a jedyny bankiet, do którego każdego dnia zasiadam, to sympozjon Muz. Sądzę jednak, jako człowiek mądry i pobożny, iż zła to rzecz chcieć rozumem swym sięgać poza przepisy świętej wiary naszej, która na punkcie skromności jest bardzo wolnomyślną i chętnie stosuje się do zwyczajów, obyczajów, a nawet przesądów poszczególnych ludów i narodowości.

Mam dużo danych do posądzenia pana o skłonność ku kalwinizmowi oraz pewność niemal, iż zaliczasz się pan do zwolenników straszliwej herezji ikonoklastów. Widząc pański fanatyzm, nie wiem, czy nie posuniesz się wraz ze swą hordą do palenia i darcia wyobrażeń Pana naszego oraz jego świętych pod wpływem nienawiści do wszystkiego, co w nich przejawia naturę człowieczą.

Owo gadanie o skromności, obyczajności, przyzwoitości itd., które słyszę ciągle, nie jest oparte o żadne ścisłe pojęcie i żadnej myśli przewodniej nie posiada. Rozstrzygają w tych sprawach same jeno zwyczaje, obyczaje i uczucia danego wieku i narodu, i to stanowi całą ich prawdę. Za jedynych arbitrów w zakresie tych subtelności uznają jeno poetów, artystów oraz piękne kobiety. Cóż za kaduczny, heretycki pomysł oddawać sąd o uroku i rozkoszy w ręce hordy prokuratorów i posiepaków kryminału!

— Ależ, księżu... ależ, panie — błagał pan Nicodème — nie sięgajmy tak wysoko, nie tykajmy Olimpu ani też wyobrażeń Boga i jego świętych. Widzę, że ksiądz zamierzasz wciągnąć mnie w spór fatalny. Jesteśmy ludzie uczciwi, chcemy tylko usunąć sprzed oczu młodzieży naszej wyobrażenia rzeczy nieprzyzwoitych. A wszakże co do znaczenia

tego pojęcia nie ma dwu sprzecznych zdań. Czyż chcesz ksiądz, by młodzież płci obojga, przechodząc ulicą, narażoną była na niebezpieczne pokusy?

— Przekacny Katonie! — powiedział ks. Coignard spokojnym, poważnym tonem. — Pokusa dobrą jest dla człowieka. Jest to zresztą przeznaczeniem prawdziwego chrześcijanina-katolika na tej leż dolinie. Zważ przy tym, że najstraszniejsze pokusy płyną z wnętrza, nie z zewnątrz. Zapewniam pana, że nie uganiałbyś się z taką furią za nagimi kobietami, wyobrażonymi na rysunkach wystaw księgarskich, gdybyś, jak ja, zgłębiał żywoty i dzieła świętych pustelników, żyjących w bezludnych pustyniach, oraz pisma ojców Kościoła. Przekonałbyś się, tropicielu pokus, że anachoreci przebywający w odosobnieniu zupełnym, nie widzący nigdy żadnej nagiej postaci rzeźbionej czy malowanej, znękanymi postaciami i włosienicą, wyczerpani umartwieniami, poranieni od biczów, wijący się na łóżach zasłanych cierniami, doznają straszliwych ukłuczeń żądz zmysłowej, przenikających aż do szpiku kości. Widywali oni w wilgotnych grotach swoich czy szałasach leśnych obrazy tysięcy razy wszeteczniejsze i bardziej wyuzdane zarówno w rysunku, kolorystyce czy ruchu od owej nikłej alegorii w oknie pana Blaizota, która doprowadza pana do szału.

Diabeł (libertyni zwą go również naturą) jest lepszym nierównie malarzem porubstwa od samego Juliusza Romain. Przewyższa wszystkich, zaprawdę, mistrzów Italii czy Flandrii w kompozycji, ruchu i nasyceniu barwnym. Niestety, bezsilnym pan jesteś wobec jego uwodzicielskiej sztuki. Czymże są oburzające pana bazgroty? Wierżaj mi, możesz je pozostawić czulej pieczy policji, a nawet rozsądniej by było poprzestać na jej staraniach około obyczajności, gdyż liczy się ona po trochu z upodobaniami obywateli.

Niewinna naiwność pańska dziwi mnie bardzo! Nie masz, widzę, wyobrażenia o tym, czym jest człowiek, czym społeczeństwo, i nie zdajesz sobie sprawy z wrzenia żądz w zbiorowisku ciał, jakim jest wielkie miasto. Jesteście ludzie naiwni, pan i pańscy zwolennicy, skoro zatopieni w nurcie pożądań nowego Babilonu, gdzie co chwila podnosi się firanka ukazując ramiona i piersi dziewczki publicznej, gdzie po placach i skwerach trą się o siebie z namiętnym pośpiechem ciała zgrzane, rozplomienione, gdy, powiadam, w takich warunkach biegniecie aż do parlamentu królewskiego, żaląc się i lamentując, iż w jakimś sklepiku księgarza wisi w oknie rysunek wyobrażający gołą dziewczynę, albo wyrwanie sobie włosy z głowy, gdy na balu danserka pokaże swemu danserowi łydkę, będącą dlań rzeczą najwycyzajniejszą, na którą patrzy codziennie bez najmniejszego wrażenia, gdyż widywał rzeczy inne.

Tak przemawiał drogi mistrz mój siedząc, niby bocian na dachu, na szczycie drabiny księgarza, zaś pan Nicodeme zatykał sobie uszy i wymyślał mu od cyników.

— O Boże! — lamentował starzec. — Cóż to za okropność patrzeć na gołe dziewczki! Cóż za wstyd słuchać sofisterei takiego księdza, wchodzącego w pakty ze zgorzeniem publicznym i niemoralnością, która podkopyje byt każdego narodu i powoduje jego ruinę! Wszakże państwa stoją jeno czystością obyczajów obywateli!

— To prawda! — zgodził się drogi mistrz mój. — Siła ludów polega na ich obyczajności, ale pojęcie to ujmujesz pan zbyt ciasno. Odnosi się ono do całokształtu zasad, uczuć i namiętności oraz pewnego obowiązującego wszystkich, a dobrowolnego posłuszeństwa prawom i instytucjom, nie zaś drobiazgów czy obrazków, co pana wtrąca w otchłań rozpacz. Pamiętaj pan, że gdy skromność zatracą urok ponęty zmysłowej, staje się głupotą i śmiesznością. Ponura tedy czystość pańskiego świątobliwego oburzenia jest w wysokim stopniu komiczna, a nawet, powtarzam raz jeszcze, mocno nieprzyzwoita i w skutkach wprost niemoralna.

Tak zakończył, ale pana Nicodeme dawno już nie było w księgarni.

## XVIII. SPRAWIEDLIWOŚĆ

Ksiądz Hieronim Coignard, zasługujący w pełni na to, by go wdzięczna republika żywiła na koszt państwa, zarabiał na życie pisaniem pokojówkom listów w nędznej speluncie tuż przy dawnym cmentarzu Św. Innocentego. Pewnego razu przydarzyło mu się służyć za sekretarza pewnej damie portugalskiej, podróżującej po Francji wraz z małym służącym, Murzynkiem. Zapłaciła liarda za list do męża, zaś dukata sześcioliwrowego za list do ko-



chanka. Była to pierwsza złota moneta, jaka zabłądziła od Świętego Jana<sup>56</sup> do kieszeni mego drogiego mistrza.

Z natury hojny i wspaniałomyślny, zaprosił mnie zaraz do garkuchni „Pod Złotym Jabłkiem” przy Quai de Grève, niedaleko ratusza, gdzie podawano wysmienite kielbaski i niefałszowane wino. Schodzili się tam bogaci kupcy po ukończeniu na targu du Mail obrotów handlowych, a więc około południa. Była właśnie wiosna, ciepło i przyjemnie. Drogi mistrz kazał nakryć stół na werandzie, tak że spożywając dary Boże przysłuchiwałem się jednocześnie pluskowi wiosł łodzi i galarów, sunących po rzece. Ogarnęło nas uczucie swobody, radzi byliśmy z życia i z tego, iż siedzieć możemy w słońcu, przy zastawionym stole. Zajadaliśmy właśnie ze smakiem smażone kielbiki<sup>57</sup>, gdy nagle doleciał nas tętent kopyt końskich, szcęk oręża i turkot wozu. Odgłosy te zwróciły naszą uwagę.

Domyślając się, że jesteśmy zaciekawieni przyczyną owego łomotu, zwrócił się ku nam jakiś staruszek czarno ubrany, biesiadujący przy stoliku sąsiednim, i rzekł uprzejmym tonem:

— To nic wielkiego, proszę panów, wiozą tylko pod szubienicę pewną służącą, która skradła swej pani żabot koronkowy.

W chwili gdy mówił, ujrzelśmy rzeczywiście przystojną dziewczynę, siedzącą na niewielkim wózku, otoczonym konnymi policjantami. Zdawała się zdziwioną niesłychanie. Ręce miała skrępowane na plecach, przez co jędrne, wydatne piersi wystąpiły naprzód. Jezdni i wózek znikli po małej chwili na zakręcie, ale nie zapomnę chyba nigdy tej bladej jak ściana twarzy i spojrzenia wytrzeszczonych oczu, nie rozróżniających już niczego wokół.

— Tak — powiedział czarny staruszek — to pokojówka pani radczyni Josse. Chcąc zachwycić swego kochanka na zabawie u Ramponneau, skradła swej pani żabot z prawdziwych koronek alonsońskich, a popełniwszy tę zbrodnię, uciekła. Schwytano ją w mieszkaniu kochanka, przy Pont-au-Change, i przyznała się niezwłocznie. Dlategoż poddano ją torturom najwyżej jedno- lub dwugodzinnym. Mówię prawdę, szanowni panowie, albowiem jestem woźnym departamentu sądowego parlamentu, gdzie rozpatrywano tę sprawę.

Czarny starowina nadkroił z lubością kielbaskę i jadł żywo, by nie ostygła. Połknąwszy ostatni kąsek, podjął na nowo:

— W tej chwili lotrzyca ta stoi zapewne u szczytu drabiny, a za jakichś pięć minut mniej więcej wyda ostatnie tchnienie. Różni zdarzają się wisielcy. Jedni umierają spokojnie natychmiast po założeniu stryczka na szyję. Ale inni sprawiają dużo ambarasu katowi. Żyją bardzo długo, co stwierdziłem na własne oczy, żyją, że tak rzekę, do późnej starości, wyrabiając awantury niesłychane i szarpiąc się zajadle. Najwścieklejszym szelmą spośród wszystkich wisielców, jakich mi się oglądać przydarzyło, był pewien ksiądz, skazany na śmierć w zeszłym roku za to, iż podrabiał podpis królewski na biletach loteryjnych. Żył przez jakichś dwadzieścia minut i tańczył na sznurze niby karp na patelni.

He he — zaśmiał się urągliwie czarny człowieczek. — Ten księżulek był nader skromny i nie sięgał po honor biskupa polowego, stojącego wśród gradu kul. Widziałem, jak płakał, gdy go zdjęto z wózka. Płakał i lamentował, tak że kat musiał zwrócić mu uwagę, by nie beczał jak małe dziecko na widok ciemnego pokoju. Co najciekawsze, to to, że kat wziął go zrazu za kapelana i spowiednika drugiego skazańca, który miał być jednocześnie powieszony, a profos niemało się nabiedził, nim zdołał przekonać wykonawcę wyroku o pomyłce. Prawda, że to zabawne, szanowni panowie?

— Nie! — powiedział mój drogi mistrz upuszczając na talerz rybkę, którą przez chwilę trzymał na widelcu tuż przy ustach. — Nie bawi mnie to wcale! Przeciwnie, myśl, że biedna dziewczyna wydaje może właśnie ostatnie tchnienie, odebrała mi cały apetyt, obrzydziła te wysmienite kielbiki, piękny, słoneczny dzień i wszystko, co mnie radowało przed chwilą.

<sup>56</sup>od Świętego Jana — tj. od dnia św. Jana; najbardziej popularny dzień św. Jana przypada 24 czerwca. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>kielbik (zdr.), kielb — ryba słodkowodna z rodziny karpowatych. [przypis edytorski]

— Ksiądz dobrodziej, widzę, bardzo drażliwy na tym punkcie! — zauważył czarny staruszek. — Pewnie by też Wasza Wielebność nie mógł patrzeć na to, co widział na własne oczy ojciec mój w dziecięcych swych latach w Dijon, skąd pochodził.

— Zapewne... zapewne! — powiedział mój mistrz przezacny.

— W takim razie pozwolę sobie powtórzyć opowiadanie ojca mego, które słyszałem nieskończoną ilość razy. Jest niezmiernie interesujące.

Napił się wina, otarł usta różkiem serwety i opowiedział poniż przytoczoną historię.

## XIX. OPOWIEŚĆ WOŹNEGO

W październiku roku Pańskiego 1624 żyła w Bourgen-Bresse, w domu swych rodziców, dwudziestodwuletnia Helena Gillet, córka kasztelana królewskiego, mająca kilku braci jeszcze w chłopięcym wieku. Owa Helena Gillet zaszła w ciążę i oznaki te stały się rychło tak widocznymi, że przestały się z nią zadawać córki właściciela zamku i wszystkie inne panny w mieście. Za czas jakiś zauważono, że Helena stała się na nowo szczupłą jak przedtem i posypały się najrozmaitsze przypuszczenia i plotki. Doszło do tego, iż sędzia kryminalny powziął podejrzenie i kazał zbadać sprawę fachowo. Położne stwierdziły, iż rozwiązanie nastąpiło przed dwoma tygodniami, a Helena Gillet zamknięta została do więzienia i przesłuchana przez trybunał przydialny. Wówczas to złożyła następujące zeznanie:

„Przez kilka miesięcy uczęszczał do domu rodziców moich pewien młodzieniec z sąsiedztwa w celu nauczania młodszych mych braci pisania i czytania. Miał ze mną jeden raz tylko stosunek. Pozyskał sobie służącą, która zamknęła mnie razem z nim w pokoju, i tam mnie zgwałcił”.

Sędzia spytał, czemu nie wzywała ratunku, a dziewczyna odrzekła, że tak była zaskoczona i zdziwiona, iż głos jej uwiązł w gardle. Pod naporem pytań dodała, że skutkiem tego zgwałcenia zaszła w ciążę i poroniła przed czasem. Zaręczała, że nie tylko nie przyczyniła się do spędzenia płodu, ale nawet nie wiedziała, co to wszystko znaczy, i dopiero służąca musiała ją uświadamiać.

Nie zaspokojeni jej zeznaniem prawnicy nie wiedzieli, co począć z całą sprawą, gdy nagle niespodzianie zgoła świadectwo dostarczyło oskarżeniu dowodów niezbitych. Pewien żołnierz, przechadzając się wzdłuż ogrodzenia parku imć pana Piotra Gillet, kasztelana królewskiego, a ojca oskarżonej, zobaczył w rowie, pod murem, kruka szarpiącego dziobem kawałek bielizny. Zbliżył się chcąc zobaczyć, co to takiego; znalazł martwego noworodka i niezwłocznie doniósł władzom o swym odkryciu.

Dziecko zawinięte było w koszulę znaczoną na kołnierzu literami H. G. Stwierdzono, że było donoszone, a Helena Gillet, po udowodnieniu jej dzieciobójstwa, została wedle zwyczaju i przepisów ustawy skazana na karę śmierci. Z uwagi na wysoki urząd królewski piastowany przez ojca, dopuszczono ją do korzystania z przywileju przysługującego szlachcie i wyrok brzmiał, jako że ma zostać ściętą toporem.

Ponieważ od wyroku wniesiona została apelacja do parlamentu w Dijon, przeto odstawiono ją do stolicy Burgundii pod eskortą dwu łuczników i osadzono w więzieniu pałacowym. Towarzysząca skazanej matka zamieszkała w klasztorze panien bernardynek. Sprawa została zbadana przez członków parlamentu na ostatniej audiencji, dnia 12 maja, przed samymi Zielonymi Świątami. Sędziowie po wysłuchaniu sprawozdania prokuratora Jacob zatwierdzili wyrok trybunału przydialnego w Bourg, zarządzając, by skazana zaprowadzoną została na miejsce stracenia ze stryczkiem na szyi.

Publiczność szemrała po trochu, gdyż owo hańbiące obostrzenie stało w sprzeczności z honorowym rodzajem śmierci, przyznanej zbrodniarce. Uznano ogólnie surowość ową za niezgodną z formami zwyczajowymi i za zbyt daleko posuniętą. Ale wyrok nie podlegał dalszej apelacji i musiano go wykonać niezwłocznie.

Tęgo samego jeszcze dnia o pół do czwartej z południa Helena Gillet została zaprowadzona na szafot przy dźwięku dzwonów, a przed orszakiem jechali trębacze i dęli z taką mocą w surmy, iż mieszkańcy, słysząc po domach swych owe wrzaski, padali na kolana i zanosili do Boga modły za duszę tej, która za chwilę umrzeć miała. Za trębaczami jechał konno zastępca prokuratora królewskiego w otoczeniu służby. Za nim jechała na czarnym wózku skazana, ze stryczkiem na szyi, jak chciał wyrok parlamentu. Towarzyszyło jej dwu

ojców jezuitów i dwu ojców kapucynów, pocieszając ją i pokazując Chrystusa umierającego na krzyżu. W pobliżu znajdował się kat z toporem i jego żona z nożyczkami. Oddział łuczników otaczał wózek skazanej, a z tyłu cisnął się, kto mógł, i wielki hałas czynił ten tłum, złożony z drobnomieszczan, piekarzy, rzeźników i mularzy oraz hord dzieci obojga płci.

Orszak zatrzymał się na placu, zwanym Morimont<sup>58</sup>, nie dlatego jednak, że tutaj odbywały się egzekucje zbrodniarzy, ale z powodu, że stał tu dawnymi czasy pałac dostojnika Kościoła tegoż nazwiska, posiadającego brylantowy krzyż i mitrę książęcą. Szafot z belek zbudowany był na kamiennych schodach, przytykających do małej kapliczki, gdzie zazwyczaj zakonnicy odprawiali modły za duszę skazańca.

Helena Gillet wstąpiła na szafot po schodach w towarzystwie czterech zakonników, kata i jego żony, kacicy, która, zdjawszy ze szyi skazanej stryczek, obcięła jej włosy nożyczkami na dwie stopy co najmniej długimi, a potem jej zawiązała oczy. Zakonnicy zaczęli odmawiać modlitwy. Kata jednak ogarnęła nagle drżączka i pobladł jak ściana. Zwał się Szymon Długijaś, a mimo to wzrost miał niewielki i był o tyle trwożliwy i łagodny, o ile żona jego, kacica, wydawała się dzika i zajadła. Tegoż ranka przyjął w kaplicy więziennej komunie świętą, a mimo to był zmieszany i nie miał odwagi uśmiercić młodej dziewczyny.

— Przebaczenie mi wszyscy — rzekł zwracając się do tłumu — jeśli źle dokonam tego, co jest moim obowiązkiem. Od trzech miesięcy trzęsie mnie febra i trapi gorączka na przemian!

Potem, ślaniając się na nogach, załamując ręce i wznosząc w niebo oczy, upadł na kolana przed Heleną Gillet, błagając ją dwukrotnie o przebaczenie. Poprosił jeszcze o błogosławieństwo zakonników i gdy kacica ulokowała głowę delikwentki na pniaku, podniósł topór w górę.

— Jezus! Maria! — krzyknęli zakonnicy, a ciężkie westchnienie wyrwało się z piersi tłumu. Ale cios, mający przeciąć kark skazanej, zwinął się w uderzeniu i rozciął jej głęboko lewe ramię, a nieszczęsna dziewczyna upadła na prawy bok.

Szymon Długijaś zwrócił się do tłumu i powiedział:

— Zabijcie raczej mnie!

Podniosły się wrzaski i padło kilka kamieni na szafot, gdzie kacica umieszczała głowę skazanej ponownie na pieńku.

Mąż podniósł znowu topór i za drugim ciosem nadraubał dość głęboko kark skazanej, ale puścił topór, a dziewczyna upadła nań z jękiem.

Ryk nieludzki podniósł się z piersi tłumu, grad kamieni posypał się na szafot, a Szymon, dwaj jezuita i dwaj kapucyni skoczyli na dół i, co prędzej ukrywając się w kapliczce, zamknęli się w niej szczelnie. Kacica, pozostała sama z ofiarą na szafocie, zaczęła szukać topora. Nie znalazła go jednak, gdyż leżał pod Heleną, chwyciła stryczek, zawiązała w pętlę, zarzuciła go jej na szyję i zaczęła dusić co siłą, opierając się stopami o jej piersi. Ale Helena chwyciła również oburącz stryczek i, zalana krwią, broniła się rozpacznie. Wówczas kacica ściągnęła ją z szafotu głową na dół po schodach, porwała nożyce i ją przecinać jej krtań.

Pracowała z wysiłkiem, ale za chwilę rzeźnicy i mularze, poprzewracawszy na ziemię pacholców i łuczników, zamknęli dostęp do szafotu i kapliczki. Kilkanaście silnych ramion podjęło Helenę Gillet, i zaniesioną została do sklepu mistrza Jacquin, chirurga i bandażysty.

Tłum napierający na drzwi kapliczki byłby je wyłamał na pewne<sup>59</sup>, ale zakonnicy, bojąc się skutków, otwarli je sami i, trzymając przed sobą wzniesione w górę krzyże, utorowali sobie z trudem drogę przez wzburzone fale ludu.

Kat i żona jego legli trupem pod kamieniami i pałkami, a ciała ich wleczono w triumfie po ulicach. Tymczasem Helena Gillet odzyskała przytomność w sklepie chirurga i zażądała wody. Potem podczas bandażowania spytała:

— Jak to, tylko tyle mam ran?

Okazało się, że otrzymała jeszcze dwa pchnięcia szpadą w brzuch, sześć głębokich sztychów nożyczkami w piersi, usta i gardło, że biodra pokaleczyło ostrze topora, z którym

<sup>58</sup>*Morimont* (fr.) — dosłownie: „Góra śmierci”. [przypis tłumacza]

<sup>59</sup>*na pewne* — dziś: na pewno. [przypis edytorski]

kacica wlokła ją po ziemi, chcąc zadusić, i że wreszcie całe ciało pokryte było tłuczonymi ranami od kamieni, którymi tłum zasypał szafot.

Przyszła jednak do zdrowia i rany pogoiły się. Przez czas długi mieszkała u chirurga pod strażą jednego z woźnych i ciągle pytała:

— Czy to jeszcze nie koniec? Czy mam umierać drugi raz?

Chirurg i litościwe osoby, mające o niej staranie, pocieszali ją, jak mogli, ale sam jeno król mógł jej darować życie. Adwokat Favret napisał prośbę, wyjednał podpisy notablów diżońskich i złożył ją u stóp tronu. W tym właśnie czasie odbywały się huczne zabawy na dworze z racji małżeństwa Henryki Marii Francuskiej z królem Anglii. Z tego to powodu Ludwik Sprawiedliwy przychylił się do prośby i darował karę w zupełności, będąc, jak powiada akt łaski, tego zdania, że odcierpiała ona już karę równą, a nawet przewyższającą karę śmierci.

Helena Gillet odzyskawszy zdrowie ukryła się w klasztorze w la Bresse i pędziła do śmierci żywot nabożny i bogobojny.

Taką jest — zakończył mały staruszek — historia Heleny Gillet, dotąd każdemu znana w Dijon. Czyż nie jest ona, zdaniem Waszej Wielebności, zajmująca i ucieszna?

## XX. SPRAWIEDLIWOŚĆ (CIAĞ DALSZY)

— Niestety — westchnął drogi mistrz mój — nie zdołam przelknąć jednego kęsa i całe śniadanie się zmarnuje! Serce mi się ścisnęło wobec tych ohydnych scen, któreś nam skreślił, szanowny panie woźny, w tak układnych wyrazach, a zarazem zejść mi z oczu nie może ta nieszczęsna pokojówka pani radczyni Josse, którą powieszono, mogąc z nią uczynić coś nierównie lepszego.

— Jak to? — zdziwił się woźny. — Wszakże wspominałem Waszej Wielebności, że dziewczyna ta okradła swą panią! Czyżby więc nie należało, zdaniem księdza dobrodzieja, wieszać złodziei?

— Prawda, że taki już zwyczaj! — westchnął mistrz. — Ponieważ zaś siła nawyku jest niezmożona, przeto nie liczę się z nią w codziennym toku rozumowania. Małą wrażliwością na te rzeczy odznaczał się nawet sam filozof Seneka, z natury skłonny do łagodności, i układał pełne powabu i wykwintu traktaty, podczas gdy w jego oczach w Rzymie krzyżowano niewolników za drobne przewiny, jak mamy przykład na niewolniku Mitrydatesie, który zmarł przybity do krzyża za to jeno, iż śmiał podawać w wątpliwość boskie dostojęństwo pana swego, nikczemnego Trymalchiona.

Jest to już widać cechą ludzkiego umysłu, iż to, co zalicza się do rzeczy zwyczajnych i codziennych, nie rani go ni oburza. Nawyk zużywa, że się tak wyrażę, zarówno nasze oburzenie, jak i zachwyty. Budzę się co rana, nie myśląc wcale, przyznając to, o tych nieszczęsnych, których powieszają lub połamają kołem w ciągu dnia. Kiedy jednak wyobrażenie męki uczyniło mnie wrażliwszym, serce mi się ścisnęło, i na widok owej ponętnej dziewczki wiedzionej na śmierć ścisnęło mi się gardło tak, że nie przejdzie przez nie nawet ta mała rybka.

— Mniejsza o jedną ładną dziewczkę. Nie ma ulicy w Paryżu, by co noc nie fabrykowano tuzinami nowych, piękniejszych jeszcze. Któż jej kazał okradać swą panią, radczynię Josse?

— Nie wiem tego — odrzekł mistrz — i pan tego nie wiesz, a sędziowie, którzy ją skazali, również nic nie wiedzą, albowiem nie znane są człowiekowi istotne motywy czynów ludzkich. Są to sprawy niepojęte, a sprężyny poruszające nimi głęboko tkwią ukryte. Uznając wolność czynów człowieka i jego odpowiedzialność za nie, albowiem tak mi wierzyć każe nasza święta rzymskokatolicka religia i Kościół, matka nasza. Ale poza nauką wiary tak mam mało danych na dowód, że człowiek jest panem swych czynów, iż drzę, ile razy posłyszę o wyroku sądowym, karzącym czyny, których punkt wyjścia, konsekwencje i przyczyny wymykają nam się zupełnie, zaś wola ma często mały w nich udział, bo przeważna ich ilość dzieje się bez żadnej świadomości.

W zasadzie jesteśmy odpowiedzialni za postęпки nasze, albowiem święta religia nasza wychodzi z założenia mistycznej jedności wolności człowieka i łaski Bożej. Ale za nadużycie tego dogmatu uważać muszę, jeśli opierając się na tej subtelnej i trudnej do ujęcia koncepcji sprawiedliwość ludzka szafuje na prawo i lewo udreńką, torturą i różnymi okropnościami, jakich pełne są kodeksy nasze.

— Z wielkim smutkiem spostrzegam — powiedział czarny człowieczek — że Wasza Wielbność zaliczasz się do zwolenników szalbierzy, a tym samym wrogów państwa!

— Niestety i oni, drogi panie — odparł mistrz — zaliczają się również do cierpiącej i walczącej ludzkości i mają, jak my, udział w świętym dziele odkupienia Pana naszego Jezusa Chrystusa, który umarł pośrodku dwu łotrów. Dostrzegam w ustawodawstwie naszym okrucieństwa, które ocenić potrafią dopiero pokolenia przyszłe, a napelnia je one, rękę za to, oburzeniem wielkim.

— Nie rozumiem zgoła, co ma na myśli Wasza Wielbność! — oświadczył woźny, pociągnawszy wina ze szklanki. — Wszakże wszystkie okrucieństwa czasów dawnych zostały usunięte zupełnie z ustaw naszych i obyczajów, a dzisiejsze prawodawstwo odznacza się łagodnością i ludzkością wprost niesłychaną.

Kary są jak najściślej przystosowane do przestępstw i tak widzimy, że złodziei wieszają, morderców łamie kołem, winnych obrazy majestatu rozdziera końmi, ateuszów, czarowników i sodomitów pali się na stosie, zaś fałszerzy pieniędzy gotuje. Czyż to nie wystarczy, by udowodnić, że praktyka kryminalistyczna odznacza się niezmiernym umiarkowaniem i łagodnością, posuniętą do granic możliwości?

— Drogi panie — zauważył ks. Coignard — wiem z ksiązek, iż sędziowie każdego stulecia uważali się zawsze za zgodliwych, łagodnych i pobłażliwych. W wiekach średnich, za czasów św. Ludwika, a nawet Karola Wielkiego, zachwycali się swą wyrozumiałością, która się nam dzisiaj wydaje dzikością, toteż pewny jestem, że synowie czy wnukowie nasi osądzą, iż należy to i owo zmienić i usunąć w zakresie tortur i kar przez nas stosowanych.

— Wasza Wielbność nie liczy się z koniecznościami urzędowymi! — oświadczył stanowczo staruszek. — Tortura jest niezbędną dla wydobycia zeznania, którego by po dobroci nigdy uzyskać się nie dało, zaś kary są zredukowane do granic takich, jakie są potrzebne dla zabezpieczenia życia i spokoju obywateli.

— Zgadzasz się pan więc — odrzekł mistrz — że sprawiedliwość sądowa nie ma na celu samej sprawiedliwości, ale kieruje się względami praktycznymi i zasadniczo opiera się na interesach i przesądach narodów. W istocie jest to prawda zupełna, toteż występki karane są nie w stosunku do zawartego w nich zła i przewrotności, ale proporcjonalnie do szkód, jakie przynoszą społeczeństwu lub jakie by przynieść mogły. Dlatego fałszerzy monet wrzuca się do kotła z wrzącą wodą, mimo że bicie dukatów nie jest to żadna przewrotność, ale jeno finansisci i ogół obywateli ponoszą przeto dotkliwą stratę w dochodach. Za tę więc stratę mszczą się w sposób okrutny i niemilosierny. Wieszamy złodziei nie dlatego, by wielka niemoralność mieściła się w zabraniu drugiemu kawałka chleba czy żabotu, gdyż w gruncie złośliwość ta jest małą, ale dlatego, że ludzie są chciwi dóbr ziemskich i przywiązują wielką wagę do dóbr raz pozyskanych. Trzeba tedy uznać za prawdziwe źródło sprawiedliwości ludzkiej interes materialny obywateli i odjąć mu tę całą, rzekomo wzniosłą filozofię, w którą się drapuje z wielkim namaszczeniem, a większą jeszcze obłudą.

— Księżę dobrodzieju — ozwał się po chwili czarny człowieczek — nie rozumiem tego, com usłyszał. Zdaje mi się, że sprawiedliwość jest o tyle lepsza, o ile jest użyteczniejsza, a ta właśnie użyteczność, którą ksiądz zdaje się pogardzać, powinna ją w oczach pańskich uczynić tym dostojniejszą i świętszą.

— Nie rozumiemy się tedy wcale! — oświadczył drogi mistrz mój.

— Wasza Wielbność — powiedział woźny. — Widzę za to, że wino stoi nietknięte, a musi ono być dobre, sądząc po kolorze. Czy mógłbym skosztować?

Po raz może pierwszy w życiu drogi mistrz mój zapomniał o trunku w napoczętej ledwo fłaszce. Napenił z całą gotowością szklankę woźnego, a staruszek powiedział, skosztowawszy ostrożnie:

— Za zdrowie Waszej Wielbności. Wino pańskie dobre jest, ale rozumowanie nic warte. Powtarzam, sprawiedliwość ustaw jest tym słuszniejsza, im jest pożyteczniejsza, a owa użyteczność, będąca pańskim zdaniem jej źródłem, powinna przekonać tym bardziej o jej zaletach. Ale musimy zgodzić się jeszcze i na to, że sama istota wymiaru sprawiedliwości jest sprawiedliwa, tak jak to oznacza jego nazwa.

— Szanowny panie — zawołał ksiądz — jeśli powiemy, że piękność jest piękna, prawda prawdziwa, a sprawiedliwość sprawiedliwa, to nie wyjaśnimy tym niczego i lepiej było wcale nie gadać. Wasz Ulpianus, używający ścisłych określeń, napisał, że sprawie-

Kara, Okrucieństwo,  
Sprawiedliwość

Sprawiedliwość

dliwość jest to zdecydowana i wiecznotrwała wola przyznawania każdemu tego, co mu się należy, zaś ustawy są wówczas sprawiedliwe, kiedy sankcjonują tę wolę. Cała tylko bieda w tym, że ludziom z natury samej nic się nie należy, a skutkiem tego sprawiedliwe ustawy zabezpieczać im mogą tylko łupy rabunku, odziedziczone lub własne. Są w tym bardzo podobne do owych umów pomiędzy dziećmi grającymi w szlance<sup>60</sup> kulki. Gdy jedna strona wygra, a druga chce odzyskać na powrót kulki, pierwsza powiada: „My już nie chcemy dalej grać!”

Gra

Cała mądrość sędziów polega na wyróżnieniu rabunków, które nie wchodzą w grę, od tych, co do których przy zawarciu partii nastąpiła umowa, a rozróżnianie owo jest jednocześnie bardzo misterne i dziecinne. W każdym zaś razie jest bardzo dowolne.

Dziewczyna, która wisi w tej chwili na szubienicy, jak pan powiadasz, skradła pani radczyni Josse własność jej, żabot koronkowy. Na czym jednak opierasz pan twierdzenie, że ów żabot był własnością pani radczyni Josse? Powiesz pan, że kupiła go za pieniądze albo dostała od rodziców z wyprawą, albo otrzymała od swego kochanka. W ten mniej więcej sposób przychodzi się do koronkowych żabotów. Ale bez względu na sposoby, zawsze posiadała go ona jako jedno z tych dóbr, które pozyskuje się przypadkiem i znowu przypadkiem traci, gdyż do posiadania tego nie miała i mieć nie mogła praw przyrodzonych.

Własność, Kradzież

Zresztą przyznając nawet, że żabot był jej własnością stosownie do reguł owej zabawy w posiadanie, które uprawiają ludzie uspołecznieni, niby biedni ulicznicy, co grają w guziki. Upodobała sobie w tym żabocie i ostatecznie prawa jej do niego nie były zgoła mniejsze od praw innych współgrających. Zgoda. Sprawiedliwość winna była tedy oddać jej żabot, i koniec. Ale z jakiegoż powodu sprawiedliwość owa oceniła kawałek szmatki sfabrykowanej w Alençon tak wysoko, by żądać w zamian życia istoty ludzkiej?

— Księżę dobrodzieju! — zawołał żywo staruszek. — Patrzysz pan na sprawiedliwość pod jednym jeno kątem. Nie dość jest wymierzyć ją samej tylko pani radczyni Josse, oddając jej żabot. Koniecznym jest wymierzyć równą sprawiedliwość pokojówce, wieszając ją za szyję na konopnej lince. Sprawiedliwość polega na wymierzeniu każdemu tego, co mu się należy. I to właśnie czyni ją dostojną i świętą.

— Doprawdy, nie wiedziałem dotąd jeszcze, że sprawiedliwość jest tak przeraźnie ohydna! — zawołał drogi mój mistrz. — Ta koncepcja, iż spłaca ona dług kary skazanemu, nie ma sobie równej co do dzikości i szatańskiej przewrotności. Nie ma w niej tedy zgoła nic prócz średniowiecznej, zwierzęcej, barbarzyńskiej zemsty silniejszego nad słabszym.

— Księżę dobrodzieju — sprzeciwił się woźny — nie znasz tedy sprawiedliwości. Wymierza ona ciosy bez gniewu i nie czuła nienawiści dla owej dziewczyny, którą powieszono przed kwadransiem dopiero.

— Coraz to lepiej! — zawołał drogi mistrz mój. — Wolalbym tysiąc razy, gdyby sędziowie wyznali otwarcie, że karzą winnych z czystej konieczności, dla odstraszącego przykładu innych. W takim razie pełniliby rzecz użyteczną, powolni warunkom swego wieku. Jeśli jednak twierdzą, że odbierając życie winnemu spłacają mu jeno należność, to otwiera się przed nami piekło szaleńczej uludy, w które pędzi fałszywe rozumowanie onych ludzi, niewinnych w gruncie, gdyż pełnią oni to, co uważają za swój obowiązek. Ta zasada napęlnia mnie niewysłowionym wstrętem.

Przypominam sobie teraz, że ustalona została ona przez pewnego zdolnego filozofa, nazwiskiem Menardus. Twierdzi on, że nie karać winowajcy znaczy tyle, co pozbawiać go w sposób przewrotny prawa odpokutowania występku. Powiedział on, że sędziowie ateńscy, każąc wypić kielich cykuty Sokratesowi, przyczynili się walenie do oczyszczenia z grzechów duszy tego mędrca. To są straszliwe, przeraźne mrzonki! Pragnę gorąco, by sprawiedliwość karząca była mniej subtelna i filozoficzna.

Zasada zemsty, stosowana częściej do kar wymierzanych zbrodniarzom, jest mimo swej wewnętrznej nikczemności i zła dużo mniej straszna w skutkach od owej szaleńczej cnoty filozofów-morderców. Poznałem w Séez pewnego poczciwca o pogodnym usposobieniu, pełnego jowialności, który wieczorami brał wnuki na kolana i opowiadał im historyjki. Wiódł żywot przykładowy, przystępował do świętych sakramentów i dumny

Zemsta

<sup>60</sup>szlance — tak w źródle; być może: szklanne (daw.), tj. szklane. W oryg. fr. *des billes* (bez przymiotnika): kulki (do gry), bile; bile wyrabiano ze szkła, z marmuru, z agatu lub z gliny. [przypis edytorski]

był z wypróbowanej uczciwości w handlu zbożem, który prowadził od lat sześćdziesięciu czy dłużej nawet. Przydarzyło się pewnego dnia, że służąca skradła mu kilka dublonów, kilka pięknych dukatonów prosto z mennicy i inne jeszcze złote monety, które trzymał w puzderku na dnie szuflady, radując się ich widokiem. Zauważywszy stratę, wniósł skargę do sądu, po czym służącą przyaresztowano, przesłuchano, osądzono, skazano i powieszono. Poczciwiec, znający zakres swych praw, zażądał skóry złodziejki, a gdy mu ją dano, kazał sobie zrobić rajtuzy. Często bił się prętem po pośladkach i wykrzykiwał: „A ty szelmo! A ty łajdaczko!” Dziewczyna zabrała mu złoto, on jej wtedy zabrał skórę i zemścił się po prostu, bez filozofii, z całą prostotą i uczciwością dzikiego zwierzęcia. Nie sądził, iż spełnia obowiązek szczytny, walczył się radośnie po bokach, obciążonych ludzką skórą.

Należałoby zgodzić się, że wieszając winowajcę spełnia się akt ostrożności, służący za postrach innym, a porzucić raz na zawsze zbrodniczą formułę wymierzania każdemu, co mu się należy. Prawdziwa filozofia poucza, że prócz życia nic się nie należy nikomu. Dzikim i szatańskim mistycyzmem nazwać trzeba teorię ekspiacji, przysługującej winnemu, gorszym zaprawdę od otwartego gwałtu lub zwyczajnego gniewu. Karanie złodziei ma swe źródło w przemocy, nie zaś w filozofii, gdyż ona poucza nas, wprost przeciwnie, że wszystko, co posiadamy, zostało zagarnięte gwałtem lub podstępem.

Nierzadko zdarza się też, że sprawiedliwość i sędziowanie pochwalają rabunek dokonany na obywatelach, o ile tylko rozbójnik jest potężny. Nie ma na przykład nic przeciw temu prawo, by król zabierał nam naczynia srebrne i ozdoby, gdy mu przyjdzie ochota wojować.

Za Ludwika XIV, nazywanego Wielkim, rekwizycje doprowadzono do tego stopnia, że odpruwano sznury od firanek łóżka, by wysnuć z nich nić złotą, wmięszaną w tkaninę. Król ten zagarniał mienie osób prywatnych i skarby Kościoła. Za czasów, kiedy przebywałem w celach duchownego doskonalenia się w kościele Matki Boskiej Radosnej w Pikardii, uskarżał się przede mną gorzko pewien stary zakrystian, iż nieboszczyk król zrabował i stopił wszystkie złote i srebrne naczynia kościelne, a nie uszanował nawet złotych piersi księżny Palatynatu, złożonych jako wotum po cudownym uleczeniu z raka. Sprawiedliwość dzielnie sekundowała wówczas królowi w rekwizycjach i karała surowo tych, którzy ukryli po kilka sztuk złota przed pazurami królewskich komisarzy. Widocznie prawo nie uważało wówczas własności prywatnej za taką przynależność obywateli, by niemożliwym i niesprawiedliwym było pozbawianie ich tejże.

— Przechacny księżę — powiedział woźny — komisarze działali imieniem Króla Jegomości, który jest właścicielem wszelakich dóbr w państwie i może dysponować nimi wedle woli, używając ich na wojnę, stawianie gmachów lub cokolwiek bądź innego.

— To prawda — odparł mój mistrz — zapomniałem, że i to także włączone zostało do reguł gry. Sędziowie przestrzegają reguł gry w „gąskę”, patrząc na to, co jest napisane na tabliczce. Zapisane tam są prawa króla, zostające pod strażą najemnych szwajcarów i wszelakiego innego żoldactwa. Niestety, biedna powieszona złodziejka nie miała jeno gwardii szwajcarskiej, która by zapisała na tabliczce, iż przysługuje jej prawo noszenia koronkowego żabotu pani radczyni Josse. Masz pan zupełną rację.

— Ależ, księżę dobrodziej — zawołał zdumiony staruszek — czyż chcesz pan przyrównywać Ludwika Wielkiego, największego z władców Francji, który zabrał złoto obywatelom na cele wojenne, na opłatę wojsk, z ową nędzną kreaturą, która skradła żabot, by się w niego wystroić?

— Szlachetny przyjacielu! — odrzekł mój zacny mistrz. — Mniej niewinną jest rzeczą toczyć krwawe wojny niż iść na bal do Ramponneau w koronkowym żabocie. Niestety, sprawiedliwość wymierza każdemu, co mu się należy, wedle zasad przyjętych w onej towarzyskiej grze, którą zaliczam do najhazardowniejszych, najgłupszych i najnudniejszych spośród znanych mi do tej pory, ale — również niestety — wszyscy obywatele państwa muszą w niej po niewoli brać udział.

— To jest konieczne! — zapewnił staruszek.

— Doszliśmy więc do wniosku, że prawa są pożyteczne, ale nie są sprawiedliwe i być nie mogą, albowiem sędzia przyznaje obywatelom korzystanie z tego, co im się należy, nie wchodząc zgola w rozróżnianie prawdziwych i pozornych dóbr. Tego rozróżniania nie zapisuje się na tabliczce gry w „gąskę” i nie wchodzi ono w zakres jego reguł. Widnieje ono jeno w księdze sprawiedliwości Bożej, której odczytać nikt nie zdołał jeszcze.

Siła, Przemoc

Sprawiedliwość

Czy znasz pan historię o aniele i pustelniku? Anioł zstąpił pewnego dnia z nieba, przybrawszy postać ludzką i strój pątnika. Wędrując po Egipcie, zapukał pewnego wieczoru do drzwi chatki dobrego pustelnika, który, biorąc go za zwykłego pątnika, nakarmił go i nalał w złotą czarę wina. Potem położył go na własnym łóżu, sam zaś legł na ziemi, podłożywszy sobie pod głowę garść słomy ryżowej.

Kiedy zasnął, niebiański gość jego wstał, wziął czarę, z której pił wino, ukrył ją pod płaszczem i uciekł. Postąpił w ten sposób nie dlatego, by poszkodować dobrego pustelnika, ale przeciwnie, uczynił to dla dobra gospodarza swego, który go przyjął tak gościnnie. Wiedział on, że czara ta o zgubę przyprawiłaby świętego męża, bowiem przylgnął do niej sercem, a Bóg chce, by go kochać wyłącznie, i nie pozwala przywiązywać się do dóbr ziemskich wybrańcom swoim.

Anioł ten, partycypując w nieskończonej mądrości Bożej, umiał odróżniać dobra istotne od pozornych. Sędziowie jednak dokazać tego nie zdołają nigdy. Nie wiadomo zgoła, czy pani radczyni Josse nie zatraciła duszy swojej w chwili otrzymania z powrotem z rąk sędziów skradzionego jej przez pokojówkę koronkowego żabotu?

— W każdym razie — zakończył woźny zacierając ręce — jedna łajdaczka mniej wałęsa się po tym świecie!

Strzepnął okruczy z ubrania i, skłoniwszy się nam uprzejmie, odszedł lekkim, żwawym kroczkiem.

## XXI. SPRAWIEDLIWOŚĆ (CIAĞ DALSZY)

Drogi mistrz zwrócił się ku mnie i zaczął w te słowa:

— Przytoczyłem historię o aniele i pustelniku po to jeno, by unaocznić przepaść dzielącą doczesność od świata duchowego. Sprawiedliwość ludzka działa na terytorium doczesności, a jest to niź wielki i zapadły, gdzie nie można stosować zasad podniosłych. Największa to chyba obraza dla Pana naszego Jezusa Chrystusa, gdy zawieszają obraz jego w trybunalach, gdzie sędziowie uniewinniają faryzeuszów, a potępiają i krzyżują Magdaleny, które podniósł z upadku własnymi boskimi rękami swymi.

Cóż ma wspólnego Sprawiedliwy z ludźmi, którzy by nie mogli w czyn wprowadzić sprawiedliwości nawet wówczas, gdyby tego zapragnęli, albowiem jest ich smutnym obowiązkiem patrzeć na czyny podobnych sobie nie pod kątem ich istotnego znaczenia, ale tylko pod kątem interesu społecznego, to znaczy taksować je wedle miary egoizmu, zachłanności, pomyłek i nieporozumień oraz nadużyć, jakie razem wzięte stanowią państwo oddane im w opiekę, którego są ślepymi stróżami i konserwatorami.

Odważając na tej wadze występki, dorzucają jeszcze nieco strachu czy złości, jaką tenże napelniał nikczemną i bezrozumną opinię publiczną. Wszystko to zapisane jest w ich księgach, tak że odwieczny tekst i martwa litera zastępują im rozum, serce i żywą duszę. A wszystkie te przepisy, sięgające nieraz haniebnych czasów bizantyńskiej Teodory, godzą się w jednym punkcie, mianowicie, że należy zachować wszystkie cnoty i zbrodnie świata, który nie chce ruszyć naprzód.

Wina sama w pojęciu prawa jest drobiazgiem bez znaczenia, wszystkim zaś są okoliczności zewnętrzne, tak że czyn w pewnych razach niezbyt lub zgoła nie naganny staje się w innym wypadku zbrodnią nieprzebaczną zgoła. Weźmy na przykład policzek, który wymierza jeden człowiek drugiemu. Jeśli spadł na twarz mieszczanina, to uważa się go za skutek popędliwości i bagatelizuje, ale dla żołnierza staje się zbrodnią, karaną śmiercią. To barbarzyństwo w czasach naszych grasujące stanie się przedmiotem wzdargy wieków przyszłych.

Nie zwracamy dziś na to uwagi, ale kiedyś zadadzą sobie ludzie pytanie, jak mogliśmy być takimi dzikusami, by karać najokrutniej to, co jest przejawem gorącej krwi młodego człowieka, wystawionego przez przymus prawny na niebezpieczeństwa wojny i koszarowe nudy. Nie ulega kwestii, że gdyby istniała sprawiedliwość, mielibyśmy jeden jeno kodeks, nie zaś dwa, wojskowy i cywilny. Ten wymiar sprawiedliwości wojskowej, którego skutki co dzień oglądamy, odznacza się niepojętym okrucieństwem, a ludzie pokoleń następnych, jeśli w ogóle zechcą dalej żyć w policyjnych ustrojach państwowych, nie zechcą po prostu wierzyć, że mogły istnieć ongiś w czasie pokoju wojenne sądy, mszczące śmiercią prostą obrazę sierżanta czy kaprała.

Anioł

Wina



Nie zechce również wierzyć nikt, że takie mnóstwo nieszczęśliwych stracono za dezercję w obliczu wroga, i to za wyprawy wojennej, w której rząd francuski nie uznawał wcale przeciwnika za beligerenta równego sobie. Ale najdziwniejsza rzecz to to, że tego rodzaju zbrodnie z urzędu dzieją się w społeczeństwach chrześcijańskich, czczących świętego Sebastiana, zbuntowanego żołnierza, oraz męczenników legionu tebańskiego, których sława na tym polega, że padali ongiś ofiarą sądu wojennego, nie chcąc bić się z Bogodami<sup>61</sup>!

Dajmy zresztą pokój sprawiedliwości owych ludzi miecza, którzy poginą od miecza kiedyś wedle słów Chrystusa Pana, i wróćmy do urzędników cywilnych.

Sędziowie nie sondują zgoła duszy i nie czytają w sercu, toteż najsprawiedliwsza ich sprawiedliwość jest zwierzęca i powierzchowna zarazem. I dobrze jeszcze, jeśli trzymają się ściśle przynajmniej tej grubej zewnętrznej kory słuszności, na której spisane są kodeksy świata. Jest to nawet znakomicie! Sędziowie są ludźmi, przeto istotami słabymi, poddającymi się łatwo wpływowi, uniżeni są wobec potężnych, a nieubłagani dla bezbronych. Sankcjonują też nieraz wyrokami swymi najjaskrawsze krzywdy społeczne i trudno odróżnić, ile jest w tej stronniczości osobistego łajdactwa, a ile niesprawiedliwości narzuconej przez zawód i obowiązek, polegający w gruncie rzeczy na tym, by zachować państwo razem z jego błędami i zaletami, by czuwać nad obyczajnością publiczną, złą czy dobrą — mniejsza z tym, i uzgodnić z prawami obywateli tyrańską wolę panującego. Pomijam tutaj świadomie całe mnóstwo śmiesznych przesądów, brutalnych nawyczek i zwyczajów, i tym podobnych świństw i głupstw, które mają nietykalny, odwieczny azyl pod cieniem kwitnącej lilii instytucji sądowych całego świata.

Najsurowszy i najnieskazitelniejszy urzędnik może przez samą właśnie uczciwość i ścisłość swoją wydawać wyroki równie oburzające, a może jeszcze bardziej nieludzkie — od urzędnika przekupnego, i co do mnie, nie wiem, którego z nich bałbym się więcej. Nie wiem, który gorszy, czy ten, którego dusza przemieniła się w literę prawa, czy ten, który używa resztek uczuć ludzkich na jego przekręcanie. Drugi może mnie poświęcić swej namiętności albo interesowi, pierwszy zabije mnie z zimną krwią gładem pisanego tekstu.

Zważyć jeszcze trzeba, że urzędnik jest obrońcą zawodowym nie tych nowych przesądów i zabobonów, którym podlegamy mniej więcej wszyscy, ale zabobonów i urojeń starych, przechowanych w prawie, mimo że wygasły już dawno w duszach i obyczajach naszych. Nie ma chyba umysłu jako tako bodaj uzdolnionego do logicznego myślenia i niezależnego, który by nie wyczuwał całego gotycyzmu prawodawstwa. Tymczasem sędziemu nie przysługuje prawo krytyki ani dowolnego wyboru.

Mówię tak, jak gdyby te wszystkie barbarzyńskie i pełne niedomagań prawa były przynajmniej jasne i ściśle. Niestety, dużo je dzieli rzeczy od onego ideału. Bazgroty czarownika i jego wywijasy diabelskie nierównie łatwiej zrozumieć niż najważniejsze i codziennie stosowane paragrafy kodeksów naszych.

Owe trudności interpretacji spowodowały ustanowienie rozlicznych instancji, czyli stopni jurydycznych, w tej nadziei, że czego odcyfrować nie zdoła małomiejski podsekretarz, to wyjaśnią niezawodnie i wyklarują panowie członkowie parlamentu. Niesłychane to zaiste zaufanie do onych pięciu mężów w czerwonych togach i graniastych biretach, którzy nawet gdy wyrecytują przed sesją *Veni Creator*, nie osiągają zgoła odrobiny nieomyślności ani też zdrowego, niezależnego rozsądku.

Trzeba przypuścić z konieczności, że najwyższa jurdykcja wydaje wyroki bezapelacyjne z tego jednego i jedynego powodu, iż przed zwróceniem się do niej wyczerpano bez skutku zasób mądrości wszystkich niższych. Takie musi mieć przynajmniej zapatrywanie panujący, bo kpi sobie z wyroków parlamentu i nie podlega im wcale.

## XXII. SPRAWIEDLIWOŚĆ (DOKOŃCZENIE)

Drogi mistrz mój posmutniał i zapatrzył się w wodę, wyobrażającą ten świat, gdzie wszystko przemija, a nic się nie zmienia.

Trwał przez dłuższy czas w zadumie, potem zaś zaczął mówić z cicha:

<sup>61</sup>Bogodzi, właśc. *Bagaudowie* — byli to galicyjscy chłopcy, zbuntowani przeciw Maksymilianowi, wyróżnieni potem przez Rzymian w roku 280 w miejscu, gdzie łączy się Marna z Sekwaną. [przypis tłumacza]

— Już samo to, drogi mój synu, sprawia mi niezmierną boleść, że z konieczności sędziowie wymierzają sprawiedliwość. Jasnym jest, że mają w tym interes, by uznać winnym tego, co do którego powzięli zrazu podejrzenie. Szukają tedy jeno dowodów swej przenikliwości. W zawodzie sędziowskim kwitnie solidarność stanowa, tak że w każdej procedurze odsuwają i ograniczają obronę, uważając ją za nieznośnego natręta. Nie dają jej dostępu do siebie, zanim oskarżenie przywdzieje całą swą zbroję i w takie ułoży zmarszczki twarz, że przez owe sztuczki przybierze postać dostojnej Minerwy.

Sam instynkt zawodowy skłania ich do uważania każdego obwinionego za łotra, a ta niesamowita ich gorliwość do tego stopnia przestraszyła niektóre narody europejskie, iż co prędzej przydano im w ważnych sprawach tuzin zwykłych, chłopskim rozumem obdarzonych obywateli, wybranych za pomocą losowania. Wynikałoby z tego, że ślepy traf, że przypadek lepszą daje gwarancję życia i wolności oskarżonego niż rozjaśnione wiedzą sumienie sędziego fachowego.

Co prawda, owych urzędników mieszczańskich, wyciągniętych z loteryjnego woreczka, trzyma się całkiem z dala od sprawy, pokazując im jeno gotową i zaaranżowaną maskaradę. Prawdą jest również, że nie znając praw, nie są powołani do ich roztrząsania, ale mają jeno słowem *tak* lub *nie* zadecydować, czy ma zostać w danym wypadku zastosowane. Powiadają, że takie sądy przysięgłych dają częstokroć wyniki absurdalne, mimo to jednak narody, które je wprowadziły w życie, uważają tę instytucję za bardzo cenną gwarancję swobód obywatelskich. Jestem tego samego zdania.

Wyobrażam sobie, że wyroki sądów przysięgłych mogą być głupie i okrutne, ale ich absurdalność i barbarzyństwo nie obciąża, że tak rzekę, nikogo. niesprawiedliwość staje się znośna, jeśli jest dostatecznie bezrozumna, by można ją uważać za mimowolną.

Ten stary woźny, mający tak wielkie odczucie sprawiedliwości, wziął mnie przed chwilą za stronnika złodziei i morderców. Ja, wręcz przeciwnie, odczuwam tak bardzo kradzież i zabójstwo, że znieść nie mogę nawet kopii tych zbrodni ulegalizowanych przez państwo, i najwyższą boleścią napęlnia mnie, gdy widzę, że sędziowie nie mogą się zdobyć na nic lepszego od karania złodziei i morderców taką samą zbrodnią przeciw nim skierowaną. Czymże jest, drogi Rożenku mój, w gruncie rzeczy kara śmierci, jeśli nie kradzieżą życia i morderstwem postawionym na wyżynie dostojności i wykonanym z całą ścisłością techniczną?

Czyż nie widzisz, że sprawiedliwość nasza, mimo swej pychy, zmierza jeno do takiego mszczenia złego złym, zbrodni zbrodnią i zdwajania z jakichś względów równowagi czy symetrii przestępstw i wykroczeń wszelkiego rodzaju? Niechybnie i w tym zawodzie można znaleźć pole do okazania pewnego rodzaju uczciwości i bezinteresowności. Może się zdarzyć jakiś drugi Hospital czy Jeffreys, a sam znam jednego sędziego z głową na karku i sercem w piersi.

Ale nie idzie o wyjątki, chciałem, cofając się do podstaw, nakreślić rzeczywisty charakter instytucji, którą pycha sędziów oraz paniczny strach ludów odział bez powodu niezasłużonym majestatem. Chciałem pokazać nikłość pierwotną owych kodeksów, które chce się uczynić dostojnymi, a które są w istocie jeno bezładną kupą dziwacznych sztuczek i fortelów.

Prawa stworzył niestety człowiek, rodowód ich tedy jest bardzo smutny. Powstawały przeważnie zawsze przy sposobności. Głupota, zabobon, pycha panującego, interes prawodawcy, kaprys, fantazja — oto źródła owych wielkich *corporum juris*, które stają się czcigodne wówczas, kiedy przestały być zrozumiałe. Niejasność spowijająca je mgłą, gęstniejącą w miarę komentowania, nadaje im majestat antycznych wyroczni.

Co chwila mi się obją o uszy i co dzień czytam w gazetach, że obecnie ustanawiamy prawa okolicznościowe i doraźne. Taki pogląd może mieć jeno krótkowidz, nie dostrzegający, że to jest tylko ciąg dalszy odwiecznego zwyczaju i że od stworzenia świata prawo rodziło się zawsze z przypadku.

Ten i ów żali się na niejasność i sprzeczność naszych współczesnych prawodawców, a nikt nie widzi, iż ich poprzednicy byli równie ciemni i chaotyczni.

W rzeczywistości, drogi synu mój, prawa są dobre lub złe nie tyle same przez się, ile przez sposób ich stosowania i żadna najniesprawiedliwsza ustawa nie stanie się szkodliwą, o ile sędzia nie zastosuje jej w danym przypadku.

Prawo

Obyczaje są silniejsze od praw. Względność w postępowaniu i łagodność duszy są to jedyne sposoby otamowania barbarii legalnej. Bowiem nie da się poprawiać praw przez prawa w sposób dostatecznie szybki i skuteczny i droga to niepewna wielce. Wieki jeno zmienić mogą wiekowe dzieła. Mało też nadziei, by jakiś francuski Numa Pompiliusz napotkał w Compiègne pod drzewami lub pod skałami Fontainebleau drugą nimfę Egerię, która by mu podyktowała mądre prawa.

Patrzył długo na wzgórze, rysujące się błękitno na horyzoncie, a oczy jego miały wyraz smutny i poważny. Potem położył z lekka dłoń na moim ramieniu i ozwał się tonem tak głębokim i miękkim jednocześnie, że echo jego odezwało się w głębi mojej duszy.

— Rożenku, synu mój — powiedział — widzisz oto, że jestem zmieszany i niepewny i słów ni idei znaleźć nie mogę na samą myśl poprawienia tego, co uznałem za złe. Nie sądz, iż uląknę się, albowiem nie ma na tej ziemi rzeczy, przed którą cofnąłby się umysł mój. Ale posłuchaj uważnie tego, co ci powiem. Jałowe są to prawdy, odkryte rozumem. Serce jeno zdolne jest zapłodnić marzenia, bowiem wlewa życie we wszystko, co ogarnie. Zaródź dobra rzucona została w ziemię przez uczucie, rozum dokazać by tego nie potrafił nigdy. Wyznaję otwarcie, iż byłem dotąd zbyt rozumny, krytykując prawodawstwo i obyczaje. Dlatego też krytyka owa będzie jako kwiat bez owocu i zeschnie, niby gałąź drzewa, ścięta kwietniowym przymrozkiem. Chcąc służyć ludziom, należy odrzucić precz rozum, jako tłumok zawadzający wielce, i wznieść się na skrzydłach zapału ponad ziemię. Póki nie przestaniemy rozumować, wzlot nie nastąpi, bowiem serce będzie skute z niżem podłym i jałowym.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/poglady-ksiedza-hieronima-coignarda>

Tekst opracowany na podstawie: Anatol France, *Poglądy księdza Hieronima Coignarda*, tłum. Franciszek Mirandola, Czytelnik, Warszawa 1958

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Dorota Kowalska, Paulina Choromańska, Wojciech Kowtwica.

ISBN 978-83-288-0216-2

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).